

Blandine Le Callet

Tort weselny

Dla Pierre'a - Andrego
Dla naszych trzech skarbów

PAULINE

Naprawdę już myślała, że nigdy nie dojadą. Podróż była straszna. Nie lubi nowego samochodu taty przez ten zapach skóry. O mało się nie pochorowała. Po jakimś czasie jednak można przywyknąć.

Między rodzicami ani na chwilę nie ustała kłótnia. Żadna tam burzliwa kłótnia. Ich kłótnia nigdy nie jest burzliwa. Niewiele słów, raptem parę zdań, zero krzyków. Trwała godzinami, przez całą drogę w zasadzie. Pauline nie jest głupia, wie, że kłótnia się zaczęła na długo przed wyjazdem ze Sceaux. Można powiedzieć, że trwa od tygodni, a nawet od miesięcy.

Od czasu do czasu udają, że się nie kłócą: „Całą rodziną idziemy do parku na spacer”. Przez dwie godziny tata się z nimi bawi, a mama robi zdjęcia. Śmieją się głośno, są weseli. Myślą, że to wystarczy, by zamydlić jej oczy. Ale nic z tego: nie jest głupia.

Jest bardzo grzeczna. Zawsze trzeba słuchać dorosłych, którzy wiedzą, co dobre. Niekiedy jej zdaniem trudno z tym wytrzymać, uważa nawet, że często musi robić rzeczy bez sensu. Nie buntuje się jednak: ufa, że dorośli zawsze mają rację. Słucha więc i nigdy nie dyskutuje. Po pierwsze, żeby zrobić przyjemność mamie, która bardzo się gniewa, kiedy dzieci są niegrzeczne. A głównie dlatego, że nie lubi zwracać na siebie uwagi, woli cichutko siedzieć zapomniana w swoim kąciku. Dużo prościej jest być dziewczynką bezproblemową: wszyscy są zawsze z niej zadowoleni i zostawiają ją w spokoju.

Przedtem skuliła się na tylnym siedzeniu; czekała, aż przestanie ją mdlić, i słuchała kłótni rodziców, udając, że śpi. Wie, że tata ma kłopoty i że musi dużo pracować, bo ma odpowiedzialne stanowisko. Dlatego często nie ma go w domu. Za to z niej jest szczęściara, że ma tatę, który zarabia

pieniądze. Na świecie dużo jest dzieci nieszczęśliwych. Są nawet takie, które nie mają co jeść; trzeba o nich myśleć, kiedy nie można już w siebie wcisnąć pieczeni po burgundzku.

Dzisiaj jest ważny dzień, ponieważ po raz pierwszy będzie druhną. To znaczy jako druhna kiedyś już wystąpiła, ale była za mała i nic nie pamięta. Będzie druhną razem z Clemence i Hadrienem, i wszystkimi kuzynami. Będą też dzieci z tej drugiej rodziny. W sumie dwanaścioro. Usłyszała kiedyś, jak mama mówiła do taty: „To śmieszne!”, i nie zrozumiała dlaczego. Potem mama zmieniła zdanie i powiedziała im, że bardzo miłutki będzie widok tylu dzieci przy pannie młodej.

Podczas ceremonii będzie siedziała z przodu, bez rodziców, i naprawdę się z tego cieszy. Z pierwszego rzędu ławek dokładnie zobaczy całość. Nie będzie tak jak na zwyczajnej mszy: tyle ją czeka rzeczy do oglądania, że w ogóle nie będzie się nudziła, tego jest pewna. Zresztą w ogóle msza nie będzie taka zwykła, to ślub. Możliwe, że ksiądz powie coś ciekawego. Pauline obiecuje sobie bardzo uważnie słuchać. Przynajmniej na początku.

Ma na tę uroczystość piękną różową sukienkę haftowaną na przodzie i nowe sandałki. Bardzo jest dumna z tego stroju. Wczoraj wieczorem mama obcięła jej włosy, żeby miała „ładną główkę”, i kiedy rano przed samym wyjazdem przejrzała się w lustrze, stwierdziła, że naprawdę ładnie wygląda.

Będzie z nimi dziewczynka, która choruje na coś, co się tak jakoś dziwnie nazywa i czego nie da się wyleczyć. Tak powiedziała mama. Być może ta dziewczynka okaże się niezbyt ładna, być może będzie się źle zachowywała podczas nabożeństwa. Ale to nie jej wina, to przez tę chorobę. Należy być grzecznym i nie wygłaszać żadnych uwag. To dziewczynka taka sama jak inne.

Od kilku dni Pauline rozmyśla o tej dziewczynce. Jest „taka sama jak inne”, mama jednak tyle razy to powtarzała, aż Pauline zaczęła podejrzewać, że dziewczynka bardzo się różni od innych. Zaintrygowana wyobraża sobie, że będą może koło siebie siedziały podczas ceremonii. Co to za choroba, którą ma ta dziewczynka? I czemu właściwie miałyby się źle zachowywać w kościele? Czy nie jest zbyt ładna z powodu choroby? Czy chodzi do szkoły? W końcu uświadamia sobie, że obecność dziewczynki wzmacnia jej niecierpliwość, ciekawość, podniecenie, radość, że będzie druhną, i już się nie może doczekać tego ślubu.

Zatrzymują się w wiejskim barze na drugie śniadanie. Normalnie bardzo lubi jadać w lokalu, dziś jednak wolałaby coś zjeść na parkingu przy autostradzie i przy okazji pobiegać, poskakać. Trudno jej przez tę godzinę wysiedzieć spokojnie na krześle. Tata nawet zwraca jej uwagę, ponieważ nie położyła rąk na stole po obu stronach talerza:

- Mam nadzieję, że wieczorem potrafisz się zachować jak należy. Nie chciałbym, by mówiono, że mam dzieci źle wychowane!

Och, pewnie, wieczorem będzie siedziała przy stole idealnie, tak jak ją nauczono. I będzie dawała przykład Hadrienowi.

Z apetytem pałaszuje stek z frytkami z menu dla dzieci, ale lody waniliowo - truskawkowe postanawia odstąpić młodszemu bratu.

- Bardzo ładnie, że oddajesz swoje lody Hadrienowi. To naprawdę wspaniałomyślny gest.

A Pauline myśli tylko o zapachu skóry w samochodzie zostawionym na słońcu i czuje, jak żołądek się jej wywraca. Tata nie będzie zadowolony, jeżeli jego córka zwymiotuje w nowym aucie. W dodatku gotowa jeszcze pobrudzić swój odświętny strój. Dlatego woli zrezygnować z deseru.

Po posiłku mama zabiera całą trójkę, żeby zrobili siusiu i doprowadzili się do porządku w łazience. Na parkingu ich przebiera. Kiedy ruszają w dalszą drogę, Pauline jest już w swojej ślicznej różowej sukience i białych sandałkach, a we włosy ma wpięte ładne spinki kupione specjalnie na tę okazję.

Teraz naprawdę chciałyby jak najszybciej dojechać na miejsce. Mama obiecuje, że to już niedaleko, tylko że jazda trwa dłużej, niż przypuszczali, bo tata pod koniec trochę błądzi. Plan, który wyrysowali ciocia Berengere i ten wujek Vincent, jest do kitu. Dlatego tata nie może trafić. Mama wyciąga mapę i wpatruje się w nią, żeby znaleźć drogę. Samochód przyspiesza i aż drży.

Tata się denerwuje:

- Nie ma siły, nie dojedziemy na czas!

A Pauline myśli: Nie! Nie! Do oczu napływają jej łzy na myśl, że nie zdąży na uroczystość, na którą tak długo czekała. Modli się do swojego Anioła Stróża, żeby rodzice znaleźli drogę i żeby się nie spóźnili na ślub Berengere.

Modlitwa zostaje wysłuchana niemal natychmiast. Co znaczy, że jej Anioł Stróż jest tutaj, tuż przy niej w samochodzie, chociaż nie ma tu wiele miejsca. Dotarli do celu; widać już dzwonnice kościoła. I wtedy dochodzi do katastrofy: Hadrien wymiotuje. Clemence wrzeszczy. Pauline z całej siły się powstrzymuje, by nie zrobić tego samego co Hadrien. Serce wali jej jak szalone. Zasłania sobie ręką nos i usta, szybko wciska klawisz opuszczania szyby. Tata ryczy, Hadrien płacze, jej siostra wrzeszczy, Pauline się boi, że też zwymiotuje, i teraz naprawdę jest spanikowana. Rodzice krzyczą jedno na drugie; teraz wyraźnie widać, że bardzo są na siebie źli.

Pauline szybko wysiada z auta i odchodzi kilka kroków pod drzewa, zamyka oczy, powoli nabiera powietrza, oddycha głęboko, jak najgłębiej, aby oczyścić płuca. Prawie

natychmiast odczuwa chłód cienia, czystość powietrza. Nie jest takie jak to, którym jeszcze rano oddychała w Sceaux albo na parkingu przy barze; pełno w nim rozkosznych zapachów. Widocznie tak ma być, bo jest przecież blisko kościoła, w którym odbędzie się ślub. Pan Bóg na pewno jest niedaleko, a z nim Pan Jezus i Matka Boska, i Aniołowie Stróże, i wszyscy święci. Ich niewidzialna obecność nasycza powietrze wyjątkową słodyczą i zapachami. Pauline wdycha je pełną piersią z zamkniętymi oczami, aż czuje, że w głowie się jej kręci.

Tata łapie ją za rękę i zabiera z miłego cienia. Ciągnie ją i Clemence do kościoła. Tłumaczy im, że koniec końców on i mama chwilowo muszą tu zostać, by zająć się Hadrienem i umyć samochód. Pauline jest zadowolona, że ani rodziców, ani jej młodszego brata na razie nie będzie w kościele.

Hadrien ją wnerwia. Zawsze musi być dla niego przykładem. Czuwać nad nim, pilnować, żeby się dobrze sprawował, kiedy idą w gości. A jeśli się nie zachowuje jak należy, ona obrywa po uszach: zaufaliśmy ci, powierzyliśmy zadanie, a ty się nie spisałaś; nie można na tobie polegać. Kocha młodszego brata, lecz teraz się cieszy, że nie ma go na głowie. Mam wolne, myśli. I bardzo dobrze, że rodziców też nie ma. Ma już dosyć tych ich kłótni. Głowę by dała, że w czasie nabożeństwa też by nie przestali. Nawet nie słysząc ich, wiedziałyby, że dalej się sprzeczą gdzieś tam, z tyłu, i to by jej zepsuło całą przyjemność. A tak bez nich, bez Hadriena na pewno przeżyje cudowne chwile.

W kościele jest mnóstwo ludzi, osoby, których nie zna, ale też osoby z rodziny, które w większości lubi. Wszyscy są ubrani odświętnie. Wita ich ciocia Laurence. Ma pod swoją pieczę dziecięce drużyny i drużbów. Daje im po bukietiku z róż i polnych kwiatków, prowadzi je do pierwszej ławki i tam każe usiąść.

Pauline przygląda się innym dzieciom, szukając tej chorej dziewczynki, lecz nie widzi jej. Trzyma się prosto, bez ruchu. Próbuje wyrzucić z głowy wszelkie nieprzyjemne wrażenia z podróży. Kościółek jest malutki i zdaje się tonąć w kwiatach. Jeśli zamknąć na dłuższą chwilę oczy, czuć ich zapach w chłodzie kamiennego budynku.

Ktoś pyta, czy mogłaby się przesunąć i zrobić trochę miejsca. To jakaś pani, która trzyma za rękę dziewczynkę w jej wieku, dość grubą i niezbyt ładną. Na pewno to ta chora dziewczynka, która będzie niegrzeczna w czasie mszy. Pani pyta:

- Czy Lucie może usiąść obok ciebie? Onieśmielona Pauline odpowiada: - Tak.

Jest zadowolona, że z bliska widzi dziewczynkę, której taka była ciekawa, i równocześnie nieco zaskoczona jej dziwną buzią. Przygląda się jej i wspomina, co mama o niej mówiła. A jeśli dziewczynka będzie niegrzeczna w czasie mszy? Co wtedy? Ludzie mogą pomyśleć, że to także jej, Pauline, wina. Może ją zbesztają. Ogarnia ją naraz taki niepokój, że wolałaby aby dziewczynka zniknęła, wróciła ze swoją mamą tam, skąd przyszła.

Pani mówi „Dziękuję” i zwraca się do dziewczynki:

- Mama będzie tam. - Pokazuje miejsce kilka ławek dalej z tyłu. - Jeśli będziesz chciała przyjść do mnie podczas mszy, odwróć się i daj mi znak, to po ciebie przyjdę. Ty masz się stąd nie ruszać, dobrze? I nie hałasuj. Wujkowi Vincentowi to by się nie spodobało. Masz być grzeczna, żeby sprawić przyjemność wujkowi. Obiecujesz?

Dziewczynka odpowiada „Tak” i śmieje się. Ma dziwny głos i bez przerwy wystawia język. Widać, że wcale nie chce być niegrzeczna, tylko po prostu nie może się powstrzymać. Kiedy tak wysuwa język, wyciąga też trochę szyję, jakby chciała coś powiedzieć, ale bez rezultatu.

Pauline czuje się bardzo nieswojo. Dziewczynka uśmiecha się do niej. Ona też ma bukiet, potrząsa nim i przytyka go do nosa, by powąchać kwiatki. Pauline uśmiecha się z przymusem, żeby nie wyjść na niemłą. Dziewczynka dość gwałtownie chwyta ją za rękę i ściska.

- Cieszę się - oznajmia. - Jak się nazywasz? Mówi głośno, chrapliwie. Pauline odpowiada szeptem:

- Jestem Pauline. Mamy piękne sukienki, prawda?

- No!... Jesteśmy piękne na ślub wujka Vincenta.

Uśmiechają się do siebie. Pauline nie śmie cofnąć dłoni, której dziewczynka nie wypuszcza. Przez długą chwilę siedzą, trzymając się za ręce i rozglądając po kościółku.

Przed ołtarzem stoi ksiądz. Ma surową minę. Czeka, aż wszyscy się usadowią. Na pewno niedługo się zaczną. Przychodzi jakiś pan, żeby porobić zdjęcia dziecięcym drużnom i drużbom. Jest ich jedenaścioro, siedzą w dwóch ławkach. Powinno ich być właściwie dwanaścioro, ale Hadrien jeszcze nie dotarł. I tak nie będzie mógł być takim prawdziwym drużbą, bo przecież nie ma odpowiedniego stroju. Żeby być drużbą, trzeba mieć odpowiedni strój, no i co najważniejsze, nie wolno go pobrudzić przed samą uroczystością. Hadrien naprawdę się dzisiaj popisał. A tyle razy wszyscy powtarzali, że nie wolno mu się zbrudzić.

Posadzili mniejsze dzieci z przodu, żeby je było lepiej widać na zdjęciu. Podchodzi ciocia Laurence. Mówi do tego pana:

- Chwileczkę! - Z szerokim uśmiechem nachyla się do dziewczynki koło Pauline. - Chodź, skarbie.

Bierze ją delikatnie za rękę i zmusza, żeby wyszła z ławki. Każe wstać Augustinowi z drugiego rzędu i prosi, by usiadł obok Pauline. Potem usadza dziewczynkę z tyłu, na miejscu Augustina.

- Tu ci będzie bardzo wygodnie, skarbie. Pauline szepcze:

- Ale ciociu, ona stamtąd nic nie będzie widziała!

Ciocia Laurence rzuca jej dziwne spojrzenie, po czym odwraca się do pana, który robi zdjęcia:

- Już. Może pan robić dalej.

Augustin jest wściekły. Kazali mu usiąść koło młodszej kuzynki, a tak fajnie mu było w drugiej ławce z Arthurem i Gatiem. Pauline czuje się zmieszana. Chyba udało jej się zdenerwować ciocię. Szkoda, że nie trzymała buzi na kłódkę. Ale przecież to niemądre, żeby sadzać małą dziewczynkę za kimś większym. Z tego miejsca nic nie będzie widziała, bez dwóch zdań. Choć z drugiej strony teraz, gdy siedzą osobno, Pauline mówi sobie, że przynajmniej jej się nie oberwie, jeżeli dziewczynka nie będzie grzeczna podczas mszy.

W kościele są muzycy. Grają jakiś bardzo uroczysty marsz na wejście młodej pary. Wujek Vincent, narzeczony cioci Berengere, zjawia się pierwszy pod rękę ze swoją mamą, niesamowicie elegancką panią w wielkim słomkowym kapeluszu udekorowanym ogromnymi makami. Pauline uważa, że wujek Vincent jest nadzwyczajnie przystojny. Nawet się w nim odrobinę podkochuje. Naturalnie on się w niej nie może zakochać, skoro bierze ślub z ciocią Berengere. Poza tym ona jest tylko dziewczynką; nikt na nią nie zwraca uwagi, nawet jeśli jest szczególnie ładnie ubrana i uczesana, jak na przykład dzisiaj.

Ma nadzieję, że kiedyś uda jej się spotkać kogoś równie przystojnego, kto się w niej zakocha. I wtedy będzie mogła opuścić tatę i mamę, żeby wziąć ślub. Nigdy się nie będzie kłóciła ze swoim mężem. Będą mieli bardzo dobre zawody i odpowiedzialne stanowiska, a mimo to starczy im czasu, żeby się zajmować dziećmi.

Następnie do kościoła wchodzi ciocia Berengere pod rękę z dziadkiem i wtedy wszyscy wstają. Pauline ledwie ją poznaje pod ślubnym welonem. Wie oczywiście, że to ona,

tylko że jej zdaniem wygląda jakoś inaczej. Nigdy jej nie widziała tak uczesanej i umalowanej. Jest piękna. W upiętych włosach ma białe i różowe kwiatki. Jest cudowna, całkiem jak księżniczka albo wróżka.

Ciocia Berengere siada obok wujka Vincenta. Są kilka metrów od Pauline. Będzie mogła ich obserwować do woli podczas całej uroczystości. Zaraz cichnie muzyka i ksiądz podchodzi do przodu. Mówi „witajcie” i że wszyscy się dzisiaj cieszą, i że dokona się przed Bogiem coś bardzo ważnego. Pauline słucha uważnie, cały czas przyglądając się swojej cioci cudownie odmienionej w dzień ślubu.

W życiu nie widziała takiej nieziemskiej sukni. Nie może oderwać oczu od koronkowych zdobień na gorsecie. Stara się jak najdłużej bez mrugnięcia wpatrywać w delikatne kwiatuszki przeplatane listkami, które wyrysowała jedwabna nitka. Potem zamyka oczy i pozwala, by te motywy, jakby nadrukowane pod zaciśniętymi powiekami, tańczyły swobodnie, teraz przekształcone w niemal świecące niebieskie zawijasy, które rozmywają się z wolna. Jest zafascynowana, że motyw tak długo może przetrwać mimo zamkniętych oczu, po czym niknie powolutku. Zastanawia się, czy przypadkiem nie wchodzi tu w grę jakaś magia, której źródłem jest sama suknia. Wgapia się w koronki tak długo, z takim natężeniem, że chociaż motywy są bardzo skomplikowane, zapamięta je dokładnie na całe życie.

Kiedy ponownie otwiera oczy, widzi księżniczkę niczym objawienie w świetle padającym od chóru. Słońce rozświetla welon nierzeczywistą jasnością. Na karku połyskują złotem krótkie włoski, które wysunęły się z koka. Pauline nigdy w życiu nie widziała czegoś równie pięknego, kojąco spokojnego i harmonijnego. Modli się, zaciskając dłonie na bukietu: żeby rodzice przestali się kłócić, żeby kiedyś

wyszła za przystojnego mężczyznę, żeby znikł zapach skóry w nowym aucie taty, żeby ten dzień nigdy się nie skończył.

Wbrew temu, co sobie obiecała, niezbyt uważnie słucha, co mówi ksiądz. Mimo że nawet ją to interesuje. Ale jak zwykle trudno nadążyć; nie rozumie bardzo wielu słów, nawet w modlitwach, które zna na pamięć. Nie wszystko jej wytłumaczono, a ona nigdy o nic nie pytała.

Odnosi wrażenie, że ksiądz mówi bardzo szybko, jakby chciał się błyskawicznie uwinąć. Jest tym zaskoczona, ponieważ zazwyczaj księża są raczej powolni w słowach i gestach. Zresztą dlatego właśnie msza trwa tak długo. Gdyby się trochę pośpieszyli, można by spokojnie zyskać z piętnaście minut. A tutaj wygląda na to, że ksiądz zasuwa do przodu, w ogóle nie myśląc o tym, co mówi. Chociaż nie, to oczywiście niemożliwe. Księża zawsze sumiennie wykonują swoją pracę, podchodzą do niej poważnie, bo ponoszą wielką odpowiedzialność. Nigdy się nie starają skończyć jak najszybciej. Księża nigdy się nie nudzą w czasie mszy. Pewnie to normalne, że ten ksiądz mówi tak szybko. Przecież ona go nie zna, nie jest do niego przyzwyczajona. A to zwyczajnie ksiądz, który mówi szybko. Taki ma styl.

Teraz przychodzi jej ulubiona chwila, ta, na którą czeka od początku: kiedy młoda para mówi sobie „tak”. Zastanawia się, czy zdarza się, że nowożeńcy w ostatniej chwili zmieniają zdanie. Jeżeli ostatecznie któreś powie „nie”, wszyscy na pewno mają niezły zgryz... Tu jednak widać, że ciocia Berengere i wujek Vincent są naprawdę zakochani: oboje powiedzą „tak” i reszta pójdzie jak po maśle.

Przybliżają do siebie głowy, żeby przeczytać formułki wypisane w księdze, którą podsuwa im ksiądz. Pauline słyszy ich głosy rozbrzmiewające w kościele zalanym złotym światłem:

- Berengere, czy chcesz zostać moją żoną?

- Tak, chcę. Vincencie, czy chcesz zostać moim mężem?

- Tak, chcę. Ja, Vincent, biorę cię, Berengere, za żonę i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci.

- Ja, Berengere, biorę cię, Vincenta, za męża i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci.

Pauline te słowa wydają się piękne i naprawdę magiczne, bo wystarczają, by stworzyć między nimi niewidzialną i nierozzerwalną więź. Cudownie jest brać ślub. Czuje, że łzy napływają jej do oczu. Widzi lśniąca obrączkę, którą wujek Vincent wkłada cioci Berengere na palec.

Nowożeńcy odmawiają wspólnie modlitwę, a następnie wszyscy śpiewają pieśń „Panie, idę ku Tobie”. Na składkę ciocia Laurence daje koszyczek Augustinowi i drugi Arthurowi. Pauline chętnie by zbierała składkę, ale trudno się dziwić, że to zadanie dla największych dzieci. Spoczywa na nich odpowiedzialność. Trzeba pilnować, żeby każdy wrzucił datek do koszyczka, żeby nikt nie podkradał pieniędzy, no i nie wolno rozsypać zawartości. Nie wie, czy ona by sobie poradziła. Czy odważyłaby się zwrócić uwagę osobom, które nic nie wrzuciły, wskazać złodzieja? A gdyby koszyczek wyleciał jej z rąk... Wyobraża sobie monety toczące się z donośnym brzękiem po posadzce nawy... W sumie lepiej siedzieć sobie spokojnie w ławce, słuchać kojącej muzyki i dźwięczenia monet wrzucanych do koszyczków.

Po składce śpiewają „Panie Boże wszechświata” i „Przyszedł Pan nasz Jezus”, następnie odmawiają „Ojcze nasz”. Pauline wypowiada słowa modlitwy dużo poważniej niż zwykle, na każdym się skupia, oddziela wyraźnie sylaby, w złożonych rękach ściskając bukiet. Za plecami słyszy chorą dziewczynkę, która recytuje modlitwę mocnym głosem o dziwnym brzmieniu.

Ksiądz podchodzi do ołtarza i zaczyna przygotowywać co trzeba do komunii. W jego ruchach nie ma namaszczenia i powolności jak u księdza Bonneliera, kiedy błogosławi chleb i wino. Ręce tego księdza fruwią między kielichem i buteleczkami, nerwowo strzepują serwetki. A słowa padają tak szybko, że Pauline mimo wszystko znów się zastanawia, czy to na pewno normalne.

W którymś momencie ksiądz się myli: mówi „Florent” zamiast „Vincent”! W kościele powstaje poruszenie. Pauline widzi, jak ciocia Berengere podrywa głowę. Ksiądz znowu się myli. I wtedy Berengere krzyczy takim dziwnym głosem:

- Nie, to nie jest Florent, to V i n c e n t!

Ksiądz ze zmieszaną miną składa ręce i powtarza zdanie, w którym się pomylił, tym razem mówiąc jak należy „Vincent”. A ciocia Berengere wciska się głębiej w krzesło.

W czasie komunii jakaś pani śpiewa „Ave Maria”. Da się wyczuć, że ma kłopoty z najwyższymi dźwiękami, ale i tak pieśń wypada pięknie. Pauline nie wolno wziąć opłatka, bo jeszcze nie była u Pierwszej Komunii. Dopiero pójdzie. Za rok. Będzie przyjęcie, a ona dostanie mnóstwo prezentów. Bardzo lubi komunię, ponieważ to znak, że msza niedługo się skończy. Podczas ślubu to zawsze bardzo interesująca chwila: goście po kolei defilują do ołtarza i można wtedy obejrzeć, jak są ubrani. Pauline jak urzeczona ogląda kapelusze, szale, etole, suknie, kostiumy, buty. Wszystko jest kolorowe, mieniące, zupełnie się różni od tego, co dorośli noszą zazwyczaj. W życiu by nie pomyślała, że kiedykolwiek zobaczy swoje cioteczne babki i samą babcię - osoby miłe, ale bardzo surowe - ubrane na turkusowo albo fiołkowo.

Po komunii ludzie zaczynają się wiercić. Zaraz koniec. Na myśl o wyjściu Pauline czuje dreszczyk podniecenia. Następne godziny będą bajeczne: zostanie sfotografowana w swoje ślicznej sukience; będzie się bawiła w ogromnym

ogrodzie; będzie jadła lody i ciasta. Będzie tańczyła i położy się spać późno w nocy.

No, już wychodzą z kościoła. Mama dokładnie im wytłumaczyła: mają się ustawić dwójkami według wskazówek cioci Laurence i w rytm muzyki iść wolniutko przed młodą parą. To bardzo przyjemna chwila, bo wszyscy będą na nich patrzyli i robili im zdjęcia.

Ciocia Laurence mówi, że jest problem: ponieważ Hadrien nie może iść w orszaku - zabrudził przecież strój! - jest nieparzysta liczba dzieci. Wygląda na zmartwioną. Żeby rozwiązać problem, próbuje to jakoś ułożyć na nowo. Szybko ustawia dzieci dwójkami według wzrostu. Aż nie zostaje nikt, kto mógłby iść z tą chorą dziewczynką. Oj, niedobrze, mówi ciocia Laurence. Mamy jedno dziecko za dużo. Pauline serce zaczyna mocniej bić. Przez chwilę podejrzewa ciocię, że chce usunąć na bok chorą dziewczynkę, ale zaraz ogarnia ją wstyd: jak mogła dorosłej osobie przypisać złe intencje? Przecież to by było straszne świństwo, gdyby dziewczynka nie mogła pójść w orszaku, skoro jest dziecięcą druhną. Nie, to niemożliwe. Ciocia Laurence zawsze jest miła dla dzieci. Ma problem, jasne, i nie wie, jak go rozwiązać. Tylko że chyba nie rozumie, jaką przykrość sprawi tej dziewczynce.

Orszak już się uformował, a dziewczynka stoi z boku, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje. Ciocia Laurence trzyma ją za rękę. Pauline mówi:

- Chcę iść w parze z tą dziewczynką. Będzie jej przykro, jak nie pójdzie w orszaku!

Ciocia spogląda na nią dziwnym wzrokiem.

- Nie - odpowiada szeptem. - Pójdiesz w parze z siostrą.

Pauline widzi, że ciocia stara się być dyskretna; popycha dzieci, by ruszyły naprzód, inaczej ludzie się zorientują, że coś jest nie tak. Pauline jednak nie chce, żeby tak się to odbyło.

- Nie - protestuje. - Clemence może iść sama na początku, a ja pójdę za rękę z tą dziewczynką.

Mówi specjalnie dość głośno, żeby inni usłyszeli i żeby ciocia musiała zmienić zdanie. Nagle wszyscy patrzą na nią i na ciocię, która zaciska usta.

- Dobrze - mówi.

Puszcza rękę dziewczynki, która ustawia się w orszaku w parze z Pauline.

Pauline widzi, że ciocia Laurence nie jest zadowolona, ale zaraz zapomina o tym zajściu. W nagrzanym powietrzu sunie naprzód głównym przejściem, starając się iść w rytm muzyki. Przed nią otwarte drzwi kościoła rysują się jako prostokąt intensywnego światła. Dziewczynka idzie obok. Bardzo dobrze się zachowywała przez całą mszę, mimo że śpiewała i recytowała modlitwy o wiele za głośno i wydawała przy tym jakieś przykre dźwięki. Pauline bardzo się cieszy, że trzyma ją teraz za rękę.

Na zewnątrz jest już mnóstwo osób, które wyszły, żeby porobić sobie zdjęcia. Orszak przystaje na szczycie schodów. Ciocia Laurence pomaga dzieciom tak się ustawić, by fotografie ładnie wyszły. Pauline ma stanąć na samym skraju, a dziewczynkę ciocia przesuwają troszkę za nią. Ludzie rzucają kwiatki i ryż. Bardzo to jest fajne. Goście wychodzą małymi bocznymi drzwiami i wkrótce się wydaje, że otacza ich ogromny tłum. Dość długo stoją w pełnym słońcu. Fotograf każe ładnie się uśmiechać i patrzeć na niego. Pauline skrupulatnie wykonuje polecenie. Bardzo chce, aby zdjęcia były udane i aby widziano, jak bajkowy jest ten ślub w jej opinii.

Po zdjęciach rozgląda się w tłumie za rodzicami, lecz nie przejmując się, że nigdzie ich nie widzi. Razem z Clemence i dziewczynką podchodzą do fontanny. Zanurzają ręce w zimnej wodzie. Dziewczynka kładzie na wodzie swój

bukieciak, który zaczyna się powoli obracać w papierowej kryzie.

- No pięknie! - mówi Pauline. - I jak go teraz odzyskasz?

W tej chwili czyjaś ręka chwyta bukieciak i potrząsa nim nad ich głowami. Deszcz kropelek spada na dzieci, które piszczą z radości. To mama chorej dziewczynki.

- Byłyście śliczne w orszaku - chwali. - I grzeczne w kościele. Bravo!

Pauline przepelnia duma. Zawsze miło jest otrzymać pochwałę. A mama dziewczynki pyta:

- Mogę ci zrobić zdjęcie z Lucie?

Pauline oczywiście się zgadza. Biorą się za ręce i pani fotografuje je w tych ślicznych różowych sukienkach przed fontanną pokrytą pieniącą się wodą.

Podbiega do nich ciocia Marie. Ma śmieszny kapelusz i torebkę w kształcie konewki. Niesie Hadriena na rękach. Oznajmia, że zawiezie je na miejsce samochodem, ponieważ rodzice już tam pojechali. Dzieci bardzo ją lubią, bo jest naprawdę zabawna i tylko ona w rodzinie używa brzydkich wyrazów, takich jak: „Co to za burdel?” albo: „Cześć, paskudy”. Bardzo to denerwuje babcię, tatę i w ogóle wszystkich w rodzinie. Tata mówi: „Daj znać, jak zdecydujesz się dorosnąć”, a mama na to: „Zostaw ją w spokoju”.

Mama uważa, że ciocia Marie ma „złote serce”. Ale zabrania powtarzać brzydkie wyrazy.

Pauline jest naprawdę szczęśliwa, że ciocia Marie zawiezie ją na miejsce. W dodatku dzięki temu nie będzie musiała wsiadać do śmierdzącego auta taty. Dzieci są bardzo podniecone przyjęciem weselnym. Pauline dobrze wie, że nie mają prawa niczego się dopominać, lecz jeśli chodzi o ciocię Marie, to całkiem inna sprawa. Dlatego pyta:

- Ciociu, czy Lucie może pojechać z nami?

I natychmiast Clemence i Lucie podchwytyją:

- Tak, tak, tak! - I podskakują w miejscu.

Ciocia Marie z wahaniem spogląda na mamę dziewczynki.

- Ja nie mam nic przeciwko temu - mówi. - Więc jeśli pani pozwoli...

Pani ma trochę zdziwioną minę. Widać, że się zastanawia. A dziewczynki dalej podskakują w miejscu i wrzeszczą:

- Tak, tak, tak, Lucie jedzie z nami! Ciocia Marie dodaje:

- Wie pani, to niedaleko, a ja jeżdżę ostrożnie. .. Szkoda odmawiać, skoro tak się cieszą.

No i pani w końcu się zgadza, więc ciocia prowadzi czwórkę dzieci do swojego auta.

Strasznie lubią jej auto. Jest stare i trochę poobijane. W środku nie pachnie skórą jak w samochodzie taty. A na desce rozdzielczej zawsze stoi duże pudełko z cukierkami truskawkowymi, którymi dzieci się opychają, ilekroć z nią jadą. Ale dzisiaj ciocia Marie oświadcza:

- Nie ma mowy! Zaraz dostaniecie górę różnych słodczy, więc obejdzie się bez cukierków.

- Tylko po jednym! - proszą. I ciocia Marie zaraz ustępuje:

- No dobrze, tylko błagam, nie wysmarujcie sobie sukienek, bo taka jedna wypruje mi flaki!

Normalnie Pauline siada z przodu, ponieważ jest najstarsza, ale dzisiaj chce usiąść z tyłu z Lucie. Ciocia Marie się zgadza, więc z przodu sadowi się Clemence, tylko nie wolno mówić o tym mamie, bo zabroni im na zawsze jeździć z Marie. Ciocia sprawdza, czy wszyscy dobrze zapięli pasy. Po czym woła:

- No to jazda!

I rusza. Pauline czuje się rozkosznie szczęśliwa na wąskiej krętej drodze, która prowadzi do młyna. Chociaż zwykle nie lubi zakrętów.

Hadrien jest smutny, że nie mógł siedzieć w pierwszej ławce z dziecięcymi drużbami i pozować do zdjęć przed kościołem.

- Nie przejmuj się, stary - pociesza go ciocia. - Natrzaskają jeszcze całą kupę zdjęć w młynie. Mówię ci, do wypęku! I wiesz co? Poprosimy ciocię Berengere, żeby jedno sobie zrobiła tylko z tobą, jak zakochani... Pasuje? Chcesz jeszcze cukierka, misiu?

Hadrien pociąga nosem. Chce cukierka. Dziewczynki podnoszą krzyk, że to niesprawiedliwe. A ciocia Marie na to:

- Hadrienowi przysługuje dodatkowy cukierek, bo już się wypaćkał. A wy, laseczki, musicie wytrzymać aż do ciastek.

Na ostatnich kilometrach opuszczają wszystkie szyby i na cały głos, z wiatrem we włosach, jak najgłośniej wyśpiewują chórem „Glory, glory, alleluja”. Ciocia Marie jest naprawdę super.

W młynie - coś wspaniałego. Dziewczynki najchętniej pognałyby pod drzewa i tarzały się w trawie. Ale znów trzeba się ustawiać do zdjęć. Pauline zaczyna mieć tego dosyć. Zaganiają dzieci w pobliże wielkich drzew i okrytych kwieciami krzewów. Pauline znów jest z kuzynami i kuzynkami oraz z dziećmi z tej drugiej rodziny. Fotograf wydaje polecenia. Dzieci posłusznie robią, co każe. Ciocia Laurence krząta się wokół, układając malowniczo welon cioci Berengere, wyglądając ubranka, dorzucając swoje trzy grosze na temat ustawienia.

W pewnej chwili następuje przerwa między jedną a drugą serią zdjęć. Ciocia Berengere kiwa na Laurence, aby podeszła. Jest zdenerwowana. Szepcze jej coś na ucho, lecz Pauline niechcący wszystko słyszy:

- Przegoń stąd tę małą!

I od razu rozumie, że mówią o chorej Lucie. Tyle wrogości jest w tych słowach, aż przebiega ją dreszcz - zdziwienia i strachu.

Ciocia Laurence natychmiast odwraca się do Lucie i jęczy zaskoczona:

- Ojej! A co my tu mamy na sukience? Chodź, kotku, zaraz temu zaradzimy.

Zabiera ją na bok i zaczyna ścierać z przodu sukienki niewidoczną plamę, wygładzać materiał, znów pocierać, rozpina guziczek na końcu zamka błyskawicznego, otrzepuje, na powrót zapina. Strasznie długo to trwa, ponieważ parę razy zaczyna od nowa. Lucie nie protestuje, bo nic z tego nie rozumie. Chciałaby wrócić do dzieci, znów ustawiać się do zdjęć, ale ciocia Laurence bierze ją zdecydowanie za rękę i razem odchodzą. Pauline patrzy, jak ciocia idzie pewnym krokiem, ciągnąc za sobą Lucie, która się opiera.

Podchodzi do nich jakaś pani. Pauline poznaje mamę Lucie. Nie słyszy, jakie pytanie kieruje do cioci ani co ciocia jej odpowiada. Wygląda na to, że tłumaczy coś długo. Wskazuje przód sukienki Lucie. Pani spogląda na sukienkę i słowem się nie odzywa. Po czym ciocia Laurence pospiesznie wraca do nich. Pauline widzi, jak pani śledzi ją wzrokiem, który zatrzymuje w końcu na upozowanej grupce. Lucie chce wrócić do dzieci; mama nie pozwala i przytrzymuje ją. Lucie się wyrywa, lecz mama bierze ją na ręce i trzyma przytuloną. Cały czas ich obserwuje, kołysząc córeczkę w ramionach. Pauline przechwytuje jej spojrzenie i widoczny w nim smutek przeszywa ją boleśnie.

Rozlega się głos fotografa:

- No, dzieci! Uśmiechamy się!... Hej, dziewczynka w pierwszym rzędzie po lewej! Patrz na mnie, mała!

Ale ona patrzy w drugą stronę, w stronę pani, która z daleka spogląda na dzieci upozowane do zdjęć do albumu.

- Pauline!... Pauline, ocknij się! Patrz na pana!

I księżniczka władczo zaciska dłoń na jej ramieniu, szarpie ją gwałtownie. Wtedy Pauline wolno obraca głowę twarzą do obiektywu i zaraz ręka księżniczki przestaje ją ścisnąć. Fotograf powtarza:

- No, dzieci! Uśmiechamy się!

Pauline jednak po raz pierwszy w życiu stwierdza, że ma dość słuchania dorosłych. Że już nie ma ochoty ich słuchać. Nieruchomieje. Skupia wzrok na czarnym oku obiektywu. I na zawsze staje się dziewczynką z pierwszego rzędu po lewej, która nie uśmiecha się na zdjęciach.

BERTRAND

Od kwietnia aż do września ani chwili wytchnienia: oprócz normalnych posług w trzech parafiach, które są pod jego pieczęcią, na głowie ma też przygotowania do ślubów i celebrowanie sakramentu. W każdy weekend trzy, czasami nawet cztery razy. Wspaniały romański kościół jest architektoniczną perłą w regionie. Wszystkie przewodniki umieszczają go na poczesnym miejscu. A tego typu reklama przyciąga pary, które pragną wstąpić w związek małżeński w wyjątkowym otoczeniu.

W kościele znajduje się zabytkowa figura świętej Agaty z drewna polichromowanego. Świętej Agaty, która poniosła męczeńską śmierć, ponieważ odmawiała pójścia za męża, pragnąc się poświęcić służbie Chrystusowi. W pewnym sensie to zabawne, że akurat ten posąg ogląda takie tłumy ludzi biorących ślub. Uśmiechnięta patetycznie święta niesie na tacy swoje dwie wyrwane piersi, dwa jasne stożki w kałuży krwi.

Bertrand nie ma złudzeń. Większość par decyduje się na ślub tutaj, aby mieć ładne tło dla zdjęć z uroczystości. Na ogół nie są to tutejsi parafianie. Ludzie z okolicy, których zwabiła uroda kościoła. Co nie znaczy, że się pobierają wyłącznie „dla zdjęć”, co to, to nie. Wiele osób uważa ślub za najważniejsze wydarzenie w swoim życiu. Wielu osobom się wydaje, że tylko ceremonia w kościele może wnieść w ich związek stosowną dozę solenności.

Lubi się zajmować przygotowaniami do ślubu. W miesiącach poprzedzających zawsze się umawia na co najmniej cztery spotkania z narzeczonymi. Pragnie ich chociaż trochę poznać, aby nadać rytuałowi nieco bardziej osobisty kształt. Zachęca ich, by rozważyli, na czym się zasadza ich zaangażowanie, zastanowili się, w jaki sposób będą po chrześcijańsku wiedli życie małżeńskie. Jest im przewodnikiem w sprawach organizacyjnych, pomaga wybrać

czytania i pieśni. Dla niego to okazja do spotykania ludzi z bardzo różnych środowisk, wierzących głęboko albo powierzchownie, mniej lub bardziej interesujących, to prawda, niemniej nikomu nie odmawia. Jest szczęśliwy, mogąc ich przyjmować w swoim kościele. On wierzy głęboko. W każdej chwili życia stara się kierować miłosierdziem. A tyle par, które może połączyć świętym węzłem małżeńskim, niewątpliwie pozwala zachować nadzieję.

Za kilka chwil będzie celebrował trzeci ślub tego dnia - jeden był o dziesiątej, drugi o czternastej. Pierwsze spotkania z narzeczonymi były udane: zmotywowani młodzi ludzie, intelektualnie na dobrym poziomie, chociaż spraw duchowych nie stawiają na czołowym miejscu. Oboje mają to, co on nazywa „dobrymi podstawami”: otrzymali staranne wykształcenie religijne, darzą się szczerą miłością, marzą o ognisku domowym... Porządni przedstawiciele masy „wierzących niepraktykujących”. W dzisiejszych czasach to już dużo.

Zorganizowanie spotkań było dość skomplikowane, ponieważ oboje mieszkają daleko, a sprawy zawodowe nie pozwalają im na swobodne dysponowanie czasem. Decyzję o ślubie w tym kościele podjęli, kiedy byli na jakimś zjeździe rodzinnym w posiadłości rodziców panny młodej.

Ostatnie spotkanie anulowali dość obcesowo, informując go dopiero w umówiony dzień. Zirytował się tym osobliwie, a zarazem poczuł zawiedziony, ponieważ miał o nich wysokie mniemanie, aczkolwiek kobieta wydawała mu się raczej wyniosła. Choć może po prostu zachowuje się z rezerwą; nie chce jej osądzać. Właśnie ona zatelefonowała i oświadczyła, że zmuszeni są odwołać spotkanie z ważnych przyczyn osobistych. Zapytał: „Ważniejszych od dobrego przygotowania własnego ślubu?” Odpowiedziała oschle:

przykro jej, ale nie zawsze może robić to, co by chciała. I pożegnali się po tych nieco cierpkich słowach.

Później wyrzucał sobie, że tak gwałtownie zareagował, zamiast okazać zrozumienie. Ludzie pracują. Mają obowiązki. Każdemu może się zdarzyć, że musi odwołać spotkanie. Ostatecznie mieli tylko ustalić drobne szczegóły organizacyjne; zdążyli wszystko omówić dzisiaj, przed samą ceremonią. W gruncie rzeczy bez tego ostatniego spotkania mogło się obejść. Musi jednak przyznać, że był zawiedziony i sprawiło mu przykrość, gdy odwołali przyjazd. Dobrze mu robią spotkania z ludźmi.

Nigdy nie wątpił w swoje powołanie. Jest szczęśliwy, nawet jeśli czasami mu ciężko. Posługa w trzech parafiach to naprawdę duże brzemię. W tym regionie, dotkniętym emigracją ze wsi do miasta, połowa domów to domy letniskowe. Życie we wsiach zamiera, parafie się wyludniają. Dużo w nich starszych ludzi. Co roku mniej. Śluby i nieliczne chrzty to dla niego praktycznie jedyna okazja obcowania z młodymi. Marzył o czym innym, rzecz jasna, lecz nigdy nie miał wrażenia, że jest niepotrzebny. Nigdy.

Właściwie sam musi się zajmować kościołami. Staruszka, która pomagała mu od lat, umarła w zeszłym roku we śnie, zupełnie niespodziewanie. Nie mógł jej nawet udzielić ostatniego namaszczenia. Od tej pory nie ma kto się zajmować kwiatami na ołtarzach i sprzątaniami. Chętni do pomocy nie biegają po ulicach. Toteż co tydzień po kilka godzin spędza w domach Bożych ze szczotką i szmatą w rękach. Jest samoukiem, jeśli chodzi o sztukę bukiciarską, niemniej nawet nieźle sobie radzi. W trosce o oszczędności biskupstwo pozbawiło go środków na utrzymanie gosposi, która u niego sprzątała, gotowała, prała. Ale to nic. Sam radzi sobie całkiem dobrze. Plebania jest wielka i zapuszczona. Bertrand zajmuje tylko trzy pomieszczenia na parterze i za punkt honoru stawia

sobie utrzymywać je w nienagannym porządku: sypialnię z małą łazienką z prysznicem, przestronny gabinet, w którym pracuje i przyjmuje gości, oraz wielką kuchnię służącą również jako jadalnia. Lubi gotować. Pod względem kulinarnym nie żałuje Melanie, która była fatalną kucharką. Jeśli natomiast chodzi o resztę, nie stawia sobie wygórowanych wymagań. Ma co innego do roboty niż prasowanie ubrań. Ludzie przywykli, że chodzi w wymiętych spodniach i koszulach, a on ma w nosie, co o tym myślą.

W sumie odnosi wrażenie, że większa część życia upływa mu na załatwianiu spraw finansowych. I to jest najgorsze: gonienie za groszem na utrzymanie trzech parafii i brak czasu, który mógłby poświęcić duchowym sprawom swoich wiernych. Nie można nawet powiedzieć, że jest tu jakieś życie parafialne. To znaczy jest - na poziomie wegetatywnym. Coraz mniej dzieci przychodzi na katechezę. Tu czy tam wypowiada ze dwie, trzy starsze panie, czasem poratuje jakiegoś bezdomnego, który prosi o wsparcie w zamian za drobną pracę. Co rusz udziela ostatniego namaszczenia. A śluby są tym rodzajem działalności, który pozwala mu się utrzymać na powierzchni.

Chociaż żyje w zapadłej dziurze, nigdy się nie czuł odcięty od świata. Uważa się za dobrze poinformowanego. Siedzi bieżące wydarzenia. Dużo czyta. Prasę katolicką, ale także większość dzienników ogólnokrajowych. Zło szerzy się wszędzie z bezwstydną zuchwałością. Masakry, zbiorowe mogiły, wybebeszone noworodki, zgwałcone kobiety, dzieci wykorzystywane seksualnie, bite na śmierć, ludzie mordowani za to, że odmówili poczęstowania papierosem... Takiego doczekaliśmy się świata dwa tysiące lat po przyjściu Chrystusa.

Rozważa czasem, czy naprawdę można zmusić zło do odwrotu. Aby nie poddać się zwątpieniu, modli się do Tego,

który cierpiał, by odkupić grzechy świata. Stara się wieść przykładne życie, dokładać swoją modlitwę - niezauważalną, pokorną, niewiele znaczącą - do budowli. Powtarza sobie, że ludzi stać na niesamowite rzeczy. Jednakże im więcej się nad tym zastanawia, tym silniejsze ogarnia go przekonanie, że koniec końców i tak triumfuje zło. Świat owiewają złe wiatry, okrywa go posepna mgła, gigantyczny cień.

Odprawianie nabożeństw nie przynosi mu takiego ukojenia i radości jak powinno. Niewątpliwie dlatego, że uczestniczy w nich coraz mniej wiernych. Bywają dni, że wraz z nim śpiewają trzy osoby... Odrobiny spokoju zaznaje jedynie w chwilach, gdy sam się modli przed figurą świętej Agaty.

Są miejsca, które łapią za serce. Głębia panującej w nich ciszy, intensywność światła, słodczy zapachu nadają modlitwie niepospolitą wymowę.

Rodzi się wtedy w człowieku wrażenie, że jego słowa podążają wprost do Boga. To oczywiście głupie: Bóg jest wszędzie, nawet w najgłębszych zakamarkach duszy, i słyszy modlitwę, zanim jeszcze zostanie wypowiedziana. Nie ma powodu, aby okazywał szczególną uwagę tej, którą się wygłasza pośród woni kadzidła w wielkiej katedrze czy kaplicy albo w mroku romańskiego kościoła ozdobionego drewnianymi rzeźbami polichromowanymi. Chciałoby się nawet wierzyć, że wysłuchuje zwłaszcza modlitw, które zanoszą ku Niemu maluczcy z nor i ruder, gdzie światło nie ma przystępu. Chciałoby się w to wierzyć.

Ten kościół, taki skromny i piękny, taki stary, jest Bertrandowi przystanią w jego jałowym życiu. W kamiennych murach tej świątyni czuje przyływ miłości do Pana i zapomina o gęstym woalu, który okrywa świat.

Od kilku miesięcy chodzi mocno wzburzony: zdarzają się dni, kiedy czuje w pobliżu czyjąś obecność. Coraz częściej

odnosi wrażenie, że jakaś tajemnicza złowroga istota krąży po okolicy.

Dotąd nie wierzył w coś takiego. Im żarliwsza była wiara Bertranda w Boga, im wyraźniej doświadczał Jego miłości, tym mocniej powątpiewał w istnienie Innego. Myślał: zło jest wymysłem ludzi, którzy odtrącają Boga, odwracają się od Niego albo nie potrafią Go odnaleźć. Stanowczo odrzucał ideę, że mogłaby istnieć jakaś transcendentna zasada, która byłaby Złem, szatanem, diabłem czy jakkolwiek to nazwać. Wiedział oczywiście, że taki pogląd jest niezgodny z tym, co mówi Kościół; w sumie jednak stwierdzał, że jego przeświadczenie jest równie dobre jak opinia najmądrszych nawet teologów. Przedtem po prostu w to nie wierzył.

Ale coś się zmieniło. Ta złowieszczą obecność, którą niekiedy wyczuwa, obecność czegoś, co błąka się po kościele i kręci koło niego. Przez krótki czas zastanawiał się nawet, czy nie doznaje jakby halucynacji. Zrobił rachunek sumienia. Pomodlił się. Na próżno - nie ustało. To coś w rodzaju zimnego pyłu, który opada mu na ramiona, wciska się wszędzie, rozprasza go, doprowadza do rozpacz. Pozbawia możliwości zaznania w ciągu dnia choćby chwili spokoju, kiedy mógłby pomyśleć o czymś przyjemnym i konstruktywnym.

Ostatnimi czasy nie jest w stanie odprawić mszy jak należy, spodziewa się bowiem, że lada chwila pośród parafian dostrzeże istotę, która lodowatym spojrzeniem przeszyje go na wylot i pozbawi życia, a wiernych samą swoją obecnością sparaliżuje, uniemożliwiając modlitwę i unicestwiając wszelką nadzieję.

Mawia sobie niekiedy: tracę rozum! Wariuję! Wie jednak doskonale, że tak nie jest. Daleko mu do utraty rozumu, jest po prostu odrobinę przepracowany. Musi wytrzymać. Modli się do Boga, by wlał w niego Swoją siłę, dał mu odczuć Swoją

miłość, jak zawsze dotąd czynił. Modli się również do świętej Agaty, dziewiczej męczennicy o słodkim uśmiechu i z piersiami na tacy.

Dzisiaj czuje się bardzo zmęczony, lecz to nie powód, aby się poddawać. Ma udzielić jeszcze jednego ślubu. Musi wytrzymać. Ojciec panny młodej, bardzo dystyngowany, przyszedł do niego przed chwilą. Chodziło mu o uregulowanie należności za ceremonię - pytał go, co woli: czek czy gotówkę? Księża mają obowiązek zgłaszać każdą otrzymaną kwotę. On zasadniczo nie ma preferencji, aczkolwiek gotówka pozwala uniknąć papierkowej roboty. Na pokrycie kosztów i wsparcie w kosztach utrzymania kościoła prosi zwykle o jakieś osiemdziesiąt euro. Tak jest przyjęte, jeśli chodzi o mszę ślubną, ale oczywiście każdy może dać, ile uważa, zależnie od swoich możliwości. Ojciec panny młodej zaproponował dwieście euro. „Na wsparcie dla potrzebujących”, powiedział. Pogawędził z Bertrandem chwilę, wypytując uprzejmie o jego obowiązki, po czym zaproponował, by wpadł na koktajl, który się odbędzie po ślubie we młynie w Ganieres. Właściwie nigdy, można powiedzieć, nie zdarza mu się, by zaproszono go na przyjęcie. Kiedyś było inaczej: zapraszano księdza proboszcza, a ksiądz proboszcz bardzo był rad, że może spędzić trochę czasu w towarzystwie młodej pary, rodziców nowożeńców i gości weselnych. To należy jednak do zwyczajów, które wyszły z użycia, przestrzegają ich tylko nieliczne rodziny, gdzie jeszcze przetrwały niegdysiejsze dobre maniery. Przyjął zaproszenie z radością, z wdzięcznością niemalże. Zawsze ożywczo działa obcowanie z ludźmi wiodącymi egzystencję tak odmienną od tego, co jemu przypadło w udziale, otarcie się o życie hałaśliwe, gorączkowe, tak różnorodne i stymulujące.

Kilka godzin spędzonych w towarzystwie wiernych, rodziny, dla której celebrował ślub, chrzest czy nawet

pogrzeb, to dość, aby się nadzwyczajnie pokrzepił. Co ciekawe, widok bogactwa, radości i dziwactw ludzi żyjących w świecie odległym o tysiące mil pomaga mu docenić bogactwo własnego życia i zrelatywizować jego trudy. To dzisiejsze nieoczekiwane zaproszenie było dla niego balsamem na skołataną duszę i uciszyło nękające go ponure myśli.

Z radością zatem wita w domu Bożym wystrojony barwny tłum gości. Stoi w prezbiterium z rękoma skrzyżowanymi na brzuchu, z dobrotliwym uśmiechem na ustach. Przybyli zajmują miejsca, w ogóle na niego nie zważając, lecz do tego zdążył przywyknąć. To chwila, kiedy każdy szuka dla siebie miejsca, gdzie będzie mu najwygodniej podczas ceremonii, takiego, z którego wyjdą dobre zdjęcia, będzie miał oko na dzieci, szybko opuści potem kościół, by nie przegapić wyjścia młodej pary.

Z boku prezbiterium młody mężczyzna ustawia kamerę na statywie. W dzisiejszych czasach bez kamery ani rusz. W tym kościele nakręcono już setki godzin filmów. Tego Bertrand nie jest w stanie pojąć. Czy naprawdę małżonkowie później puszczają sobie wieczorami film z własnego ślubu? W kościele panuje względna cisza; ludzie porozumiewają się szeptem, uważają, by nie czynić hałasu. Potrafią się zachować. To już coś.

Z uwagą obserwuje zgromadzonych. Ogromnym wysiłkiem woli pokonuje zmęczenie. Koncentruje się. Boże, daj mi siłę modlić się za tych braci i siostry, których nigdy więcej nie zobaczę.

W pierwszej ławce wśród dziecięcych druhen zauważa dziewczynkę dotkniętą mongolizmem. Zazwyczaj taką rolę pełnią normalne dzieci, chłopcy i dziewczynki, wszyscy pięknie wystrojeni. Obecność tego dziecka w pewnym sensie dodaje mu otuchy. Tego się nie spodziewał po pannie młodej,

w jego mniemaniu osobie, która nadzwyczaj się troszczyła o to, aby uroczystość była wyrafinowanym, doskonałym w każdym calu przedstawieniem. Zdawała się zresztą dużo bardziej przejmować materialną niż duchową stroną ceremonii. Dlatego właśnie uważał ją za irytującą, a szczerze mówiąc - za antypatyczną. Zbyt pochopnie ją osądził. Obecność dziewczynki z mongolizmem wśród dziecięcych druhen dowodzi godnej szacunku otwartości umysłu.

Jeszcze kilka minut do wejścia młodej pary. Fotograf robi zdjęcia dzieciom grzecznie siedzącym w ławkach. Nawą zbliża się młoda kobieta. Nie ma cienia wątpliwości: to siostra panny młodej. Podobieństwo jest uderzające. Nachyla się do dziewczynki z mongolizmem, podnosi ją, ujawszy za rękę, i każe jej się przesiąść na miejsce większego chłopca w drugiej ławce. Jest uśmiechnięta, władcza, skuteczna. W parę sekund głowa dziewczynki niknie za plecami większego od niej chłopca. Dzieci wiercą się w ławkach, ale kobieta jednym spojrzeniem je ucisza, po czym gestem daje znak fotografowi, że może kontynuować. I wraca, pewna siebie i elegancka, na swoje miejsce kilka ławek dalej.

A Bertrandowi jakby w serce wetknięto zatrutą szpilę. Ty f r a n c o! myśli.

W tejże chwili do kościoła wkracza Inny, niewidzialny, wnoszący chłód, poprzedzając nieznacznie wejście nowożeńców.

Trzeba mu stawić czoło. Bertrand nie może pozwolić, by opadły go złe myśli. Nie może się poddać wpływowi. Kimże on jest, by osądzać? Kimże jest, by potępiać? Udzieli sakramentu małżeństwa jak należy.

Panie, daj mi siłę. Rozprosz ciemność, która mnie otacza. Pomóż mi modlić się za grzeszników, których Chrystus odkupił swoim męczeństwem.

Teraz nowożeńcy stoją przed nim skupieni, poważni; on zaś czuje, że na powrót ogarnia go spokój. Dziękuje Panu Bogu, że go wysłuchał. Może zacząć. Rozpoczyna rytuał tylekroć powtarzany: postępuje naprzód trzy kroki, rozkłada ramiona na znak powitania i uśmiecha się dobrotliwie. Wypowiada zdania, które zna na pamięć, lecz wygłasza je szczerze, z przekonaniem. Serdecznie wita przybyłych do domu Bożego, i to nie są czcze słowa. Mówi o wadze sakramentu, który zostanie tu udzielony, o swojej radości z przybycia Berengere i Vincenta, i to nie są czcze słowa.

Zaczyna się śpiew na wejście:

Chcesz, rozpalisz i rozognisz,
serca wzniesiesz na wysokość,
w ciemność rzucisz blask pochodni
i rozproszysz grzechu mroki.

Zgromadzeni podejmują słowa. Dobrze, to mu pomoże, będzie wsparciem.

Naszą nicość odbudujesz
w najpiękniejsze znów struktury,
tchnieniem swoim świat przesnujesz
w szeleszczących modlitw sznury.

Nie do wiary, jak bardzo te słowa dodają mu otuchy. Bertrand odnosi wrażenie, że słyszy je pierwszy raz w życiu.

Z mgieł konkretny kształt wywodzisz
i z chaosu piękno ładu.

Tyś spokojem wśród niezgody,
w bezradności Tyś jest radą.

Ta pieśń to znak od Boga. Właśnie coś takiego potrzebował usłyszeć, by pokonać zmęczenie i zapomnieć o obecności Innego.

Podchodzi siostra panny młodej na czytanie z Pierwszego Listu świętego Pawła do Koryntian. Wspaniały tekst. Klasyczny. Młoda kobieta ma na sobie doskonale skrojony

błękitny kostium i do kompletu kapelusz z szerokim rondem przybrany czerwonymi kwiatkami. Opiera na pulpicie bardzo delikatną dłoń; na jej palcu Bertrand zauważa wtedy błysk pierścionka z dużym diamentem. W kościele rozlega się jej dźwięczny głos:

- Bracia, starajcie się o większe dary: a ja wam wskażę drogę jeszcze doskonalszą. Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzęący.

W tejże chwili w głowie Bertranda rozbrzmiewa wyraźnie dźwięk cymbałów; serce mu lodowacieje i wali głucho. Inny jest tutaj, bliźniutko, w prezbiterium. Inny się wprasza, aby wraz z nim celebrować sakrament małżeństwa. Bertrand modli się żarliwie do Boga, by poczuć gorąco Jego miłości. Błaga Boga, by Inny sobie poszedł.

- Gdybym też miał dar prorokowania i znał wszystkie tajemnice, i posiadał wszelką wiedzę, i wszelką możliwą wiarę, tak iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, byłbym niczym.

Bertrand z rozpaczą błądzi wzrokiem po zebranych w świątyni, jakby szukał wsparcia w uśmiechu, spojrzeniu, twarzy jednego ze swych ludzkich braci. Ale oni go nie widzą. Wlepiają oczy w elegancką młodą kobietę, która z doskonałą dykcją czyta Pierwszy List świętego Pawła apostoła do Koryntian. Albo patrzą gdzie indziej. Na niego nikt nie zwraca uwagi. Nikt nie znalazł się tutaj ze względu na niego. Zimno mu. Chciałby, żeby go ktoś ogrzał. A Bóg nie odpowiada na jego wezwanie.

- I gdybym rozdał na jałmużnę całą majątność moją, a ciało wystawił na spalenie, lecz miłości bym nie miał, nic bym nie zyskał.

Bertrand patrzy na klejnot błyszczący na palcu młodej kobiety i myśli: już widzę, jak rozdajesz na jałmużnę swoją majątność...

- Miłość cierpliwa jest...

O, cierpliwości mam dużo, naprawdę dużo.

- ...łaskawa jest.

Jestem łaskawy dla każdego, służę wszystkim! Bo i cóż więcej mógłbym zrobić?... Całe moje życie sprowadza się do okazywania łaskawości i służenia!

- Miłość nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą; nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem...

Bertranda ogarnia naraz wrażenie, że ten tekst adresowany jest do niego jako wyrzut. Ci ludzie wyczuli wszystko to, co głęboko przed nimi skrywał. Ci ludzie przejrzeni jego najskrytsze myśli. I teraz przed całym światem zarzucają mu, że nie dość w nim miłości. Osądzają go. Pouczają.

- ...nie pamięta złego; nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. Miłość nigdy nie ustaje.

Miłość nigdy nie ustaje! Cóż, szczęśliwi ci, którzy zdołają to sobie wmówić. Szczęśliwi ci, którzy się pobierają, wierząc w to bez zastrzeżeń! Miłość nigdy nie ustaje! W te słowa on także na początku wierzył. Teraz, gdy ma doświadczenie, gdy odkrył jałowe obszary ludzkiego serca - w ciągu dwudziestu lat wysłuchał dosyć spowiedzi, by wiedzieć, o czym mówi - teraz zatem już w to nie wierzy. Ale oczywiście wyznać to może wyłącznie przed sobą.

Nagle Bertrand uświadamia sobie, że w kościele panuje głęboka cisza. Młoda kobieta wróciła na swoje miejsce i wszyscy grzecznie czekają, by odprawiał dalej nabożeństwo.

Bez wątpienia jego zamyślenie wzięto za skupienie. Wstaje, wychodzi przed zgromadzonych i intonuje psalm: .

Pan jest moim pasterzem,
nie brak mi niczego...

Gdzieś w tyle rozlega się ironiczny śmiech.

Po psalmie wynajęta przez młodą parę zawodowa śpiewaczka wykonuje „Ave Maria” Schuberta. Bertrand w życiu nie słyszał tego utworu tak zmasakrowanego. Kiedy wolno kroczy w stronę pulpitu na drugie czytanie, przy samym uchu znowu mu rozbrzmiewa coś jakby złowróźbne dzwonięcie. Położywszy obie ręce na pulpicie, na moment przymyka oczy; i wtedy uświadamia sobie, że to w nim: w głowie dźwięczy mu własny śmiech.

Śpiewaczka kończy - nareszcie! - Bertrand zaś zapowiada czytanie z Ewangelii świętego Jana. Wesele w Kanie Galilejskiej. Nie pojmuje, dlaczego narzeczeni najczęściej wybierają ten właśnie fragment ewangelii. Pewnie dlatego, że to jeden z bardziej znanych epizodów z życia Chrystusa. Pewnie także dlatego, że mowa w nim o weselu. I dlatego niewątpliwie, że ten cud ludzie świadomie albo nie uważają za sympatyczny: woda przemieniona w wino, na dodatek dobre!

Bertrand w zasadzie uważa, że ten tekst niezbyt pasuje do ślubu i nie ma generalnie wielkiego znaczenia. Nie podoba mu się zwłaszcza, że pierwszy cud Chrystusa jest ni mniej, ni więcej, tylko zachętą do pijaństwa. Załatwienie za jednym zamachem sześciuset litrów wina wydaje mu się zarazem głupie i śmieszne... Poza tym nie podoba mu się rola Maryi w całej tej historii. Czuje się zażenowany, że Matka Boża wstawia się u Syna w tak błahej sprawie, nalega, zmusza go, chociaż On uważa, że jego pora jeszcze nie nadeszła. Sześćset litrów wina. Nie ma co, weselnicy musieli się ładnie prezentować pod koniec przyjęcia! Każdy wie, że nie należy mieszać trunków, a tutaj mieli sześćset litrów dobrego wina po

nie wiadomo ilu litrach marnego... Bertrand aż boi się myśleć, jakie mogły być efekty. Co nie przeszkodziło ewangelistom napisać: „Objawił swoją chwałę i uwierzyli w Niego Jego uczniowie”.

Skończył czytanie. Podnosi wysoko ciężką księgę Nowego Testamentu i śpiewa: „Oto słowo Pańskie”.

Modlił się przed laty, aby Pan pomógł mu zrozumieć ten tekst, lecz nie doczekał się oświecenia. I jakże miałby odsłaniać jego ukryte znaczenie wiernym, skoro sam niewiele z niego rozumie? Bóg nijak go nie wspomógł. Nie natchnął go. Mimo to Bertrand musi podołać temu zadaniu, musi wygłosić takie objaśnienie, aby zadowoliło ludzi... Ma w tym wprawę. I doświadczenie. Na pamięć zna obrazy, którymi się posługuje Kościół, by tłumaczyć ukryte prawdy: woda żywa, chleb i wino, światło i ciemność, pasterz i owca. W pewnym sensie łatwo jest używać metafor, a następnie tym, którzy nic z tego nie pojęli, oznajmiać, że nie trzeba się starać zrozumieć, wystarczy tylko otworzyć serce, a pod adresem marszczących brew z powątpiewaniem dodać: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą”. Kiedy Bertrand czuje się zmęczony poszukiwaniem prawdy, również zdaje się na Boga. Mówi Mu: „Jestem Twoim dzieckiem”. I jak zbląkane dziecko dopomina się o Jego miłość, prosi, by zesłał nań Swoją światłość.

Wiele pracy i zabiegów retorycznych kosztowało go przygotowanie kazania, które postara się wygłosić z przekonaniem. Początkowo mnóstwo czasu tracił na przygotowywanie homilii, na zagłębianie się w teksty tylekroć czytane, by spojrzeć na nie świeżym okiem. Aż kiedyś uświadomił sobie, że wierni słuchają go uprzejmie i z uwagą, lecz z niejakim roztargnieniem. Na ogół spodziewają się po nim, że wygłosi ze dwie, trzy prawdy ogólne i niezbyt

zakłócające spokój, aby mogli odejść ze spokojnym sumieniem w poczuciu wypełnionego obowiązku.

Z biegiem lat objawiła mu się prawda boleśnie oczywista: nikt nie liczy, że znajdzie w nim rzeczywiste wsparcie. W gruncie rzeczy ludzie nie wierzą, żeby człowiek, który wie takie jak on życie - życie tak odmienne - mógł im służyć wielką pomocą. Bertrand zrozumiał, że wierni pragną mieć przede wszystkim liczącą się w okolicy postać, która zawsze będzie w zasięgu ręki, kogoś na kształt nieszkodliwego ojca, którego pouczenia zna się już wprawdzie na pamięć, lecz i tak trzeba ich wysłuchiwać co niedziela w nieskończoność... Ludzie nie lubią zamieszania. Chcą, żeby wszystko było zawsze takie samo, żeby rok upływał w rytmie świąt: Jezusek w żłóbku, osiołek, wół, gwiazda, Trzej Królowie, Niedziela Palmowa, śmierć na krzyżu, zmartwychwstanie trzeciego dnia, Wniebowstąpienie, Wniebowzięcie, Wszystkich Świętych i chryzantemy... Żeby wszystko było na swoim miejscu i żeby można za tym zatrzaskać drzwi kościoła.

Z trudem Bertrand zaczyna wygłaszać kazanie. A cóż ja tutaj wygaduję? Koncentruje się na kartce leżącej na pulpicie. Muszę wziąć się w garść, muszę sprawiać wrażenie, że wierzę w to, co mówię: „Pan Jezus na weselu postanowił uczynić swój pierwszy cud. I tym samym wpisał swoją misję w dynamikę jedności - jedności Chrystusa z Jego Kościołem, ale także jedności wszystkich braci w wierze.

Spogląda po zgromadzonych. Połowa nie słucha, myśli, druga połowa się zastanawia, kiedy będzie koniec. Panie, wspomóż! Zmęczenie go przytłacza. „Pan Jezus przemienia wodę w wino. Ten pierwszy cud symbolizuje i zapowiada inny cud: cud transsubstancjacji, czyli przeistoczenia chleba w ciało Chrystusa i wina w Jego krew. To eucharystia, którą przeżywamy w każdą niedzielę - i dzisiaj także razem ją

przeżyjemy tutaj, w tej świątyni - kiedy kapłan podnosi przed oczami wiernych chleb i wino, owoc pracy człowieka.

Bertrand czyta dalej, z natężeniem wpatrując się w kartkę. To stare kazanie, napisane odręcznie przed laty. Wygłaszał je wiele razy tutaj, w tym kościele, zawsze z jednakowo niemiłym uczuciem, z jednakowym wrażeniem, że nie wierzy w to, co mówi. Kilka dni wcześniej dla spokoju sumienia dokonał w kazaniu kilku drobnych poprawek.

Odczytuje tekst głosem monotonnym, starając się tchnąć w słowa odrobinę ciepła i przekonania.

Koniec. Spogląda po zgromadzonych. Nie wydaje mu się, żeby zauważono jego pomieszenie, znużenie. W każdym razie nikt nie reaguje. To grupa ludzi dobrze ułożonych i naprawdę taktownych. Pragną powiedzieć po wyjściu stąd: „Nabożeństwo było ładne, skłaniało do zadumy. Śpiewaczka doskonała, muzycy bardzo dobrzy. Kościół jest wspaniały. Panna młoda pięknie wygląda”. Bertrand jest tylko elementem wystroju, dodatkiem niezbędnym, by uroczystość się udała.

Zimno mu. To ze zmęczenia. Owiewa go lodowaty podmuch. Kryształki szronu mrożą mu ramiona. Ma dość wystawiania tutaj, podawania im na tacy ceremonii, z której nikomu nic nie pozostanie w pamięci. Tylko uroda świątyni i wyważone gesty zdyscyplinowanego kapłana. Nie widzi powodu, aby przesadnie się wysilać, starając się ich pokochać, aby prosić Boga o obdarzenie ich miłością, skoro w zasadzie wszyscy mają to gdzieś.

Postanawia zatem przyspieszyć. Mechanicznie recytuje formułki tylekroć powtarzane:

- Berengere i Vincencie, wysłuchaliście słowa Bożego i przypomniałiście sobie znaczenie ludzkiej miłości i małżeństwa. W imieniu Kościoła pytam was, jakie są wasze postanowienia. Czy chcecie dobrowolnie i bez żadnego przymusu zawrzeć związek małżeński?

Ledwie daje czas młodej parze odpowiedzieć „Chcemy”, po czym ciągnie:

- Czy chcecie wytrwać w tym związku w zdrowiu i w chorobie, w dobrej i złej doli, aż do końca życia?

- Chcemy. Kontynuuje niczym rozpędzona maszyna:

- Czy chcecie z miłością przyjąć i po katolicku wychować potomstwo, którym was Bóg obdarzy?

- Chcemy.

- Skoro zamierzacie zawrzeć sakramentalny związek małżeński, podajcie sobie prawe dłonie i wobec Boga i Kościoła powtarzajcie za mną słowa przysięgi małżeńskiej.

Robią, co im polecił, wyraźnie odczytując formułki zapisane na kartkach. Dla narzeczonych i ich rodzin ta chwila jest zawsze wzruszająca. Bertrand jednak w tym wypadku jest odporny na wszelkie emocje. Chce się pozbyć tych ludzi jak najszybciej.

- Małżeństwo przez was zawarte ja powagą Kościoła katolickiego potwierdzam i błogosławię w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Podczas aklamacji Bertrand cały czas się wpatruje w nowożeńców. Wyglądają na lekko oszołomionych, lecz nie zaszkodzi przywołać ich do porządku. Sprawiają wrażenie młodych ludzi, których życie zawsze rozpieszczało. Wiedzą, czym jest sukces, siła pieniądza. Jest w nich arogancja tych, co powiadają: powiodło mi się i dokonałem tego sam... Dobrze im robi lekki wstrząs. To kształtuje charakter...

- Boże, pobłogosław Berengere i Vincenta i uświęć Twoich poddanych, którzy się miłują; a te obrączki, oznaczające wierność, niech pobudzają ich do wzajemnej miłości. Przez Chrystusa, Pana naszego.

Zamaszystym gestem czyni znak krzyża nad tacą, wątpi jednak w tej chwili, żeby błogosławieństwo Boże spadło na te obrączki niczym dobroczynny ożywczy pyłek. Uśmiecha się

gorzko. Pan Bóg ma co innego do roboty niż błogosławienie wysadzanych diamentami obrączek aroganckich nadzianych kołtunów. Panie, racz mnie nie wysłuchać! Naprawdę nie zwracaj sobie tym głowy!

Mój Boże, jakież to wzruszające! Wymieniają obrączki, znak ich miłości i wierności. No to teraz piękna formuła:

- Berengere i Vincencie, kochajcie się nawzajem na wzór Jezusa Chrystusa i Jego Kościoła.

Młodzi następnie wstają i odwracają się do zgromadzonych, by odmówić modlitwę małżonków. Panna młoda metodycznie z gracją układa wokół siebie fałdy sukni, nieco odsłaniając przy tym tiulową halkę.

- Dziękujemy Ci, Panie, że pozwoliłeś nam się spotkać...

Ach! Modlitwa małżonków! Prosił, żeby poświęcili nieco czasu i zredagowali ją wspólnie... a oni przyjechali z tekstem znalezionym w Internecie albo zerzniętym z innego ślubu.

- Zawieramy ten związek małżeński, aby się kochać i razem stworzyć ognisko domowe. Niechaj ono będzie miejscem spotkań otwartym na świat. Wspomóż nas, abyśmy się szanowali, i pomóż nam żyć w wolności i jedności.

Ewidentnie nawet przez ułamek sekundy nie próbowali napisać czegoś osobistego.

- Prowadź nas na drodze życia i spraw, abyśmy zawsze darzyli się wzajemną ufnością i wiernością i wierzyli jedno w drugie.

Kiedy ludzie są niewykształceni, Bertrand potrafi zrozumieć, że to dla nich dość trudne: nie umieją pisać, boją się, że nie znajdą właściwych słów. Namawia ich wtedy, by spośród gotowych tekstów wybrali ten, który najbardziej im odpowiada, ewentualnie proponuje, że pomoże ubrać w słowa to, co chcieliby wyrazić. Zawsze go wzrusza, kiedy przychodzą z nagryzmlonymi na kartce paroma niezręcznymi zdaniem. Pracuje zatem z narzeczonymi; pomaga dobrać

właściwe słowa i jakże go raduje widok młodych ludzi uszczęśliwionych, że udało im się razem z nim napisać tekst naprawdę osobisty.

Jeżeli natomiast narzeczeni mają wyższe wykształcenie, Bertrand uważa, że może od nich wymagać odrobiny wysiłku: by razem zredagowali kilka zdań, które wygłoszą wobec gości w dniu swojego ślubu. Nie twierdzi, że to łatwe, ale przecież do zrobienia. Cóż, ci dwoje nie mieli czasu.

- Spraw, by nasza miłość opromieniała naszych bliskich, przyjaciół i dzieci. Niechaj się nią radują.

Siadają na swoich miejscach. Panna młoda delikatnie przesuwając suknię na bok. Pilnuje, aby tkanina wytwornie opadała na ziemię. Bertrand dostrzega wtedy jej pantofelki z surowego jedwabiu. No tak, jakżeby inaczej - muszą przecież pasować do sukni za trzy tysiące euro, w którą się toto wystroiło. Toto śpiewa „Idę do Ciebie, Panie” ze skupieniem na twarzy, dbając o to, by odpowiednio prezentować profil do kamery, a nie było w stanie na własny ślub spłodzić paru linijek modlitwy od siebie.

- Jak możesz się godzić na udział w tej maskaradzie? - szepcze Bertrandowi czyjś głos za plecami.

Nie, nie za plecami: w najodleglejszych głębinach, w najdalszych zakamarkach jego jestestwa.

Piorunem odmawia modlitwę powszechną, nie zdając sobie nawet sprawy, co mówi. Podczas składki grane jest „Adagio” Albiniego, a głos bez przerwy mu powtarza:

- Co ty tu robisz? Czemu bierzesz udział w tej maskaradzie?

Nie próbuje tego głosu uciszyć. Wie doskonale, że ma słuszną rację. Słowa płyną z ust Bertranda, jakby kto inny je wypowiadał. Ale co tam! W tej chwili Pan Bóg go nie słyszy.

Wznosi hostię i kielich ku pustemu zimnemu niebu. Podczas „Ojcze nasz” czuje takie odrętwienie, aż boi się, że

padnie na ziemię jak długi. Chce jak najrychlej znaleźć się sam. Spiesząc się, recytuje szybko i monotonie:

- Módlmy się do Boga za tych zaślubionych, którzy zawierając związek małżeński, zbliżają się do ołtarza, aby posileni Ciałem i Krwią Chrystusa złączyli się na zawsze we wzajemnej miłości.

W czasie krótkiej chwili skupienia, która potem następuje, lodowate macki oplatają mu ramiona. Przywiera do niego Inny, sprawia, że rozpacz Bertranda staje się dotkliwsza. Ściska go swymi zdradzieckimi długimi palcami. I szepcze:

- Ci ludzie nie mają czego szukać w twoim kościele... Pozbądź się ich.

Czas na błogosławieństwo nowożeńców. Spieszno mu zakończyć to wszystko.

- Ojczy Świąty, Ty stwarzając człowieka na swój obraz i podobieństwo, powołałeś do istnienia mężczyznę i kobietę, aby jako mąż i żona, złączeni w jedno ciałem i duszą, spełniali w świecie swoje posłannictwo. Prosimy Cię, Boże, ześlij swoje błogosławieństwo na tych nowożeńców, Berengere i Vincenta, i wlej w ich serca moc Ducha Świętego. Spraw, Panie, aby żyjąc w tej sakramentalnej wspólnoty, którą dziś zapoczątkowali, obdarzali się wzajemnie miłością, i świadcząc w ten sposób, że jesteś wśród nich obecny, stanowili jedno serce i jedną duszę.

Zdanie gładko płynie po zdaniu. Bertrand nie próbuje obserwować reakcji wiernych. I tak połowa tych ludzi nie słucha i prawdopodobnie nikt nie zauważył nic nienormalnego.

- Udziel im też pomocy, Panie, aby dom, który Berengere i Florent zakładają, podtrzymywali wspólnym wysiłkiem, a swoje dzieci, wychowane w duchu Ewangelii, przygotowali do wspólnoty z Tobą w niebie.

Powiedział „Florent” zamiast „Vincent”. To imię podszeptał mu Inny, a on je powtórzył bez zastanowienia, przejęzyczył się naprawdę mimowolnie. Wśród zgromadzonych widać poruszenie, rozlegają się zażenowane śmiechy. Panna młoda siedzi blada jak kreda. Wydaje się sparaliżowana, niezdolna wykonać żadnego ruchu. Ścisła nerwowo rękę świeżo poślubionego męża. Obydwoje wyglądają na kompletnie oszołomionych. A w Bertrandzie wzbiera dzika radość. Odnosi wrażenie, że wyparowało z niego całe ludzkie ciepło.

- Błogosław swojej służebnicy Berengere, aby pełniąc zadania małżonki i matki, czystą miłością swój dom ożywiała, a zawsze życzliwa i dobra, była jego ozdobą.

Czarna mgła opada nań, otula go całego i wprawia w odrętwienie.

- Błogosław też swemu słudze Florentowi... Przerywa mu panna młoda głosem dławionym emocją:

- Nie Florentowi, tylko Vincentowi!

Wydaje się niewiarygodnie wstrząśnięta. Bertrand zaś przybiera skruszoną minę, składa ręce na znak prośby o wybaczenie, odczekuje moment i głosem pełnym namaszczenia powtarza:

- Błogosław też swemu słudze Vincentowi, niechaj dobrze wypełnia obowiązki wiernego męża i troskliwego ojca.

Po czym zadowolony i jakby złagodniały kończy promiennie:

- Ojcze Święty, spraw, aby ci, którzy wobec Ciebie zawarli małżeństwo i pragną teraz przystąpić do Twego stołu, radowali się w wieczności udziałem w obiecanej im uczcie niebieskiej. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.

No, po wszystkim. Zostali pobłogosławieni. Co prawda nie bez bólu, ale w dzisiejszych czasach trzeba sobie zapracować na błogosławieństwo Pana Boga. Bertrand

wyczuwa wśród weselników coś na kształt wszechogarniającej ulgi. A w nim gdzieś głęboko wzbiera bezdźwięczny chichot.

Od tej chwili skupia się tylko na sobie i w ogóle na nich nie zważa. Pragnie pozbyć się ich jak najrychlej. W karkołomnym tempie recytuje rytualne formuły. Przytłacza go lodowata fala, zmusza, by mówił coraz szybciej, by wypowiadał słowa niczym rozregulowany oszalały automat. Jest świadom, że popełnia bardzo ciężki grzech, grzech straszny, toteż prosi Boga, aby tym razem mu wybaczył, ponieważ nie ma już sił, dłużej tego nie wytrzyma.

- Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata...

- ...zmiłuj się nad nami.

Jego głos niczym krzyk wznosi się w świetle rozjaśniającym prezbiterium.

- Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata...

- ...obdarz nas pokojem.

Doprasza się rozpaczliwie, by Pan się ulitował i zesłał nań pokój.

Marzy, żeby już się skończyło. Potrzebuje samotności, chce się znaleźć daleko od tych ludzi darzących go obojętnością dorównującą tej, jaką on ich może obdarzyć. Niechże się stąd wyniosą! Niechże zejdzie mu z oczu ta nadęta oblubienica i jej mąż! Niech zabiorą kamery i aparaty fotograficzne! Niech zniknie siostra panny młodej, to wstrętne babsko, które kombinowało jak mogło, byle ukryć w drugim rzędzie dziewczynkę z mongolizmem!

Rozdaje komunię świętą, nie widząc niczyjej twarzy. Patrzy jedynie na usta, które się rozchylają, na języki wysuwane, by przyjąć hostię. Nie próbuje pochwycić niczyjego spojrzenia, w każdym bowiem wyczytałaby niechybnie tylko wrogość i niezrozumienie. I tak zresztą w

ogóle go to nie obchodzi. Wie, że już nigdy więcej nie zobaczy tych ludzi.

Po komunii następuje chwila cichej modlitwy. Zazwyczaj wtedy wszyscy zaczynają się wiercić, ponieważ koniec nabożeństwa jest bliski. Wiele osób zmierza już w stronę wyjścia, by porobić jak najlepsze zdjęcia młodej parze obsypywanej ryżem. Już niedługo.

Bertrand podsuwa nowożeńcom i świadkom rejestr do podpisu. Panna młoda jest leworęczna. Dłoń lekko jej drży i zostawia na papierze długą smugę niebieskiego atramentu. Kiedy podpisy zostały złożone, Bertrand zamyka rejestr z trzaskiem i odkłada na pulpit, na Ewangelię, by nie tracić czasu, gdy będzie wszystko zanosił do zakrystii.

No! Teraz jeszcze parę słów na zakończenie. Wolno, ze skupieniem na twarzy podchodzi do nowożeńców. Młodzi wstają. Dostrzega w ich oczach niejakie wzruszenie, niemy wyrzut, smutek, który wprawia go w zmieszanie. Trudno, wytrzymają, on musi zrobić swoje do końca. Patrząc im w oczy, mechanicznie recytuje:

- Bóg Ojciec niech was zachowa w miłości wzajemnej i zgodzie, aby pokój Chrystusowy w was zamieszkał i stale przebywał w waszym domu... Bądźcie szczęśliwi jako rodzice i ciesząc się życzliwością przyjaciół, żyjcie z ludźmi w prawdziwym pokoju... Wśród świata bądźcie świadkami, że Bóg jest miłością, aby stroskani i ubodzy, doznawszy waszej pomocy, przyjęli was kiedyś z wdzięcznością do wiekuistego domu Boga... Berengere i Vincencie, i was wszystkich tutaj zgromadzonych niech błogosławi Bóg wszechmogący, Ojciec i Syn, i Duch Święty.

Jego ręka zamasyście kreśli znak krzyża między nim a wiernymi, którzy odpowiadają chórem: - Amen.

Wypowiada teraz formułę rozesłania:

- Idźcie w pokoju Chrystusa.

- Bogu niech będą dzięki - rozlega się w odpowiedzi i śpiewaczka intonuje „Exsultate, Jubilate” Mozarta. Koniec.

Ludzie już się odwracają do niego tyłem, aby podążyć za nowożeńcami, którzy idą nawą poprzedzani różowo - niebieskim orszakiem dziecięcych drухen i družbów. Bertrand pochwytuje tu i ówdzie rzucane nań spojrzenia wrogie, gniewne, a nawet pogardliwe.

I naraz, kiedy tak patrzy za młodą parą oddalającą się ku światłu, gniew go opuszcza. Waży ciężar tego, czego się dopuścił. Zastanawia się, jak to się stało, jak mógł coś takiego zrobić im, ludziom nie gorszym od innych, ludziom, którzy ufnie zgłosili się do niego, by przygotować swój ślub. Stoi w prezbiterium zdruzgotany, dygoczący. Patrzy, jak odchodzą, opuszczają kościół, do którego nigdy więcej nie wejdą. Widzi, że spora grupa weselników wychodzi bocznymi drzwiami, jakby uciekali z miejsca nieprzyjemnego bądź niebezpiecznego. To straszna chwila.

Kościół niemal już opustoszał. W kierunku Bertranda zmierza ojciec oblubienicy, idzie bez słowa, patrząc mu prosto w oczy. Na niskim stoliku stoją dwa koszyczki z pieniędzmi ze składki. Mężczyzna schyla się i do jednego wkłada kopertę. Dwieście euro gotówką, jak obiecał. Po czym żegna się oschłym skinieniem głowy i odwraca. Dołączy teraz do gości weselnych na zalanym światłem dziedzińcu kościelnym, gdzie będą robione fotografie.

Bertrand zostaje wpatrzony w figurę świętej Agaty w długim różowo - niebieskim płaszczu. Męczennica niosąca swe białe piersi na złoconej tacy uśmiecha się do niego lekko. Długo Bertrand nie rusza się z prezbiterium, aby tamci mogli się do woli nafotografować. Później przed głównego wejścia znikają tiule panny młodej, znikają wytworne ciemne garnitury i kolorowe kapelusze. Cichną śmiechy i

pokrzykiwania. Rozlega się warkot uruchamianych silników samochodów.

Zostawili go samego. Oczywiście po tym wszystkim nie było mowy o zaproszeniu na kieliszek. Ojciec panny młodej milcząco je wycofał, kiedy spoglądał mu w oczy z zaciśniętymi ustami.

Jest sam jak zwykle. Zawsze będzie sam. Wolno idzie nawą, aż wychodzi na światło dnia. Ostatnie samochody orszaku ślubnego oddalają się, trąbiąc klaksonami. Patrzy na pył wzbijający się nad drogą w popołudniowym upale i za sobą słyszy rozbrzmiewający zimny chichot.

MADELEINE

Po sesji fotograficznej czuje się wyczerpana. Z mizernym skutkiem próbuje ukryć zmęczenie. Wie, że ma swobodę, lecz jest pod ciągłym nadzorem. Są tu dokoła wszyscy i wszyscy czuwają. Jej ulegli spostrzegawczy strażnicy. Jej dzieci.

Od ponad kwadransa Marie - Claire w kółko powtarza:

- Mamo, mówiłam, że uczestnictwo we mszy jest nierozsądne. Strasznie to mamę wymęczyło. Mama już tak nie może!

Marie - Claire mówi tak, jakby zmęczenie matki boleśnie przygniatało jej ciało, jakby matka, życząc sobie za wszelką cenę wziąć udział w ceremonii, popełniła wielki błąd, być może fatalny w skutkach.

Gdybyż biedna Marie - Claire miała głos mniej przenikliwy, może Madeleine zdołałaby ją ścierpieć. Nie mogąc tego jednak wytrzymać, oświadcza w końcu dość głośno, by wszyscy usłyszeli:

- Moja droga, gdybyś zechciała na chwilę zamilknąć, na pewno poczułabym się mniej zmęczona.

Broda Marie - Claire zaczyna drżeć; emocja zasnuwa jej duże niebieskie oczy i czyni głos jeszcze wyższym:

- Och, mamo! Jak mama może!... Chodzi mi tylko o mamy dobro!

Po czym obraca się na pięcie i oddala biegiem, by gdzieś na uboczu dyskretnie otrzeć kilka łez.

Madeleine wzdycha usatysfakcjonowana. Biedulko, leć wydmuchać nos, bez pośpiechu weź się w garść. Choć tyle będzie zysku.

Odzywa się Catherine:

- Mama jest zmęczona. Musi mama odpocząć przed kolacją. Odprowadzę mamę do pokoju.

- A cóż was napadło, że bez przerwy tylko powtarzacie: zmęczona i zmęczona?

Próbuje protestować, lecz tym razem ostatecznie ustępuje: ujmując córkę pod ramię i rusza z nią piękną alejką wysadzaną przepięknymi różami.

Catherine szepcze:

- Skoro już mama doprowadziła Marie - Claire do łez, domyślam się, że łatwiej uda się mamie zdrzemnąć.

Madeleine uśmiecha się blado i nie odpowiedziałwszy, pozwala, aby córka zaprowadziła ją do pokoju.

Dzieci jej nie pozwalają prowadzić samochodu. Ze zgorzaniem mówią:

- Ależ mammo, w końcu się mama zabije. Albo zabije kogoś!

Skonfiskowali jej klucz od starego clio. I ta ich nieznośna mania, żeby stale wszystko podkreślać, jej zwyrodnienie plamki żółtej i resztę. A nie można przecież przesadzać. Widzenie obwodowe ma całkiem dobre i bez problemu mogłaby prowadzić po bocznych drogach o niewielkim natężeniu ruchu. Prawda bowiem jest taka, że im sprawia przyjemność, kiedy ją sprowadzają do poziomu osoby wymagającej pomocy. Zmówili się, aby ją torturować.

Ma dość traktowania jej jak niedołącznej staruszki i przewożenia jak paczki. Zresztą nie ma zaufania, kiedy kto inny siedzi za kierownicą. Dlatego właśnie zażyczyła sobie noclegu tutaj. Nikt nie będzie musiał jej odwozić w środku nocy. Poza tym będzie o wiele spokojniejsza. Położy się spać, kiedy zechce, a do domu wróci jutro rano, zabierze się z Helene i Alexandre'em.

Zażądała pokoju z widokiem na park. Isabelle i Marie - Claire zaprotestowały:

- Ależ mama nie mówi chyba poważnie! Będą mamie przeszkadzały hałasy przyjęcia.

Madeleine jednak nie chciała ustąpić. To może być ostatnie wesele, w którym bierze udział. I bardzo dobrze, że

będzie słyszała muzykę i śmiechy. Poczuje się tak, jakby była wśród gości i do samego końca uczestniczyła w przyjęciu weselnym swojej kochanej Berengere.

W pokoju siada na łóżku. Serce bije jej szybciej, niżby sobie życzyła, z trudem więc próbuje jak najłżej oddychać.

- Chce mama, żebym zamknęła okiennice? - pyta Catherine.

- Nie, światło mi nie przeszkadza.

- Zostawię otwarte okno, żeby nie miała mama duszno.

- Świetnie...

- Marie - Claire wypakowała mamy walizkę.

- Czemuż ona się wtrąca? - rzuca Madeleine z irytacją. - Nie prosiłam, żeby grzebała w moich rzeczach.

Catherine odpowiada niewzruszenie:

- Przybory toaletowe położyła w łazience, a koszulę nocną na oparciu fotela.

- Jakbym sama nie mogła tego zrobić! Marzę o dniu, kiedy ta nasza biedulka zdecyduje się zająć w końcu własnymi sprawami, bo wszystkim nam odda wielką przysługę.

Catherine nadal nie traci nic ze swego spokoju.

- Choćby mama wygadywała najgorsze okropności, nie uda się wyprowadzić mnie z równowagi w dniu ślubu mojej córki.

Catherine kręci się po pokoju, przestawia kwiaty w wazonie, żeby Madeleine widziała je z łóżka. Stawia szklanekę wody na stoliku nocnym, przyklęka przed matką, aby zdjąć jej buty. Potem podtrzymując ją za ramiona, podnosi jej nogi i wolno kładzie ją na łóżku. Jej ruchy są precyzyjne, delikatne i stanowcze zarazem.

- Chce mama drugą poduszkę?

- Nie, tak jest dobrze... Chciałabym mieć książkę pod ręką, w razie gdybym...

Catherine grzebie w walizce i wyciąga z niej gruby tom, który kładzie na brzegu stolika nocnego. Uśmiecha się, ujrzawszy tytuł.

- „Uczta” Platona... Widzę, że bierze się mama za poważne lektury filozoficzne.

- I jeszcze się ze mnie natrząsasza!

- Skądże! Wręcz przeciwnie, cieszę się - zapewnia i z uśmiechem dotyka jej policzka. - Bardzo dzielna z mamy osoba. Niech mama tylko nie przemęcza oczu.

W szufladzie stolika nocnego zostawia mocno powiększającą lupę, którą Madeleine się wspomaga, czytając.

- Niech mama teraz odpoczywa. Zajrzę za jakąś godzinkę sprawdzić, czy czegoś mamie nie trzeba.

- Jestem wystarczająco dużą dziewczynką, żeby zadbać o siebie i zejść do was samodzielnie, jeśli będę miała ochotę! Kiedyż wy wszyscy przestaniecie mnie traktować jak niedołążną inwalidkę?

Catherine śmieje się cicho. Pochyliła się nad matką i szepcze:

- Niech mama nie udaje większej zołzy, niż jest.

Po czym ściska jej krótko rękę i wychodzi.

Madeleine uśmiecha się, słysząc zamykane cicho drzwi. Spośród wszystkich jej dzieci Catherine jest obdarzona chyba największą inteligencją. Tylko na niej żadnego wrażenia nie robią zgryźliwe bądź prowokujące uwagi Madeleine. Inni natychmiast się oburzają, protestują, biadolą, unoszą się gniewem. A Catherine pozostaje niewzruszona; uśmiecha się tylko ironicznie, choć z czułością. Ona jedna potrafi się jej sprzeciwić.

Leżąc na łóżku, Madeleine wpatruje się w ścianę pokrytą tkaniną z Jouy. W samym środku obrazu mruga do niej czarna plama. Wokół plamy jak wokół ciemnej studni tańczą różowi pastuszkowie. Teraz jej życie jest ciągiem fotografii

wypalonych pośrodku. Wszystko jest jasne, wszystko jest wyraźne oprócz tej czarnej plamy w środku tego, na co patrzy, plamy strasznej, nieusuwalnej. Tego się nie da wyleczyć. A ona nie może przywyknąć.

Rozgląda się po pokoju, długo wpatrując się w każdy szczegół. Ciemny krąg otaczają obrazy wyraźne, lecz niekompletne, jakby pożarte przez ciemność, która wyrasta w środku. Trzeba czasu, by po kawałku poskładała sobie widok całości. Czasu jednak jej nie brakuje. Jest stara. Nic innego nie ma do roboty.

Słyszy zgiełk dochodzący z parku, śmiechy gości, pokrzykiwania dzieci, brzęk szkła, niezrozumiały gwar, nad który co rusz wybija się głośniejszy dźwięk. Niekiedy wydaje się jej, że rozpoznaje znajomy głos. Działa to na nią kojąco, jakby otulało ją życiodajne ciepło niesione hałasami kradzionymi przyjęciu.

Nie jest jej smutno, przeciwnie. Dziś nawet jest wyjątkowo szczęśliwa. Nie co dzień wydaje się za męża ulubioną wnuczkę. Przyjazd tutaj sprawił jej ulgę. Ostatnie miesiące były trudne; zastanawiała się nawet, czy dotrwa do ślubu.

Wspaniała ma dziewczynkę. Piękniejszej panny młodej nie dałoby się nawet wyśnić. Suknia olśniewająca. Wszystko w najlepszym guście. Chłopak też jak się patrzy. Inteligentny, dowcipny, zakochany. Jej dziewczynka ma szczęście i w pełni sobie na nie zasłużyła.

W książce, która leży na stoliku nocnym, przeczytała o dziwnej legendzie: pierwotnie człowiek składał się z połówek. Z dwóch ciał idealnie połączonych. Pewnego dnia jednak bogowie je rozdzielili. Odtąd każdemu życie upływa na poszukiwaniu swej drugiej połowy, połowy utraconej, a kiedy ją znajduje, łączy się z nią miłością doskonałą i nierozzerwalną. Tyle że większość ludzi przemierza świat nadaremnie, nigdy

nie natrafiają na połówkę, od której zostali oddzieleni. Albo niesłusznie sądzą, że znaleźli to, czego szukali, a wtedy powstają pary nieudane, skazane na cierpienie.

Ta legenda bardzo ją wzruszyła, bo jakby opowiada o niej. Tłumaczy jej cierpienie, potworną samotność, przekonanie, że nie jest cała, że jakaś jej część została amputowana. Przez całe życie Madeleine nie przestawała szacować, jak trudno przetrwać, będąc ledwie połówką człowieka, kawałkiem mężczyzny albo kobiety, jak strasznie jest być samotnym lub we dwoje, lecz z niewłaściwą osobą.

Dzisiaj jest szczęśliwa: ma wrażenie, że jej dziewczynka odnalazła zagubioną połówkę siebie. Zdaniem Madeleine to istny cud.

Gorąco. Gdzieś w pokoju słychać brzęczenie owada. Skrzydło okna poskrzypuje poruszone powiewem wiatru. Madeleine zamyka oczy. Czarna plama zlewa się z ciemnością pod powiekami.

Ile czasu mi jeszcze zostało? Czy dość, żebym zobaczyła ich pierwsze dziecko? Może i drugie?

Wie, że będzie musiała ich zostawić w drodze. Być może czas zniszczy ich związek. Może kiedyś się rozstaną. Ale jej już wtedy nie będzie; nigdy się o tym nie dowie. Dla niej na zawsze pozostaną idealną parą zastygłą w niezmaconym szczęściu.

Niebo jest jasnoblękitne jak w raju. W uszach dźwięczy jej bicie dzwonów. Wchodzi do zalanego światłem wielkiego kościoła ze szkła. Ma na sobie suknię ślubną podobną do sukni Berengere. Nigdy jeszcze nie była równie szczęśliwa. Idzie powoli, uśmiechnięta i lekka. Ludzie zwracają na nią wzrok. Są tu wszyscy. Jej rodzice, przyjaciele z dzieciństwa i z młodości, jej dzieci, wnuki. A on czeka przed ołtarzem. Stoi tyłem do niej, lecz to on, jest tego pewna.

Kiedy była bardzo młoda, ona także spotkała swoją drugą połówkę utraconą u zarania czasów. Miała to szczęście. Na jej twarz wypływa uśmiech, którego nie może i nie chce powściągnąć. Uśmiecha się jak jeszcze nigdy dotąd. Idzie dalej nawą. Już prawie doszła. Wtedy on się odwraca. Nic się nie zmienił. Jest tak samo młody i piękny jak niegdyś.

- To naprawdę ty?
- Owszem, to ja. A kto by miał być?
- Ale przecież... myślałam, że nie żyjesz.
- Wszyscy tylko chcieli, żebyś tak myślała.
- Nie zmieniłeś się.
- Czekałem na ciebie... Nadal chcesz?

Już ma przytaknąć, lecz spostrzega naraz, że suknia ślubna wisi na niej niczym koronkowy całun. Wstydzi się swojej postarzałej twarzy, wychudzonego ciała. Cała radość ulatnia się raptem, a ją przerażenie ściska za serce.

- Zobacz, jak ja wyglądam! Chciałbyś mnie taką poślubić?

A on uśmiecha się z niezmaconym spokojem.

- Zawsze cię pragnąłem. Przypomnij sobie, cośmy mówili: jesteście dla siebie stworzeni... Czy zmarszczki na twojej twarzy, ciało pulchniejsze albo bardziej wysuszone może to zmienić?... Czekałem na ciebie tak długo.

- Ja nie mogłam czekać, wiesz... Nie miałam wyboru.
- Wiem. Ale to się nie liczy.
- Nie, nigdy się nie liczyło.
- Najważniejsze, żeśmy się odnaleźli.

Młody mężczyzna wolno wiedzie wzrokiem po pierwszej ławce, w której siedzą dzieci Madeleine. Pyta cichutko:

- Które?

- Trzecie od prawej - odpowiada mu szeptem. Uśmiecha się, ujmuje jej dłoń i ściska. Po czym odwracają się przodem do ołtarza, w ich kierunku już zmierza ksiądz bez twarzy.

Wtedy dzwony zaczynają bić w najlepsze. Ich dźwięk staje się nie do zniesienia. Catherine wybiega z ławki. Ciągnie ją za suknię ślubną, czepia się matki, krzycząc:

- Chcę do mamy! Chcę do mamy! Do mamy! Przewrozczone sklepienie wali się z trzaskiem rozbijanego szkła. .

- Mamo! Niech się mama obudzi!

To Catherine. Potrząsa nią lekko za ramię, szepcząc przy samym uchu:

- Przyszłam po mamę. Już ósma. Zaraz będziemy siadać do stołu... Wahałam się, czy mamę obudzić, ale w końcu pomyślałam, że wolałaby mama nie przepuścić kolacji.

Madeleine przez kilka chwil leży jeszcze z zamkniętymi oczami, w końcu odpowiada:

- Dobrze zrobiłaś.

Catherine pomaga jej się podnieść, po czym przysiada obok niej na brzegu łóżka, dając jej czas na oprzytomnienie.

- Zajrzałam tu koło siódmej, ale tak smacznie mama spała... Musiała być mama naprawdę wymęczona.

Madeleine nie odpowiada. Światło jest teraz inne. Łagodniejsze, złociste i jakby przepelnione melancholią. Madeleine milczy. Wpatruje się w czarną plamę przed oczami, w plamę, która nigdy nie zniknie, podobnie jak nie znikł ból, który towarzyszy jej od sześćdziesięciu lat. Czuje dłoń córki na ręce.

- Przyczeszę mamę. Pięknie będzie mama wyglądała na kolacji.

Madeleine nie odzywa się słowem. Ulegle pozwala córce na wszystko. Catherine poprawia jej fryzurę, palcami układa zburzone kosmyki. Po długiej chwili pyta:

- Dobrze się mama czuje?

- Tak, nic mi nie jest. Coś mi się tylko przyśniło... Nie zwracaj uwagi.

Catherine nie odpowiada. Nadal ją czesze. Madeleine zamyka oczy, myśli o delikatnych palcach córki w swoich włosach i szepcze:

- Coś mi się tylko przyśniło...

HELENE

On jak zwykle jedzie trochę za szybko. A ona nic nie mówi, ponieważ to by go wprawiło w zły humor. Zresztą po uwadze z jej strony i tak by nie zwolnił. Widać wyraźnie, z jaką przyjemnością trzyma rękę na kierownicy obciążonej gładką skórą. Helene stara się nie myśleć o ryzyku wypadku, o trojgu dzieciach jadących z tyłu. Poddaje się uczuciom chwili. Wpasowuje się głęboko w fotel, odwraca głowę do szyby i zamyka oczy. W minivanie nie czuje się prędkości. Jest się jak w miękkiej wygodnej bańce, która niweluje nierówności drogi.

Kiedy była mała, zawsze w samochodzie dostawała choroby lokomocyjnej, ale przeszło jej, odkąd jeździ z przodu. Jej dzieci nigdy nie chorują, nawet kiedy Alexandre gna jak wariat po wąskich wiejskich drogach. To już coś.

Jest dumny z nowego samochodu służbowego. Luksusowa 806 ze skórzanym wnętrzem. Helene nienawidzi zapachu skóry, czuje go jednak tylko przez pierwszy kwadrans jazdy. Potem przywyka. W środku wszystko można regulować: rolety na oknach, zagłówki, nachylenie, a nawet kształt foteli. Całość tak pomyślano, aby można podróżować w maksymalnym komforcie.

Kiedy odkryli, że fotele można obrócić i urządzić sobie piknik w samochodzie, dzieci nie posiadały się z podniecenia. Tyle że Alexandre zaraz zgasił ich radość: nie ma mowy o jedzeniu w aucie. Na samą myśl o okruszku ciastka w czekoladzie na wykładzinie omal nie dostał apopleksji:

- Cholera, chyba masz w głowie nie po kolei! Przecież we wtorek odbieram na lotnisku tych Niemców z Dusseldorfu. Myślisz, że będę miał czas oddać wóz do czyszczenia?

Oczywiście, kochanie, to absolutnie przekonywający powód, żeby nie korzystać ani z obrotowych foteli, ani ze stoliczków z zabawnym otworem na kubek. Cóż by sobie

pomyśleli Niemcy z Dusseldorfu? Ci ludzie nienawidzą niechlujności, o tym powszechnie wiadomo. Jakże mogłam być taka głupia i zapomnieć, że okruszek ciastka na wykładzinie z tyłu samochodu gotów narazić na szwank podpisanie kontraktu! Wybacz, kochanie, że tak się zapomniałam.

Ostatecznie zatrzymali się przy autostradzie w restauracji sieci „Courtepaille” i dzieci w sumie uznały, że równie fajnie będzie zjeść drugie śniadanie w krytej strzechą chacie, która przypomina dom Asteriksa. Helene pamięta reklamę nadawaną parę lat temu w telewizji. Szczupła, świetnie zbudowana młoda kobieta w stroju kąpielowym leży w hamaku, tuląc małe dziecko. Jest odwrócona tyłem; nie widać jej twarzy, tylko włosy spięte w kok odsłaniający zgrabną szyję. Patrzy z góry na wielki basen, w którym się pluskają roześmiane opalone dzieci. Męski głos mówi: „Obdarowała cię całą swoją miłością... i czworgiem pięknych dzieci”. Po czym w dole ekranu pojawia się liczba 806.

Znając Alexandre'a, Helene jest pewna, że właśnie o tej reklamie myślał, kiedy wybierał nowy samochód służbowy. Piękna kobieta, czworo ślicznych dzieci, basen, peugeot 806. Najpiękniejszy wyznacznik sukcesu.

Może być zadowolony. Ma basen i peugeota 806. A troje dzieci zamiast czworga to też całkiem nieźle. Oczywiście ich dzieci nie są takie ładne jak te z reklamy. Wszystkie ich pociechy odziedziczyły charakterystyczne duże czoło Clouetów, kompletnie nieproporcjonalne w dziecięcej buzi.

To jej przywodzi na myśl przykre wspomnienie. Chwilę, kiedy jej matka po raz pierwszy zobaczyła Pauline. Helene była bardzo dumna ze swojego pierworodnego dziecka. Czoło w ogóle jej nie przeszkadzało; było po Alexandre, ot co. Za to jej matka wyglądała na wręcz wstrząśniętą.

- Coś podobnego! - zawołała. - Takie czoło! Myślisz, że to normalne?

No i zaczęło się, nie było siły, żeby ją powstrzymać. Obmacała malutką główkę, pooglądała profil, jakby chciała sporządzić jej opis antropometryczny. Nie liczyło się już nic prócz tego szerokiego, zbyt wypukłego czoła.

- Mamo, badał ją pediatra jeszcze na porodówce. Wszystko jest w normie. Przecież widzisz, że to zupełnie zdrowe dziecko!

Matka jednak nadal wyrażała wątpliwości, podważała kompetencje pediatry i specjalisty od usg - „każdy wie, że mnóstwo rzeczy im umyka” - nawet własnej córce zarzucała zaślepienie:

- Matka tak kocha swoje dziecko, że nie potrafi spojrzeć prawdzie w oczy. Ktoś musi popatrzeć z boku, żeby zwrócić uwagę na coś oczywistego.

A ponieważ Helene się opierała, matka zaczęła ją namawiać, aby się skonsultowała z pediatrą w mieście.

- Można im bardziej ufać niż tym ze szpitala, gdzie pracują taśmowo i biorą pacjentów jak leci... Szkoda, że nie chciałaś rodzić w klinice La Pergola jak twoja kuzynka... Helene, proszę, poradź się specjalisty jak najszybciej. Zrób to, jeśli nie dla małej, to dla mnie!

Nie przerywała matce, nagle poczuła się strasznie zmęczona. Po czym ze łzami w oczach zapytała:

- Uważasz, że to dziecko jest bardzo brzydkie?

- Ależ skąd! Co też ci przyszło do głowy? - oburzyła się jej matka. - Skarbie, nie powinnaś przeinaczać. To normalne, że się martwię, troszczę. Ale skoro nie wolno mi się odezwać... Malutka jest śliczna! Wypisz wymaluj tata! Naprawdę. Istna Clouetówna. Wykapana Clouetówna!

Helene spogląda na trójkę swoich dzieci usadowionych z tyłu, zerkając do lusterka w osłonie przeciwsłonecznej, którą

ustawia tak, aby dobrze je widzieć. To prawda, Pauline to „wykapana Clouetówna”: niebieskie oczy, włosy jasne, prawie białe i to szerokie wypukłe czoło. Clemence też jest „wykapaną Clouetówną”. Hadrien nie odstaje od sióstr. Na próżno Helene wpatruje się z uwagą w twarze swoich dzieci, nie widzi w nich ani cienia własnych rysów. Może tylko uszy mają po niej, małe, ładne, przylegające do głowy. Kto jednak zwraca uwagę na uszy? Wydała na świat samych „wykapanych Clouetów”. To tak, jakby z niej nic nie wzięli, wszystko odziedziczyli po ojcu, jakby ona była tylko brzuchem, zbiornikiem przyjmującym cenny depozyt, któremu dostarczyła ciepło i pożywienie.

Przywodzi jej to na myśl teorię Arystotelesa na temat kolejnych pokoleń zwierząt: samica zapewnia schronienie - swój brzuch - i materię - swoją krew. Samiec daje formę, iskrę życia kształtującą materię - swoje drogocenne nasienie. W sumie niewykluczone, że czasami tak właśnie to wygląda. No i proszę - okazuje się, że ona jest doskonałą arystotelesowską samiczką, która rodzi małych „wykapanych Clouetów”.

- O czym myślisz? - pyta Alexandre.

- O Arystotelesie. - A...

Praktycznie nigdy nie jest ciekaw, o czym Helene myśli. Dziwne, że zadał to pytanie akurat w chwili, kiedy myślała o Arystotelesie. Dziwne, chociaż nie wygląda, aby go to obchodziło. Są w samochodzie z dziećmi, jadą na ślub Berengere, a ona myśli o Arystotelesie. Alexandre uważa, że to normalne. Alexandre jest obdarzony wyjątkowo otwartym umysłem. Nic go nie zdumiewa. Możliwe też, że nie słuchał, co odpowiedziała.

Zresztą aby jasno dać do zrozumienia, że to koniec rozmowy, pogłósł nieco dźwięk płynący z kolumn rozmieszczonych w różnych miejscach wozu. Odkąd ruszyli w drogę, cały czas grają Pink Floyd, Fleetwood Mac, Genesis, a

wtóruje im Alexandre, który śpiewa, wijąc się w skórzanym fotelu. Od jakiegoś czasu zaczął znowu słuchać hitów ze swoich szkolnych lat, aby zapomnieć, że po konformistycznej młodości stał się zadowolonym z siebie trzydziestoparolatkiem. Jeździ luksusowym samochodem służbowym. Nosi westony i garnitury za dwa tysiące euro. Nadal jednak jest młody. Dowód: w weekendy chętnie ubiera się w dzinsy i sprane podkoszulki. Żadne tam kraciaste koszule albo polo Lacoste'a. Jego zdaniem to zbyt konwencjonalne.

Przy „Money” znów podkreca dźwięk i śpiewa jeszcze głośniej, bębniąc palcami w kierownicę obciążoną skórą: „Money! Get away, take a good job with more pay, and you're okay”.

A Helene z trudem opanowuje chęć, by krzyknąć, że boli ją głowa, że marzy o odrobinie ciszy. Nie może tego wytrzymać.

Spróbuj się uspokoić. To nic takiego. Nie jest tak źle. Ostatecznie nie ma powodu, żeby obwiniać Pink Floydów. Gdyby słuchał muzyki klasycznej, pewnie jeszcze bardziej by cię to denerwowało.

Odwraca głowę, patrzy na las taki gęsty, taki zielony, przesuwany szybko za szybą, po czym przymyka oczy. Mamy wszystko, myśli. To cytat z jej matki. Ilekroć rozmawiają przez telefon i Helene próbuje dać do zrozumienia, że u nich nie zawsze dobrze się układa, za każdym razem w końcu słyszy:

- Ależ zupełnie cię nie rozumiem, Helene: przecież masz wszystko! Dom z basenem... basen w Paryżu, Helene! Masz zdrowe dzieci... - Nigdy nie mówi „ładne dzieci”; nie zdołała przywyknąć do ich podobieństwa do Clouetów, co nie przeszkadza, że bardzo kocha wnuki. - Masz męża, który cię kocha i zarabia dobrze, bardzo dobrze. Nie wspomnę już o

domu w Bretanii, o podróżach. .. Masz pracę niezbyt męczącą! Mów, co chcesz, ale macie trzy miesiące wakacji w roku... Naprawdę, Helene, czy ty zdajesz sobie sprawę, jakie masz szczęście?

Cóż można na to odpowiedzieć? Nie da się zaprzeczyć: ma wszystko. Poza tym bardzo wygodnie tak widzieć rzeczy. Ma wszystko. Więc w czym problem? O tym akurat nieszczególnie ma ochotę rozmawiać z matką. I tak zresztą nie miałyby co powiedzieć.

Kiedy otwiera oczy, w oczach rozbłyska jej pierścionek zaręczynowy na palcu. Duży szafir w litej oprawie otoczony sporymi brylantami. Całość prezentuje się naprawdę okazale. Jak mogła coś takiego wybrać? Niesamowite, jak człowiekowi zmienia się gust. W jej wypadku w ciągu dziesięciu lat z niedużym hakiem.

Doskonale pamięta, ile kosztował: trzydzieści tysięcy franków. Była dumna, że ma taki drogi klejnot. Całymi dniami wpatrywała się w pierścionek, podziwiała, jak pięknie światło się załamuje na kamieniach, układała dłoń we wdzięcznych pozach. Zakochana narzeczona z pierścionkiem w kształcie margerytki za trzydzieści tysięcy franków. Dzisiaj ledwie może na niego patrzeć. Prawie nigdy go nie nosi, tylko przy okazji uroczystości rodzinnych, ponieważ to jedyna jej cenna biżuteria, a poza tym teściowa i tak by natychmiast zauważyła, że go nie ma na palcu. I zaraz zrobiłaby się z tego afera. Na samą myśl o tym czuje takie znużenie, że już woli włożyć pierścionek. Nie razi zresztą na rodzinnym spotkaniu: każdy ma na sobie coś w tym stylu. Zmienia się tylko kolor kamieni.

Spogląda teraz na pierścionek, którego żłobkowana otoczka nieodparcie kojarzy jej się z brzegami foremki do tarty. Noszę na palcu foremkę do tarty za trzydzieści kawałków. Zamyka znów oczy, stara się skupić na czymś innym.

Na myśl jej wraca reklama peugeot 806. Ta zgrabna kobieta w hamaku... jeszcze parę lat temu Helene mogłaby zagrać zamiast niej. Po dwóch pierwszych ciąży zachowała ładną figurę. Za to po Hadrienie niezupełnie wróciła do dawnej wagi. Może też nie pilnowała się tak bardzo jak przy córkach. Nie udało jej się pozbyć pięciu kilogramów, które się rozlokowały na udach, biodrach i brzuchu. Nie jest taka ładna jak niegdyś. Zaokrągliła się, przywiedła. Doskonale zdaje sobie z tego sprawę; cierpi, lecz zdecydowała, nie bardzo wiedząc dlaczego, że nie ma ochoty do niczego się zmuszać. Stale do czegoś się zmusza i ma już tego dość. Alexandre nie poczynił na ten temat żadnej uwagi, słowem nie napomknął. W ich życiu nic się nie zmieniło. Po prostu jej przybyło pięć kilo.

On zresztą też przytył, odkąd mnożą mu się biznesowe spotkania przy obiadkach i brakuje czasu na wieczorne granie w squasha w Country Clubie. Urósł mu brzuch, ma teraz wystający bębenek ulokowany w okolicach pępka. Helene wie, że to już nie zniknie. Bo i nie będzie miało jak zniknąć: liczba obiadków biznesowych będzie proporcjonalna do sukcesów zawodowych jej męża, Alexandre zaś stara się jak może, by odnieść sukces. I proszę: razem będą tyli i starzeli się, ramię w ramię; będą jechali służbową 806 po jasno oświetlonych drogach życia.

Dzieci w końcu zasnęły. Na zakrętach głowy lecą im troszkę na bok, co wskazuje pochylony profil. Po drugim śniadaniu przy autostradzie przebrała je w stroje dziecięcych drużbów: dziewczynki w różowe sukienki zdobione ręcznie haftowanym marszczeniem, Hadriena w granatowe bermudy i różową koszulę. Tym razem obeszło się bez muszki albo fantazyjnego krawata.

Sukienki z marszczeniami podobają się jej tylko na niemowlętach. Na nich wyglądają rozkosznie niemodnie,

dzieci są jakby wyjęte z dagerotypu. Za to dziewczynki sześć - i ośmioletnie wyglądają po prostu wieśniacko. Inna rzecz, uświadamia sobie, że w ogóle mierzi ją widok dzieci w orszaku ślubnym. Próbuje sobie przypomnieć wszystkie śluby, na których była. Przed oczami jej defilują pastelowe kolory - różowy, żółty, niebieski, seledynowy - brązowa błyszcząca tafta, jaskraworóżowa bawełniana pika, fiołkowa satyna, biały len, kokardki, haftowane skarpetki, koronki, wstążki, wianki, słomkowe kapelusze, paski i śmieszne krawaciki, czasem koszyczek cukierków albo tiulowa sakiewka ściągana jedwabnym sznurkiem... Groteska, normalnie groteska. Naprawdę już nie może patrzeć na te wycudowane orszaki, na rytualne przebieranki.

Alexandre się denerwuje: spóźnią się. Nie miałyby to znaczenia, gdyby byli zwykłymi gośćmi, ale jadą przecież na ślub Berengere, a dzieci mają iść w orszaku.

Trzymając plan na kolanach, Helene pilotuje męża po wąskich wiejskich drogach. Alexandre się złości, ponieważ Berengere nie chciała wziąć ślubu w Saint - Andre - du - Chene „jak wszyscy”. Ubzdurała sobie „uroczy” romański kościółek w jakiejś zapadłej wiosce. Trzeba mieć naprawdę narąbane, żeby brać ślub w jakiejś dziurze!

- Kochanie, Saint - Andre - du - Chene to też dziura! A Berengere jest oczarowana tym kościółkiem, dobrze wiesz. Twoja siostra ma prawo wziąć ślub gdzie indziej, nie w Saint - Andre, gdzie, nawiasem mówiąc, nie ma nic godnego uwagi... Wnętrze jarmarczne, aż zęby bolą!

Przed jej oczami staje gipsowy Chrystus z miną pogodną, nieco głupawą, wskazujący palcem swoje płonące serce otoczone koroną cierniową. Widzi jego rumiane policzki, czerwone wargi, niebieskie oczy i to serce, z którego wyrastają złote promienie. I całą litanię zbyt pokolorowanych świętych z wywróconymi oczami: świętą Teresę, świętego

Jerzego walczącego ze smokiem, Matkę Boską rozgniatającą węża stopą ozdobioną różą... Naprawdę trudno mieć Berengere za złe, że chciała wziąć ślub w innym otoczeniu! Alexandre nie odpowiada; mamrocze tylko coś niezrozumiałego. To dlatego, że mam słuszość, myśli Helene.

Z maksymalną prędkością przejeżdżają przez kilka wsi. Siedzi wciśnięta w fotel. Kiedy Alexandre jedzie tak szybko, wydaje się jej, że w każdej chwili może się stać coś strasznego. A on się wścieka: jego zdaniem wskazówki na planie są bardzo niedokładne.

- Gdybyś nie przemknął przez tę wieś jak wariat, nie przegapilibyśmy drogowskazu.

Muszą zawrócić, Alexandre zaś ani myśli skrywać złego humoru, krytykując ten „plan do dupy”.

- Powiesz to Vincentowi, on go rysował.

Jadą przez wieś w przeciwnym kierunku. Drogowskaz jest, stoi przed merostwem, jak widniało na planie. Aczkolwiek nie przy samym skrzyżowaniu. Łatwo go przeoczyć, jeśli się jedzie nieco szybciej.

Już prawie są na miejscu. Dzieci się obudziły, kiedy Alexandre zaczął się wkurzać na „plan do dupy”. Podchwyciły to i powtarzają: plan do dupy, plan do dupy, co tylko wzmaga jego złość. Helene odwraca się do dzieci:

- No, no, nie mówi się „plan do dupy”, tylko „plan do pupy”.

Pokładają się ze śmiechu, choć nie bardzo zrozumiały. Jedno przez drugie wykrzykują: „Plan do pupy, plan do pupy!”

- No ładnie - gdera Alexandre. - Jeszcze je zachęcasz z tym swoim dupiatym poczuciem humoru.

- A ty je zachęcasz bez poczucia humoru...

- Dobra - ustępuje. - Nie będziemy się kłócili o takie gówno.

Helene się uśmiecha.

- No pewnie, że nie będziemy się kłócili.

Kościół już widać. Zdążą. Wszystko pójdzie dobrze. I wtedy... Hadriena zniecka raz i drugi pociąga na wymioty, po czym malec dostaje torsji. Dziewczynki podnoszą krzyk. Alexandre wrzeszczy. W samochodzie rozchodzi się przykry smród. Hadrien wybuch płaczem.

- No nie! - ryczy Alexandre. - Nie wierzę!... Niemożliwe!

A Helene traci cierpliwość:

- Przestań, Alexandre! Dobrze wiesz, że nie zrobił tego umyślnie.

Parkują przy drodze niedaleko kościoła; wszędzie pełno samochodów. Widzą wystrojony tłum gości stłoczonych wokół placu przed kościołem.

- Spóźniliśmy się! No nie!...

Helene ma w głowie tylko jedno: pozbyć się jego i jego złorzeczeń.

- Posłuchaj, większość gości jeszcze nie weszła do kościoła. Jest dość czasu. Idź przodem z dziewczynkami. Ja się zajmę Hadrienem.

- A wóz? Przecież go nie zostawimy w takim stanie!

- Alexandre, przede wszystkim nie zostawimy Hadriena w takim stanie. Pozwól, że samochodem zajmiemy się potem.

Wściekłość go rozsadza. Helene wyczuwa w nim coś na kształt paniki, strachu.

- No dobra - zgadza się Alexandre. - Zaprowadzę dziewczynki i wrócę. Ty się zajmiesz Hadrienem, a ja samochodem.

- Bardzo dobry pomysł! - przyklaskuje Helene mężowi i myśli: każdy spełnia swoją rolę. Każdy ma swoje priorytety.

W głębi ducha jednak wie, że jest niesprawiedliwa. Oczywiście, że w pierwszej kolejności zatroszczył się o samochód, i owszem, to jest wkurzające. Ale z drugiej strony nie do pomyślenia, żeby wsiedli do auta, jeżeli nie zostanie natychmiast wyczyszczone - albo po pięciu minutach cała rodzina gromadnie zarzyga je na nowo... Zresztą czyszczenie wykładziny będzie bardzo wątpliwą przyjemnością.

Hadrien jest kompletnie oszołomiony, przerażony, że pobrudził strój drużby. Patrzy na nią żałośnie i powtarza:

- Przepraszam, mamó, przepraszam!...

Pod nosem tworzy mu się duża bańka ze śpi - ka, pęka, smarki osiadają na policzkach mokrych od łez. Helene czuje ogromne wzruszenie.

- Kochanie, cichutko, nie płacz, nic się nie stało. Wymyjemy cię, przebierzemy i pójdiesz do kościoła, żeby zobaczyć, jak ciocia Berengere bierze ślub.

Malec kiwa głową uspokojony. Tyle razy im powtarzała, by uważali i nie pobrudzili się przed uroczystością, nie pognietli strojów, więc jej pięcioletni syn myślał, że czekają go połajanki. Że popełnił coś strasznego, niewybaczalnego, gdy zwymiotował na swój piękny strój grzecznego chłopczyka. Helene ma do siebie żal. Najchętniej mocno by go przytuliła, lecz musi pohamować poryw czułości. Trudno, żeby pieściła dziecko pokryte wymiocinami.

- No już, nie ruszaj się, zaraz to wszystko wyczyścimy - mówi.

Otwiera bagażnik, wyjmuje torbę z rzeczami na zmianę, które mieli włożyć nazajutrz, zatrzaskuje klapę z hukiem, jakby to miało zranić samochód.

Na placu jest fontanna, woda lodowata. Jest jednak tak ciepło, że Hadrien wytrzyma mycie w spartańskich warunkach. Helene rozbiera go do naga. Jej syn rozpacza, że taki piękny strój na nic się nie przydał, a ona jest zła na siebie,

że taką wagę nadała wydarzeniu, jakim miało być jego druźbowanie po raz pierwszy w życiu.

- Kotku, to naprawdę nic takiego. Poza tym za dwa tygodnie będziemy na innym ślubie. Będziesz miał jeszcze piękniejsze ubranko i nie trzeba będzie tak długo jechać. Nie martw się.

Za dwa tygodnie powtórka z rozrywki. Kuzyn Alexandre'a żeni się z osobą z wysoko postawionej paryskiej rodziny, bardzo sympatyczną, jak twierdzą Laurence i Berengere. Z bardzo, bardzo zamożnej rodziny.

- Wcale mnie nie dziwi, że Thibault poleciał na dziedziczkę - skomentował to Alexandre, który nigdy nie lubił kuzyna.

W każdym razie uroczystość zapowiada się okazale: sześciuset gości, ministrowie obecni i byli, dziennikarze telewizyjni, nazwiska szlacheckie... sama śmietanka, jak to się mówi. Przynajmniej będzie ciekawiej niż zwykle. Ciocia Isabelle histeryzuje, ponieważ podobno rodzina panny młodej uważa to małżeństwo za mezalians. Tak się przynajmniej Helene domyśliła z posłyszanych pewnych uwag. Alexandre jest przekonany, że ciocia przesadza. Niemniej ciocia Isabelle z drzeniem oczekuje uroczystości. Pierwszy raz w życiu doświadcza poczucia niższości. A coś takiego w pierwszej chwili potrafi zaskoczyć, bez dwóch zdań.

Będzie miała nauczkę, stara krowa! O tym myśli Helene, myjąc syna wodą z fontanny. Będzie dobrze. Opłukuje Hadrienowi ręce oraz nogi od kolan w dół. Wszystko pójdzie dobrze. Wyciera go, ubiera. Dużo mu ładniej w pasiastej koszulce i krótkich džinsowych ogrodniczkach. Nakłada mu sandałki bez skarpetek. Widzi, że nadal jest trochę markotny. Otacza go jeszcze lekka woń wymiocin.

- Może mama cię popryska swoimi perfumami?

Hadrien się zgadza. Helene grzebie chwilę w torebce, wyciąga mały srebrny rozpylacz, który dostała od Alexandre'a na dziesiątą rocznicę ślubu.

- Chcesz cukierka miętowego?

Na to Hadrien też się zgadza. Cukierek cudów nie działa, ale zawsze coś. Odrobina wody toaletowej na szyję i już go nie ma. Wydaje się, że naraz o wszystkim zapomniał. Biegnie pod platanami, które rzucają zielony cień na jego podskakującą postać.

Właśnie to Helene kocha w dzieciach. Umiejętność przechodzenia w ciągu pięciu minut od najczarniejszej rozpaczki do zupełnej beztroski. Mam dziecko, które w samochodzie dostaje choroby lokomocyjnej. Kolejna rzecz, którą odziedziczyło po mnie. Razem z uszami... O, wraca Alexandre.

- Możesz zaprowadzić Hadriena do kościoła? - woła do niego Helene.

Nie odpowiada. Robi, o co poprosiła.

A ona z niejaką satysfakcją wpycha pobrudzone ubranko Hadriena do plastikowego worka. Nie ma ochoty czyścić go w tej chwili. Zawiązuje ucha torby raz, drugi, trzeci. Zamknie ten smród i niech dzisiaj więcej nie będzie o tym mowy. Zanurza ręce aż po łokcie w lodowatej wodzie fontanny. Przejmuje ją ziąb. Lubi takie zderzenie zimna z mdłym ciepłem lata. Pierścionek rzuca refleksy, które przenikają przez wodę.

Wraca do samochodu. Trzeba się wziąć za czyszczenie. Postanawia zostać i pomóc Alexandre'owi. I tak zresztą nieszczęśliwą ma ochotę brać udział w całej tej ceremonii. W dodatku zrobiło jej się trochę niedobrze. Woli zostać na powietrzu. Widzi męża wracającego ze zmarszczonym czołem i zatroskaniem na twarzy.

- Zostawiłem Hadriena pod opieką Marie. Misja wypełniona.

- Ha, no to, drogi panie Clouet, raczy pan przystąpić do kolejnej i wyczyścić nowiutką osiemset szóstkę z rzygowin swojego syna Hadriena.

- Nie denerwuj mnie, Helene! Ty sobie żartujesz, a skutki tego zupełnie cię nie obchodzą.

Helene milknie urażona. Kiedy Alexandre otwiera na przestrzał wszystkie drzwi, ona trzyma się z boku i wzrokiem bada szkody, próbując oszacować ich wpływ na mało elastyczną psychikę niemieckiej delegacji, która we wtorek przyjedzie z Dusseldorfu. Podenerwowanie Alexandre'a świadczy, że bez wątpienia wpływ będzie poważny, a straty niepowetowane.

W gruncie rzeczy na siedzeniach nie ma wiele, a ponieważ są ze skóry, łatwo da się to sczyścić. Co innego wykładzina na podłodze. Hadrien się wychylił, na ile pozwolił pas bezpieczeństwa, tak że zdecydowana większość wylądowała na podłodze. Można wyraźnie rozróżnić kawałeczki frytek i steku wymieszane z lodami waniliowo - truskawkowymi. Helene nie może się pohamować i mściwie zauważa:

- Trzeba przyznać, że w „Courtepaille” menu dla dzieci nie należy do najlżej strawnych.

Lekka przekąska w samochodzie albo na parkingu przy autostradzie, złożona z kanapki i moreli, na pewno nie spowodowałyby takich problemów. Alexandre doskonale wychwycił aluzję.

- No nie! - warczy. - Czy ty to widzisz? Czy to dziecko nie nauczyło się gryźć jedzenia?

- Nie wiem. A zwracałeś mu może uwagę, że jedzenie trzeba gryźć?

- Helene, jeśli zostałaś tu tylko po to, żeby mnie wkurzać, to lepiej idź do kościoła. Nie mam ochoty, żeby mnie dzisiaj

ktoś wkurzał! Chcę wyczyścić samochód, żeby dało się w nim oddychać i żeby wszystko nie przesiąkło smrodem. Nie zapominaj, że...

- ...we wtorek przywozisz Niemców z Dusseldorfu, wiem, pamiętam. Pomogę ci. Szybko się uwiniemy.

Jest przybity, na skraju łez. Ją zaś ogarnia litość, gdy patrzy na jego dziecięcą rozpacz: zniszczono mu drogą zabawkę, która długo miała być piękna. I równocześnie jest zadowolona, że Alexandre ma zmartwienie; cierpi jego próżność, i dobrze mu tak.

Powyciągał dywaniki i zamierza je opłukać w fontannie.

- Poczekaj, nie możesz tego zrobić! Przecież to świństwo, kompletnie zapaskudzisz fontannę.

- To co mam zrobić? Przecież nie włożę takich z powrotem!

Helene zastanawia się chwilę, patrząc na męża. Przykry kłopot, mówi sobie w duchu, ale nie taki znowu poważny. Smród jest, da się jednak wytrzymać. Na pewno jest jakieś rozwiązanie.

- A może byśmy pojechali prosto do młyna? To raptem dziesięć kilometrów. Tam bez problemu dostaniemy sprzęt do czyszczenia. Poproś tylko Marie, żeby zabrała dzieci.

- Nie będziemy przy wyjściu młodych z kościoła. Nie, nie wypada, zwłaszcza że nie ma nas na ślubie.

Helene odwraca się zniecierpliwiona. Radź sobie sam, idioto! Męczysz mnie. Mam dość załatwiania wszystkiego, układania ci życia spokojnego, takiego jak po maśle, wedle twojego życzenia. Mam dość rozwiązywania twoich bzdurnych problemów. Rób, jak chcesz. Głupi palant!

Nie może tego dłużej znosić. Chciałaby pojechać gdzieś daleko, położyć się w jakimś chłodnym pokoju w domu, gdzie nie ma nikogo. Nie ma męża, nie ma dzieci, nie ma rodziny. Nie ma nikogo, jest tylko ona i ma święty spokój. Niechby

choć ten nieustanny szum w tle ucichł przynajmniej na chwilę.

- Nie bocz się, Helene! Masz rację. Tak zrobimy.

Jedne po drugich zatrząskuje drzwiami i biegnie do kościoła. Powie Marie, żeby zajęła się dziećmi. Helene wsiada do samochodu. Smród troszkę zelżał, ale nadal się utrzymuje. Wraca Alexandre. Zapina pas, uruchamia silnik, wciska klawisz sterujący szybami; opuszczają się wszystkie równocześnie.

- Achchchch, jak dobrze! - Wydaje się, że niemal odzyskał humor. - W sumie nie najgorzej się składa. Odetchniemy trochę po podróży. Coś mi się zdaje, że będzie straszne zawracanie głowy.

Mama chce robić zdjęcia w młynie: seria z tamtą rodziną, seria tylko z naszą, seria z dziecięcymi друзbami, z dziadkami, z kuzynami... Wyobrażasz to sobie? Zejdzie najmarniej z godzinę!

Helene wyobraża sobie, a jakże: dziesięć lat temu sami to przeżywali na własnym ślubie. Wspomnienia nie są za ciekawe, zwłaszcza że pogoda nie była taka piękna jak dzisiaj. Zdjęcia na zewnątrz w ogóle nie wyszły. Światło było za blade i ujęcia są przymglone. A jej ze ślubnymi zdjęciami zostało piętnaście albumów, których nigdy nie otwiera.

Alexandre ma słusność: ostatecznie bardzo dobrze, że nie mogą być na uroczystości. W porównaniu z trwającą bez końca sesją zdjęciową, która jest w programie, czyszczenie dywaników samochodowych wydaje się niemal przyjemnością. Koniec końców są zatem zadowoleni obydwój. Świetnie się wszystko układa: mają zarezerwowane dwa pokoje w młynie. Mimo zawrotnej ceny Helene teraz się cieszy, że postanowili tam przenocować. Nie miała ochoty zatrzymać się w La Croix Pilate. Będą mogli pospać do woli i spokojnie dołączą do reszty towarzystwa koło południa.

Dojeżdżają do młyna w Ganieres. To piękny lokal, bardzo szykowny i bardzo drogi. Siedemnastowieczny dworek zbudowano niedaleko starego młyna, którego rozłożyste koło łopatkowe nadal działa jak należy. Wzdłuż granicy posiadłości płynie rzeka, dopełniając idyllicznego pejzażu. Helene niepokoiła się o dzieci z powodu tej rzeki, lecz teściowa czym prędzej ją uspokoila: „Ależ Helene, nie sądzisz chyba, że o tym nie pomyślałam! Przede wszystkim o to zapytałam!” Nie ma obaw: brzegi rzeki są zabezpieczone. Tutaj natura została w pełni oswojona.

Parkują pod drzewami. Nie ma teraz czasu na obijanie się. Alexandre już pospieszył na poszukiwanie kogoś, kto mu wskaże miejsce, gdzie można wyczyścić dywaniki i rozwiesić do wyschnięcia. Helene wyciąga walizki z bagażnika, przechodzi ją lekki dreszcz. Mimo że jest ciepło. Liczy w duchu godziny, które musi przetrwać, zanim będzie się mogła wyciągnąć w łóżku i zamknąć oczy. Jest czwarta z minutami. Ceremonia w kościele skończy się o piątej. Wyjście, parę zdjęć przed kościołem. . . o wpół do szóstej dojadą tutaj. Koktajl do siódmej, siódmej trzydzieści. Pora newralgiczna, trudna pod względem strategicznym - wtedy tych, którzy nie zostali zaproszeni na kolację, trzeba pożegnać, ale tak, by nie odnieśli wrażenia, że gospodarze się ich pozbywają. O ósmej początek właściwego przyjęcia. Jeśli dobrze pójdzie, skończy się o jedenastej. Chociaż to zależy od przemówień i od sprawności obsługi („Nieskazitelna! - oświadczyła jej teściowa. - Pamiętaj, że to młyn w Ganieres!"). Mimo wszystko przyjęcie może się przeciągnąć do północy. Potem zabawa. Potańczą trochę, aby mogli mówić, że tańczyli. Tak czy owak nie mogą wyjść przed drugą w nocy. Wcześniej zbierają się tylko „starzy”. Chyba że ma się jakąś sensowną wymówkę. Ona nie ma. A więc musi wytrwać dziesięć godzin, po czym będzie mogła iść spać.

Kiedyś bardzo lubiła śluby, Alexandre także. Mnożył wobec niej czułe gesty, taniec na oczach innych sprawiał mu przyjemność. Prezentowali się jako bardzo szczęśliwi, zakochani w sobie małżonkowie. Helene wprawdzie czuła, że to nieco wymuszone, niemniej było przyjemne. Podobał jej się taki ich wizerunek, był krzepiący.

Po narodzinach Hadriena Alexandre zrezygnował z opcji „szczęśliwa para” wśród małżeństw. Teraz należy do „wyższej kadry kierowniczej na odpowiedzialnym stanowisku”, a ona oczywiście do niego nie dorasta. Obecnie mówi się o nich, że tworzą parę „przykładną”, „zgraną”, żyjącą „w doskonałej harmonii”, nie zaś, że są parą „bardzo w sobie zakochaną”. I taki ich obraz nie jest ani prawdziwszy, ani bardziej fałszywy od poprzedniego. Po prostu jest inny.

Wraca Alexandre.

- Posłuchaj, Helene, nie ma sensu, żebyśmy się oboje w tym babrali. Przebiorę się, wysprzątam jak najszybciej, wezmę prysznic i wskoczę z powrotem w garnitur, zanim wszyscy tu zjadą. Wniesiemy rzeczy do pokoju. Pogadałem z kierownikiem i ponieważ nocujemy tutaj, zgodził się, żeby wstawić auto do stodoły tam trochę dalej. Dzięki temu szyby mogą być opuszczone do rana. Zabierz część rzeczy, a ja tylko przestawię wóz i zaraz doniosę resztę.

No proszę, odzyskał werwę: w parę minut wszystko zorganizował. Skuteczny, praktyczny, jak zwykle. Odwraca się od niej, nie czekając nawet na odpowiedź. Tak mu spieszo załatwić to do reszty. Już ruszył, by zaparkować samochód za budynkiem. A ona znów została sama z torbami. Odwagi. To nic takiego. Trzeba tylko przetrwać dziesięć godzin.

Pokój jest przyjemny i ma tę zaletę, że mieści się w części budynku przeciwnej do recepcji. Nie powinni tu słyszeć hałasów zabawy.

Helene się rozbiera. Spódnicę od kostiumu ma zupełnie pogniecioną. Tak to jest z taftą. Ale w końcu korytarza zauważyła pralnię z żelazkiem do dyspozycji gości hotelowych. Idzie do łazienki i przygląda się sobie w lustrze. Przejechanie tych dziesięciu kilometrów przy opuszczonych szybach - i ze zbyt dużą prędkością jak zwykle - wystarczyło, by kompletnie zwichrzyć jej włosy. Dziecko, jak ty wyglądasz!

Słyszysz, że przyszedł Alexandre. Kilka chwil później drzwi znowu trzaskają. Przebrał się i poszedł pucować wóz. Nie odezwał się ani słowem.

Helene wchodzi pod prysznic, potem poprawia fryzurę. Maluje szminką usta. Usta i zęby, to jest w niej najbardziej udane. Kiedy się uśmiecha, przeobraża się w inną kobietę. Wie, że powinna się zmuszać i uśmiechać jak najczęściej.

Wracając z pralni z wyprasowaną spódnicą przewieszoną przez rękę, pod drzwiami pokoju natyka się na Alexandre'a.

- Śmierdzą. Padam. Wezmę prysznic i położę się na chwilkę.

Cztery domyślne „ja” w dwie sekundy. Rekord świata w liczbie użytych domyślnych „ja” został właśnie pobity przez pana Alexandre'a Cloueta.

- Ja też jakoś wezmę się w garść - mówi Helene.

Na co on z jękiem wznosi oczy do nieba.

- Helene, litości! Cuchnę rzygowinami i żołądek podchodzi mi do gardła! Czy mogłabyś się wykazać odrobiną zrozumienia? Czy choć raz mogłabyś być w przynajmniej znośnym humorze?

Nie odpowiadając, Helene otwiera drzwi i wchodzi za nim do pokoju. Alexandre od razu zamyka się w łazience, ona zaś zrzuca dzinsy, wkłada spódnicę i wychodzi.

Na dworze spogląda na zegarek: jeszcze pół godziny do najazdu barbarzyńców. Dość czasu, aby się przejść po

wielkim parku. Kolacja i ciąg dalszy wesela odbędą się pod specjalnie postawionym zielono - białym namiotem. Na trawniku obsługa krząta się przy długim stole, przy którym będzie podany koktajl. Bufet wygląda okazale. Helene wchodzi pod baldachim listowia. Z oddali dobiega mruczenie młyna, głuchy łomot spadającej wody. Idzie drogą w tamtym kierunku.

Dlaczego czuje się taka nieszczęśliwa? Dlaczego dzisiaj jest przybita, akurat dzisiaj, gdy powinna być szczególnie wesoła? Dzisiaj, gdy nie ma prawa być nieszczęśliwa?

Cóż, w gruncie rzeczy zna odpowiedź. Wszystko właśnie z powodu tego „dzisiaj”, z powodu ślubu Berengere, najmłodszej z rodzeństwa, bo ta uroczystość bez słów wali jej prawdę prosto w twarz: czas mija nieubłaganie; upłynęło dziesięć lat od jej ślubu. Dziesięć lat łatwego życia, w którym się umościła niczym w muszli tak wygodnej, że długo sądziła, iż sama ją wybrała. Ale cóż ona właściwie wybrała? Kręcąc głową, jakby odpędzała przykre myśli, powtarza sobie: mam życie, jakiego chciałam. Dzieci, praca, dom... Tyle że dzisiaj poczucie upływu czasu bardzo jej ciąży.

Człowiek żyje bez zastanowienia, po czym pewnego pięknego dnia, kiedy najmłodsza z rodzeństwa staje na ślubnym kobiercu, budzi się naraz i spostrzega, że na niegdysiejszych marzeniach zaległa cieniutka warstwa ołowiu.

Helene skręca w ścieżkę prowadzącą do młyna. Budowla naprawdę robi wrażenie, jest surowa, ciemna, imponująca. Potężne koło łopatkowe obraca się majestatycznie, podnosi masy wody, która spada potem z hukiem. Przez moment Helene czuje strach i waha się, czy podejść bliżej. Chce jednak z bliska zobaczyć wodę, miejsce, gdzie koło zanurza się w rzece, gdzie nurt się mąci. Dochodzi do samego brzegu, opiera się rękami o balustradę i nachyla. Pozwala, by otoczył

ją grzmot wody, jej głuchy bulgot między czarnymi łopatom koła.

Jak się doprowadziła do takiego stanu? Co powinna zmienić? Na te pytania nie ma odpowiedzi.

Nie wie. Nadal kocha męża. Mimo to coś gdzieś głęboko w sercu jakby w niej umarło, jakby Alexandre nie budził w niej żadnych emocji. Jakby łączyło ich już tylko to, co razem zrobili i przeżyli. Coś w rodzaju wierności dla ich związku, który nie był nieszczęśliwy.

Tak, kocha męża. Jest inteligentny. Pracuje jak szalony i dumny jest ze swoich osiągnięć. Za mało czasu poświęca dzieciom, ale jakże mieć o to pretensje, skoro ma tyle pracy? Mniej się stara, żeby być w dobrym nastroju. Właściwie zupełnie już się nie stara. Kiedyś miał poczucie humoru. Dzisiaj tylko ona odważy się czasem rzucić coś dowcipnego. W odruchu samozachowawczym. Problem w tym, że Alexandre tego nie lubi. Denerwuje go to, nie mogła nie zauważyć. Bo na pewno mu przypomina, że jemu nie starcza już czasu na dowcipy.

Trudno jej w tej chwili określić, co robi, lecz coś zdecyduje w najbliższych miesiącach, może tygodniach, kiedy dobiegnie końca sezon ślubów. Ślubów, na których trzeba być parą „przykładną” po tym, jak się było parą „bardzo w sobie zakochaną”.

Uświadamia sobie, że ma ochotę odejść od męża, zacząć coś nowego. Coś, z czego mogłaby być dumna i co zrobiłaby sama. Może wróci do zaniechanego doktoratu. Tak, odejdzie od męża. Potrzebuje jeszcze trochę czasu, by przywyknąć do tej myśli, ale tak robi.

Dziećmi się nie przejmuje. Alexandre tak mało bywa w domu, że w ich życiu nie spowoduje to wielkich zmian. A gdyby nawet co drugi weekend spędzały tylko z ojcem, widziałyby go więcej niż teraz. On zaś lubi wyzwania,

niewątpliwie zatem doskonale się wcieli w rolę rozwiedzionego ojca...

Czy będzie mu przykro, kiedy Helene go opuści? Nie wie. Jej zdaniem on też ją kocha na swój sposób. Jego uczucie można by nazwać stałym afektem na podłożu obojętności. Z pewnością niczego nie zrozumie, kiedy usłyszy od niej, że chce go opuścić. I tak zresztą na ogół nie bardzo rozumie jej uczucia.

Helene nie słyszy przyjazdu weselników. A raczej słyszy samochody, trzaskanie drzwi, gwar gości; nie rusza się jednak z miejsca oddalona od nich, na brzegu rzeki. Przez kilka chwil jeszcze pragnie pobyc z dala od weselnego rozgardiaszu. Nie potrafi sprecyzować, dlaczego chce odejść od męża. Ale odejdzie. Kiedy skończy się sezon ślubów. O niczym już teraz nie myśli. Koło młyńskie obraca się miarowo, porywa czas razem z wodą, unicestwia go swoim hałasem.

Nie słyszała, kiedy przyszedł. Odwróciła się, dopiero gdy zawołał ją po imieniu.

- Helene, do diabła, co ty wyczyniasz? Od kwadransa cię wołamy do zdjęć!

Jest zasapany. Wszędzie jej szukał. Kiedy zobaczył otwartą barierkę, od razu się domyślił, że poszła w stronę młyna. Wie, że Helene lubi patrzeć na wodę.

A Helene nie odpowiada.

- Co ci jest? Źle się czujesz? Cichnie zdziwiony jej milczeniem.

Patrzy na żonę. Wydaje się krucha, gdy stoi oparta o balustradę, jakby zaraz miała skoczyć do czarnej wody. Stoi przed nim w jasnym kostiumie milcząca, z niewidzącym wzrokiem. Woda spryskała jej buty.

Wstrząsa nią dreszcz, taką małą wobec ogromnego groźnego koła, które zaraz ją zmiażdży. A jego naraz zalewa fala wzruszenia, choć nie potrafi powiedzieć dlaczego.

Podchodzi do niej. Mówi cicho:

- Kochanie, jesteś taka piękna!

I nieoczekiwanie uświadamia sobie, że już dawno powinien był jej to powiedzieć, powtórzyć. Słowa te, których tak dawno nie używał, wydają mu się we własnych ustach zarazem dziwne i właściwe. Otacza ją ramionami. Helene pozwala mu się przytulić, jakby omdlewała.

Alexandre obejmuje ją mocniej.

- Jesteś taka piękna, kochanie...

I stoją bez ruchu blisko potężnego koła młyńskiego, z oddali słysząc wołania i pokrzykiwania.

MARIE

Matka jej powiedziała przez telefon:

- Błagam, Marie, znajdź sobie tym razem stosowny strój!

Nie trzeba być wróżką, żeby odgadnąć sens: ubrałaś się byle jak, kiedy ślub brała Laurence, więc na litość, nie powtórz tego teraz, kiedy za mąż wychodzi Berengere!

Trudno być czarną owcą w rodzinie. Dwie siostry Marie wzięły po matce wrodzoną elegancję. Jej natomiast ta łaska nie spotkała. „Moja droga, skąd ty wygrzebujesz takie stroje? Wychowywałam cię przecież tak samo jak twoje siostry”.

Marie nie ma gustu. Marie zawsze wygląda jak czupiradło. Marie ubiera się jak ostatnia wieśniara. Tak mówią wszyscy. W rodzinie elegancja stroju jest obowiązkiem moralnym.

Obiecała sobie, że tym razem jej wyglądowi nie będzie można nic zarzucić. Strój ma przygotowany od tygodni: mała czarna, czółenka, śliczna różowa torebka w kształcie konewki, urocza, zabawna. Bez mrugnięcia podporządkowała się matce: na tę okazję nałoży też naszyjnik z pereł, prezent na osiemnastkę, którego nigdy nie wyjęła z etui. Będzie ubrana idealnie, by odegrać rolę zmanierowanej starszej siostry panny młodej.

Sądziła, że to już koniec, ale nie. Oczywiście matka znów zadzwoniła z pytaniem:

- Pomyślałaś o kapeluszu?

Kapelusz... Liczyła, że kapelusza uda jej się uniknąć. Tyle że wszyscy będą mieli kapelusze, twierdzi pani Clouet. Trzeba robić jak wszyscy.

- Chcesz, żebym w któryś dzień przyjechała do Paryża i żebyśmy razem czegoś poszukały?

Doskonale wie, co matka myśli: Marie nie potrafi, nie ma za grosz smaku. Czym czuje się dotknięta. Odmawia zatem. Poradzi sobie sama. Pani Clouet nie nalega.

Przez cały tydzień Marie ma w pamięci głos matki na drugim końcu linii, głos odległy, dociekliwy. Chcesz, żebym w któryś dzień przyjechała do Paryża? Nie, mam, mam, dziękuję. Przyłożę się. Nie popełnię błędu. Będziesz zadowolona, zobaczysz.

Ta cudowna pewność siebie opuszcza ją w następną sobotę, kiedy wchodzi do działu kapeluszy w Galeries Parisiennes. Marie jest oszołomiona, sparaliżowana. Gdziekolwiek spojrzy, kobiety w kapeluszach ustawiają się przed wysokimi lustrami, badawczo oceniając swoje odbicie. Te kobiety wiedzą, czego potrzebują. Marie natomiast nie ma pojęcia. Patrzy na setki kapeluszy. Jak tu się zdecydować? Bardzo by chciała dokonać właściwego wyboru; i bardzo się boi, że popełni błąd. Pragnie tylko jednego: uciec z tego sklepu, w którym czuje się zupełnie obco.

Absurdalność sytuacji naraz zaczyna ją śmieszyć. Dziewczyno, co cię napadło? Podobno jesteś inteligentna, a gryziesz się i przejmujesz z powodu głupiego kapelusza! Nie masz nic lepszego do roboty? Kończ z tym i zajmij się czymś sensownym.

Podaje zatem decyzję: zda się na przypadek w nadziei, że przypadek załatwi sprawę. Sposób jest idiotyczny, ale równie racjonalny jak dokonywanie wyboru na własną rękę. Właściwie nawet większe są szanse, że dobrze trafi, skoro - co przyznają wszyscy jednomyślnie - nie ma za grosz gustu! Tak łatwo jest zdać się na los, a o ile zabawniej! Śmiejąc się ze swojej ekstrawagancji, lekkim krokiem Marie idzie na sam środek wielkiego salonu.

Nabiera głęboko powietrza, zamyka oczy, zaczyna się obracać wokół własnej osi, dopóki nie traci poczucia kierunków. Jeśli ktoś mnie obserwuje, stwierdza w duchu, pomyśli, że zwariowałam. Ale tym się w ogóle nie przejmuję. Nie byłby to pierwszy raz. Nieruchomieje, czeka, aż ustąpi

zawrót głowy, i otwiera oczy, cały czas trzymając głowę spuszczoną. Wpatrzona w swoje buty idzie prosto przed siebie. Dochodzi do stojaka z kapeluszami, odczeka kilka sekund, po czym wreszcie podnosi wzrok.

Aż dech jej zapiera. Marzyła o czymś oryginalnym i proste - marzenie spełnione! Nie potrafi nawet nazwać tego, co ma przed oczami. Coś na kształt origami z różowej słomki, usianego kolorowymi piórami. Skrzyżowanie papugi z rzeźbą kubistyczną. Kapelusz jest naprawdę fantastyczny i niesamowity. Nada się idealnie. Marie nie będzie się wyróżniała i zadowoli mamę. Ogarnia ją uszczęśliwienie i ulga. Podoba jej się ten kapelusz, nawet niebotyczna cena nie jest w stanie przygasić jej radości.

Odkąd zapowiedziano ten ślub, Marie odnosi wrażenie, że cała rodzina obrzuca ją spojrzeniami przepelnionymi litością, jakby ta wieść jakoś szczególnie ją dotknęła. A ją ani ziębi, ani grzeje, że jej dwudziestosześcioletnia młodsza siostra wychodzi za mąż. Cieszy się razem z nią. Uważa swego przyszłego szwagra za sympatycznego człowieka. Bardzo przystojnego. Doskonałego. Laurence wyszła za mąż, mając dwadzieścia pięć lat; Berengere bierze ślub w wieku dwudziestu sześciu, a Marie ma dwadzieścia osiem... W czym problem? Czy gdzieś napisano, że to wyścig? Albo gra w „wygrywa ta z trzech sióstr, która się wyda najmłodszej”? Czy obowiązkowo trzeba przejść przez pole „ślub”, w przeciwnym razie się odpada?

Nawet jeżeli Marie gwizdże na to, zgaduje, co wszyscy myślą. Badawczo ją obserwują, w każdej jej wypowiedzi próbują się doszukiwać śladów frustracji. Uważają, że źle wygląda. Na próżno odpowiada, że owszem, jest trochę przemęczona, to normalne przy tylu obowiązkach, jakie ma w laboratorium, i kłopotach, odkąd obcięto im fundusze. .. Nie chce wchodzić w szczegóły, ale prosi, by wierzyli jej na

słowo, że w tej chwili sfera badań naukowych ma przerąbane. Słuchają ze zrozumieniem; kiwają głową, tak, tak, z uśmiechem, który znaczy: wiemy, że w czym innym rzecz, biedulko...

Od miesiący, ilekroć przyjeżdża na kilka dni w odwiedziny, mowa jest na okrągło o ślubie Berengere. Wydaje się, że cała rodzina tylko tym żyje. Laurence sypie dobrymi radami. Mama z poświęceniem zajmuje się organizacją przyjęcia. W głowie się nie mieści, ja chyba śnię... Na świecie tyle rzeczy się dzieje... jak oni mogą godzinami, całymi dniami mówić tylko o t y m? Marie nie ma jednak wyboru: jeśli nie poświęci minimum uwagi s p r a w i e, wszyscy uznają, że daje upust frustracji i swego rodzaju nienawiści do młodszej siostry. Nie ma mowy, żeby im do tego dostarczyła pretekstu. Dlatego się zmusza: udaje, że interesuje ją strój dziecięcych drużbów, dyskusja na temat, czy nieodzowne są pod talerze, i... odkrywa przy tej okazji, że istnieje coś takiego jak łyżki do bulionu.

Nie jest z nikim związana. To nigdy nie był jej priorytet. I tak zresztą trudno by jej było wytrwać w stałym związku, skoro żyje między Stanami, Australią i Paryżem. Dotąd na pierwszym miejscu stawiała pracę. Nie dlatego, że jest karierowiczką, lecz dlatego, że w dziedzinie, w której panuje takie współzawodnictwo, trzeba wykazywać naprawdę głębokie zaangażowanie, jeśli chce się mieć szansę na dopuszczenie do ciekawych projektów. Marie uświadamia sobie, że nie zauważała dotąd, jak szybko płynie czas.

Lubi dzieci. Ma nadzieję, że kiedyś będzie miała własne. Ale nie potrafi sobie wyobrazić siebie w sukni ślubnej. Czy obowiązkowo trzeba wychodzić za mąż albo choćby żyć w związku z partnerem? Czy naprawdę nikt w rodzinie nie potrafi dopuścić do siebie myśli, że Marie w wieku dwudziestu ośmiu lat ma co innego w głowie, niż za wszelką

cenę szukać sobie męża? Małżeństwo wcale jej nie kręci. Po prostu w ogóle o tym nie myśli. Próbowwała im to uświadomić, lecz nie chcieli nawet słuchać: „Widać nie dla psa kiełbasa!” (Laurence i jej skłonność do perfidii); „Poczekaj do trzydziestki, wtedy pogadamy” (ojciec i jego skłonność do pragmatyzmu); „To na pewno kwestia niedojrzałości” (Alexandre i jego skłonność do traktowania jej jak debilki na poziomie umysłowym trzynastolatki).

Naprawdę jej doskwiera, że uważa się ją za godną litości pannę, która „angażuje się w ślub młodszej siostry, ale widać, że to jednak dla niej trudne”. Mimo wszystko powtarza sobie, że najważniejsze to być na uroczystości. Chociaż odnosi niekiedy wrażenie, że jest obca wśród swoich, chociaż z trudem znosi ich towarzystwo, potrzebuje od czasu do czasu znaleźć się wśród nich, spędzić parę rodzinnych chwil. Poza tym musi przyznać, że sporą dumą napawa ją kreacja weselna. Na tylnym siedzeniu układa równiutko sukienkę w worku na ubranie, na wierzchu stawia pudło z kapeluszem. Z uśmiechem przekręca klucz w stacyjce swojego tu i ówdzie wgniecionego zielonego twingo.

W drodze przystaje, żeby coś przekąsić, przebiera się w restauracyjnej toalecie i maluje w samochodzie, korzystając z lusterka wstecznego. Humor warzy jej się nieco, kiedy stwierdza, że w kapeluszu nie może prowadzić: pióra by się połamały o podsufitkę. Szkoda by było zniszczyć takie dzieło sztuki.

Dociera na miejsce w samą porę, parkuje troszkę na uboczu, aby spokojnie nałożyć kapelusz. Przed kościołem jest tłum. Marie idzie w jego kierunku lekko wzruszona, ściskając ucho torebki w kształcie konewki. Zauważa matkę, wolno zaczyna się przepychać w tamtą stronę, aby się przywitać.

- Jesteś, Marie! Jak tylko zobaczyłam w tłumie ten las piór idący w moją stronę, byłam pewna, że to ty! Dobłą miałas drogę, skarbie?

Marie czuje się nagle jak dziecko przyłapane na psocie.

- Czy... czy to znaczy, że nie podoba ci się mój kapelusz?

Jej matka, bardzo wytworna w różowo - kremowej garsonce, mierzy ją wzrokiem z góry na dół, uśmiecha się, wzdycha i wygłasza wyrok:

- Skarbie, bardzo cię kocham, ale można powiedzieć, że im bardziej się starasz, tym gorzej ci wychodzi. Ten kapelusz jest... jest... - znowu wzdycha. - Ech, skoro już masz go na głowie, nie warto o tym mówić.

I już. Wszystko zatem wiadomo: kapelusz jest okropny. Nie ma sensu drążyć, co z nim nie tak: jest straszny, absolutnie i bezwzględnie straszny. Po prostu. A ją jakby ktoś dźgnął prosto w serce.

Nie po raz pierwszy przeżywa takie rozczarowanie. Zawsze potrzebny jej dzień, żeby się po czymś takim pozbierać. Naprawdę jest głupia, że tak bardzo jej zależy na zdaniu matki, ale cóż, nie może się tego wyzbyć. Córeczka się popłacze, bo taka była dumna z kapelusza, a kapelusz mamusi nie przypadł do gustu.

Podchodzi do nich Laurence, na powitanie ściska Marie ostrożnie, uważając na szerokie rondo swego kapelusza. To chwila, gdy można się wykazać odwagą.

- Cześć, Laurence.

- Witaj, kotku... Jak się jechało?

- Bez problemów... Właśnie usłyszałam od mamy, co myśli o moim kapeluszu...

- Marie, przecież nic nie powiedziałam. Przestań robić z siebie ofiarę!

- Mama powiedziała, że jest straszny. A co ty sądzisz?

Ich matka zaciska usta i kręci głową, cichutko cmokając: tyt, tyt, tyt...

Laurence życzliwie przygląda się siostrze, taksuje ją, mrużąc wspaniałe niebieskie oczy. Po kilku sekundach głębokiego skupienia oznajmia:

- Bardzo ci w nim dobrze... Idealnie w twoim stylu!

Przez krótką chwilę Marie sądzi, że usłyszała komplement. Z wdzięczności aż jej serce drży. Ma ochotę rzucić się siostrze na szyję, podziękować jej. Spozstrzega jednak, że Laurence i matka zerkają na siebie z porozumiewawczym uśmieszkiem. To, co Marie w swej naiwności wzięła za komplement, było zwyczajnie sarkastyczną uwagą, perfidną i elegancką jak jej nienaganna siostra, która stoi przed nią obok równie nienagannej matki. Teraz serce boleśnie jej się ściska. Głupia kretyńska ze mnie. „Idealnie w twoim stylu"! Wszyscy wiedzą, że nie mam stylu, że kompletne ze mnie bezguście. To wrodzone, nieuleczalne! Co mnie napadło, że łaszę się do nich i żebrzę o pochwały? Nie ma pochwał dla familijnego brzydkiego kaczątka. Nie wolno zachęcać czarnej owcy, by utwierdzała się w swoich niedorzecznych wyobrażeniach. Już dość wstydu nam przynosi... Nie będzie udawanej radości. Nie będzie pochwał nawet w dzień tak uroczysty!

Stało się, do oczu napływają jej łzy. Jeszcze tego brakowało! Łzy na ślubie młodszej siostry, gdy każdy członek rodziny obowiązkowo powinien promienieć radością!

Laurence interweniuje:

- Och, Marie, wcale z ciebie nie kpię. Kapelusz jest ekscentryczny... powiedzmy... wyróżnia się, odstaje. Naprawdę idealnie w twoim stylu... Nie powinnaś tego brać opacznie. Wcale nie zamierzałam z ciebie kpić.

Marie stoi bez ruchu ze spuszczonego wzrokiem.

- Och, Marie, nie róbże takiej cierpiętniczej miny! - dodaje pani Clouet z irytacją. - Nie ma powodu, żebyś się dąsała o jedną uwagę na temat kapelusza! Masz go na głowie, więc dajmy już temu spokój.

Marie odwraca się i odchodzi, by zapanować nad emocjami. Słyszy jeszcze, jak matka mówi do Laurence:

- Nie do wiary, że ona taka przewrażliwiona... Gdyby od czasu do czasu posłuchała czyjejś rady, nie byłoby tego wszystkiego.

Marie biegnie do samochodu, by schować się w nim na chwilę. Tym razem nie zważa na pióra, które zaczepiają o podsufitkę, gdy ona grzebie w zapchanym schowku, szukając paczki chusteczek higienicznych. Potrzebuje dziesięciu minut, by odzyskać spokój.

Nie ma co kryć, przecież się tego spodziewała. Zdziwiłaby się, i to bardzo, gdyby kapelusz im się spodobał! Mimo to musi przyznać, że jakąś cząstką siebie liczyła na słówko bodaj pochwały. Myślała, że tym razem nie będzie odstawała od innych, od klanu. Biedulko! Poświęciłaś się i poszłaś do Galeries Parisiennes w sobotnie popołudnie, kiedy przewalają się tam tłumy. Wydałaś trzysta dwadzieścia sześć euro - istne szaleństwo, wzięwszy pod uwagę, ile zarabiasz - na kapelusz twoim zdaniem oryginalny i naprawdę wytworny. I wszystko na nic. Staralaś się, ale znów będziesz odstawać. Jak zawsze.

Weź się w garść, kretynko, mówi sobie, sprawdzając w lusterku wstecznym, czy tusz jej się nie rozpuścił. Jesteś naukowcem, prowadzisz prace badawcze w dziedzinie biologii komórki! Współpracujesz z naukowcami z całego świata! Nie pozwolisz się zdołować dlatego, że ktoś uznał twój kapelusz za szkaradny.

Z wolna udaje się jej uspokoić, wtedy zaś wzbiera w niej wrogość poczęta z utajonego smutku, odrzuconych uczuć, a także wzgardy: oni jej nigdy nie rozumieli. Nigdy się nie

interesowali jej pracą. Nigdy jej nie wspierali. To przeciętniacy. Ludzie ograniczeni. Tylko pieniądze ich obchodzą. Uważają, że mają monopol na dobry gust. Łzy zdołała powstrzymać, lecz tam, w samochodzie, pozwala, by zawładnęła nią uraza.

Przez chwilę kusi ją, by uruchomić auto i wrócić do Paryża. Wcale nie ma ochoty na ten ślub i wesele. Tyle się o ślubie nasłuchiwała, że ma go po dziurki w nosie. Już wzięła do ręki klucz, już go wkłada do stacyjki, zmienia jednak zdanie. To byłby skandal; wszystkich by to wkurzyło, a u niej przez następne dwa tygodnie telefon by się urywał („Jak mogłaś zrobić coś takiego swojej siostrze. .. w taki dzień... dzień radości!") i co gorsza, na pewno jej ucieczkę odebrano by jako dowód nieprzewyciężonej zazdrości: „Nie może znieść, że jej młodsza siostra ma taki piękny ślub, a ona ciągle jest starą panną!"; „Widziałam ją tuż przed ceremonią: wyglądała po - twor - nie!"; „Ona zawsze lubiła zwracać na siebie uwagę".

Nie chce, żeby w ten sposób o niej mówiono, żeby tak błędnie rozumiano powody jej nieobecności. .. Poza tym przychodzą jej na myśl bratanice i bratanek. Cieszy się, że ich zobaczy. Nie chce rezygnować z chwil z nimi dlatego, że nie pochwalono urody jej kapelusza. To by było głupie. Postanawia zatem zostać. Wysiada z auta i maszeruje do kościoła, niosąc swą urazę niczym brzemień, z którym się pogodziła.

Młoda para jest już przed ołtarzem. Msza zaraz się zacznie. Marie słyszy, że z tyłu ktoś do niej podchodzi, odwraca się i staje twarzą w twarz z Alexandrem, który ciągnie za rękę Hadriena z zaczerwienionymi oczami, bez stroju dziecięcego drużby. Alexandre patrzy na nią zdumiony.

- Coś ty sobie nasadziła na głowę? Pawia wyciągniętego z centryfugi?

A co tobie, matole, myśli Marie, wetknęli w tyłek? Kij od szczotki czy parasol?

Nie mówi tego jednak na głos - to nie pora ani miejsce na słowne przepychanki. Nie darowałyby sobie, gdyby tutaj wywiązała się sprzeczka z bratem. Puszczając więc pytanie mimo uszu i szepcze:

- Czemu Hadrien nie jest w stroju drużby?

- Obrzygał się. Nie wyobrażasz sobie, jaki smród! Muszę zostać z Helene, żeby wszystko doczyścić, inaczej... pięć ofiar uduszenia w dniu ślubu, ale by się narobiło! Naprawdę mi przykro ze względu na Berengere...

- E, tam! Będzie w porządku, byleście zdążyli na zdjęcia.

Nie wygląda na to, żeby jej odpowiedź zmniejszyła niezadowolenie brata.

- Słuchaj, mam problem z Hadrienem. Mógłby zostać z tobą w czasie ceremonii?

- Nie będzie siedział z drużbami? Alexandre chrząka lekko i odpowiada szeptem:

- Szepnąłem słówko Berengere, ale woli, żeby nie dołączał do orszaku.

- Bo nie ma przepisowego stroju, tak?

- No właśnie. Mój szkrab jest wykluczony z grona drużbów, skoro nie ma obowiązkowego mundurka.

Marie spogląda na Hadriena, który podnosi na nią szeroko otwarte nieszczęśliwe oczka, i mówi sobie: trzeba być naprawdę ostatnią kretynką! Wie, że Alexandre myśli dokładnie to samo, lecz nie powie tego. Ona także nie powie. Co nie zmienia faktu, że święństwem jest nie pozwolić, by mały usiadł w pierwszych ławkach z innymi dziećmi i siedł z nimi później w orszaku.

- Nie ma sprawy, zajmę się Hadrienem - odpowiada bratu i nachyla się do dziecka: - Chodź ze mną, misiu. Nie przejmuj

się tak, skarbuniu, znajdziemy sobie fajne miejsce, z którego wszystko będzie widać.

Alexandre dziękuje siostrze, całuje ją w policzek i zmyka do swojej roboty. Kilka minut później wraca jednak i oznajmia, że ostatecznie zdecydowali się z Helene jechać do młyna i tam wyczyścić samochód.

- Byłabyś tak dobra i zabrała po ślubie dziewczynki, i przywiozła całą trójkę, skoro masz miejsce w aucie?

Oto jaką korzyść odnosi rodzina, kiedy jest w niej stara panna: w jej samochodzie zawsze znajdzie się miejsce. Mimo to Marie się cieszy.

Niezbyt zwraca uwagę na całą ceremonię. Spośród pięciorga rodzeństwa ona jedna oficjalnie odeszła od religii katolickiej, nad czym ogromnie ubolewają rodzice, którzy za wszelką cenę usiłowali to ukryć przed pewnymi członkami rodziny i przyjaciółmi, jakby chodziło o wstydliwą ułomność nadwerężającą ich reputację. Msze zawsze śmiertelnie ją nudziły, a dzisiaj ma lepsze zajęcie: musi pocieszyć strapioną duszyczkę. Tuli i kołysze Hadriena, szepcząc wszystkie pieśniewotliwe słowa, jakie jej przyjdą na myśl: króliczku, kotusiu, skarbuniu, żabciu. Te słowa dodają jej śmiałości i otuchy tak samo jak Hadrienowi. Malec w końcu zasypia przytulony do niej, a ona uświadamia sobie, jak to miło trzymać dziecko w objęciach.

Myślała, że będzie się nudzić w kościele, tymczasem wbrew jej oczekiwaniom ceremonii nie brak pikanterii. Pierwszy raz w życiu widzi księdza, który na odczepnego odprawia mszę ślubną. Byłoby to nawet zabawne, gdyby z tego człowieka nie emanował jakiś wielki lęk. Najwyraźniej ojczulek jest mocno, ale to mocno przemęczony. Jeśli szybko nie zafunduje sobie długich wakacji, skończy w koszuli z rękawami wiązаныmi na plecach!

Ogarnia ją złośliwa uciecha na myśl, w jaki popłoch musiała wpaść Berengere. Ceremonia w kościele to jeden z najważniejszych punktów przedstawienia - o czym świadczy ustawiona kamera - i oto tę nadzwyczajną chwilę kompletnie zepsuł dziwny ksiądz, którego zrównowazenie i zdrowie psychiczne z pewnością pozostawiają wiele do życzenia. Marie bez trudu sobie wyobraża, jaka burza musi szaleć w Berengere, która światu prezentuje olimpijski spokój w boskiej sukni ślubnej. Dobrze ci tak! Nie pozwoliłaś, żeby Hadrien był z innymi dziećmi, więc Pan Jezus cię pokarał!

Chłopczyk budzi się w trakcie komunii. Z trudem udaje się jej wytłumaczyć mu, że nie, nie będzie przyjmowała hostii. Malec zaczyna się wiercić; musi rozprostować nogi. Marie uznaje, że może mu darować końcówkę mszy i wyprowadza go na zewnątrz, aby sobie pobiegał.

Dziesięć minut później rozlega się pieśń końcowa i przed kościół wylegają dziesiątki weselników uzbrojonych w aparaty fotograficzne. The show must go on: Berengere będzie się uśmiechać teatralnie i przybierać pozy, które podkreślają jej długą wdzięczną szyję, „rasową”, jak mawia ich matka. Marie jest zła na siostrę o cały ten cyrk ze ślubem, o Hadriena... Mówi sobie, że jej nie cierpi. I czuje zmieszanie, jakby ten napad wrogości był sam w sobie podejrzanym i niewspółmiernym do okoliczności. Nie jestem zazdrosna. Obiektywnie nie jestem zazdrosna. To byłby naprawdę szczyt!

Zanim zwoła dzieci brata, idzie złożyć życzenia młodej parze. Mówi: „Szczęścia na nowej drodze” jak najserdeczniej i z maksimum przekonania w głosie. Berengere zatrzymuje na chwilę wzrok na jej kapeluszu, lecz wstrzymuje się od komentarza. Całuje ją i szepcze jej na ucho:

- Zobaczysz, posadziłam cię przy super stole!

„Superstół” w wydaniu Berengere znaczy: „stół kawalersko - paniński z facetami bez zobowiązań z baaardzo

dobrych rodzin, każdego masz do wzięcia". Czemuż oni nie chcą zostawić Marie w spokoju? Będą ją tak dręczyć już do końca życia? Potworność. Po aferze z kapeluszem jeszcze tym ją będą dobijali! Najchętniej by się stąd zabrała. Tyle że obiecała się zająć Hadrienem i dziewczynkami... Co tu teraz zrobić? Nie bardzo ma wyjście.

Na szczęście jazda samochodem z bratankami to chwile naprawdę przemiłe. Marie się cieszy, że Pauline poprosiła, by towarzyszyła im mała Lucie. Odprężająco działa na nią śpiewanie z dziećmi. Lubi, kiedy są szczęśliwe, bez troskie, upojone wiatrem, który wpada do samochodu przez opuszczone szyby. Te maluchy to istne skarby. Tak je kocha, że by je zjadła. Warto było tu przyjechać choćby dla tej przejażdżki - ledwie parę kilometrów wiejską drogą z kościoła do młyna.

Przyjęcie ma być w wystrzałowym lokalu. W najszybkim miejscu w regionie, wyjąwszy rzecz jasna posiadłości rodzinne. Zanim wysiądzie z auta, Marie ćwiczy uśmiech, rozciągając usta na siłę: trzykrotnie powtarza „cheese”, odsłaniając wszystkie zęby. Wypuszcza dzieci, po czym wkłada kapelusz jak należy, przeglądając się w szybie samochodowej. Będzie posłusznym żołnierzykiem, wystrojonym jak czupiradło, lecz dość dzielnym, by stawić czoło przyjęciu weselnemu i wspaniałemu „stołowi kawalersko - panierskiemu z facetami do wzięcia podanymi na tacy, czemu jej wiecznie źle”.

Jeśli wmiesza się w tłum, uniknie może sesji zdjęciowej, która będzie się ciągnąć bez końca... Niestety, marzenia ściętej głowy. Siostra zaraz ją wypatrzyła pośród gości. Marie musi przyznać, że w tym kapeluszu trudno funkcjonować incognito nawet w największej ciżbie. Berengere przywołuje ją głośno. Mimo że Marie jest czarną owcą, nie obejdzie się bez niej - musi zostać uwieczniona na rodzinnych zdjęciach...

Trzy kwadransy później sesja fotograficzna zostaje zakończona. Marie miała dość czasu, by popoglądać sobie najważniejszych członków rodziny Le Clairów: rodziców Vincenta, jego trzech braci, siostrę - ładną brunetkę o niezbyt przyjemnym wyglądzie - oraz słynną Nathalie, jego byłą „narzeczoną”. Dziecięcy druzbnowie byli bardzo grzeczni. Mała Lucie gdzieś zniknęła.

Hadrien jest niepokieszony, że nie będzie go na zdjęciach; popłakuje w ramionach matki. Marie postanawia, że powie siostrze na ten temat dwa słowa: Berengere powinna zaprosić bratanka, aby się z nią sfotografował. Byłaby to miła pamiątka dla chłopczyka, którego ominęło druzbnowanie, ponieważ miał pecha i pochorował się w samochodzie...

Berengere odpowiada „tak, tak” i korzysta z okazji, by szepnąć jej na ucho:

- Słuchaj, ten stół... na jednego faceta trzeba uważać, to kuzyn Vincenta... kompletnie stuknięty. Pokażę ci go zaraz. Trzymaj się od niego jak najdalej. Przeszajbus.

- Och, jakże miło, że mnie uprzedzasz. Choć najlepiej by chyba było, gdybyś mnie po prostu nie sadzała przy tym wspaniałym „stole kawalersko - panińskim”!

- Nie masz naprawdę za grosz wdzięczności! Będzie też siostra Vincenta, wiesz, ta brunetka. Trochę nietypowa, ale bardzo interesująca.

W ustach Berengere „nietypowy” jest każdy, kto nie wykazuje podobieństwa do Berengere. W tym wypadku przemawia to tylko na korzyść delikwentki, myśli Marie ze złością.

- I co jeszcze?... Jakie masz inne okazy w zanadrzu?

Berengere kontynuuje, nie zważając na sarkazm:

- Będzie też kuzynka Vincenta, też nie ochajtana, chociaż stuknęło jej trzydzieści pięć lat, trzeba jednak przyznać, że za biedaczką nic, ale to nic nie przemawia. Najwyższe stadium

histerii. Przykro mi, że będzie siedziała z wami, ale naprawdę nie mogliśmy zrobić inaczej, sama rozumiesz...

- Chcesz powiedzieć, że dla niej to stół ostatniej szansy, a dla mnie jeszcze jest jakaś nadzieja... Dla mnie to przedostatnia szansa.

- Głupia jesteś! Zobaczysz, naprawdę w porządku chłopaki...

- Berengere, zejź ze mnie, jak cię proszę. Niepotrzebne mi żadne „chłopaki w porządku”. Co ty myślisz? Że gdybym chciała kogoś znaleźć, nie poradziłabym sobie sama?

- Dobrze już, dobrze, nie złość się!

- Wcale się nie złościę. Próbuję ci tylko wytłumaczyć, że jestem już dużą dziewczynką i nie potrzebuję pomocy, wiesz w czym...

- Och, jesteś męcząca! Chodź, poznam cię z siostrą Vincenta.

Ładna brunetka stoi obok. Marie nie słyszała, jak podeszła. Jest wysoka, szczupła, ma na sobie elegancki spodnium w kolorze kremowym, a na nogach złote japonki.

- Agnes, to moja starsza siostra Marie... Marie, przedstawiam ci Agnes, siostrę Vincenta, którą miałabyś już przyjemność poznać, gdybyś nie zbojkotowała moich zaręczyn.

Marie szeroko otwiera oczy i chce zaprotestować, lecz jej siostra dodaje pod adresem Agnes:

- Marie zaraz powie, że to nie jej wina. Była podobno na jakimś kongresie w Stanach.

- Ależ ja naprawdę byłam na kongresie w Stanach!

Berengere nie ustępuje i mówi dalej:

- Marie zawsze znajduje pretekst w postaci jakiejś konferencji międzynarodowej, żeby się wykręcić od nudnych rodzinnych zgromadzeń.

- Naprawdę przesadzasz.

- Nie wypieraj się, Marie! Już dawno cię przejrzałam... Robiłabym zresztą tak samo, gdybym była taką szczęściarą, że zapraszano by mnie na konferencje na całym świecie.

- Berengere, przestań gadać głupstwa! - protestuje Marie, rumieniąc się.

Jej zmieszanie wywołuje uśmiech na twarzy Agnes. A Berengere podsumowuje:

- W każdym razie już się znacie. Podbiega do nich Hadrien i zaczyna ciągnąć

Berengere za rękę, domagając się natarczywie, by zrobiła sobie z nim zdjęcie.

- Wybaczcie. Obowiązki mnie wzywają - mówi Berengere ze śmiechem.

I oddala się z furkotem spódnic niczym księżniczka spiesząca na bal. Marie zostaje sama z siostrą Vincenta.

Kobieta przygląda się jej uważnie. Ma zielone oczy w kształcie migdałów i gęste brwi, które nadają jej groźny wygląd. Pełne usta o lekko uniesionych kącikach zdają się zastygłe w ironicznym uśmiechu.

- Bardzo mi się podoba pani kapelusz - mówi.

- A mnie się podoba pani kostium - odpowiada Marie.

- Proszę sobie wyobrazić, że oberwało mi się za niego. Nie wiedziałam, że nie wypada ubrać się na ślub na biało albo na kremowo. Podobno ludzie mogliby pomyśleć, że osoba tak ubrana chce przyćmić pannę młodą.

Spoglądają obie na Berengere, która pod wierzbą płaczącą pozuje z Hadrienem: kręci się w kółko z chłopczykiem, śmiejąc się serdecznie. Obrazek doskonały. Świetnie będzie się prezentował w albumie ślubnym.

- Trzeba by chyba czegoś więcej niż kremowy kostium, żeby dzisiaj przyćmić Berengere. No może ostatecznie gdyby nałożyła pani długi tiulowy welon...

Wybuchają śmiechem. Marie ciągnie:

- Muszę pani podziękować: jest pani pierwszą osobą, która pochwaliła mój kapelusz. Bo proszę sobie wyobrazić, że mnie też się oberwało. Mój szyk polega na tym, że nigdy nie mam szyku. Fatum takie...

- Moim zdaniem świetnie pani wygląda. Proszę niczego nie zmieniać!

Marie jest zmieszana. Siostra Vincenta patrzy na nią z uśmiechem, najwyraźniej chętna do dalszej rozmowy. Postanawiają znaleźć sobie po lampce szampana, potem siadają nieco na uboczu, aby spokojnie pogadać.

- Sama pani tu jest? - pyta Agnes.

Marie jest zaskoczona tak bezpośrednim pytaniem.

- Hm... no tak - odpowiada.

- Przepraszam, że pytam tak wprost... to dość niedyskretne... ale wyznam pani, dowiedziałam się przed chwilą, gdzie będę siedziała: przy stole z samymi singlami. Parę życzliwych osób koniecznie chce mnie wyswatać, stwierdziły więc, że losowi dobrze byłoby pomóc. Czuję się jak w koszmarnym śnie... Więc ogromnie by mi ulżyło, gdybyśmy przypadkiem, jakimś cudem mogły być towarzyszkami w nieszczęściu...

Marie nie posiada się ze zdumienia.

- Mnie wycięli identyczny numer! Berengere powiedziała mi przed chwilą, że będziemy przy tym samym stole.

Śmieją się odrobinę nerwowo, po czym, aby mieć pewność, idą sprawdzić swoje miejsca na planie wywieszonym pod ogromnym białym - zielonym namiotem.

Marie czuje naraz, że wrócił jej dobry humor: obecność tej kobiety, której nie znała jeszcze kwadrans wcześniej, umniejsza brzemień na duszy ciężące jej od przyjazdu. To jakby spotkać przypadkiem na drugim końcu świata, w jakiejś zapadłej dziurze, dalekiego znajomego, którego nie darzy się szczególną sympatią: zbieg okoliczności wydaje się tak

niezwykły, że natychmiast nawiązuje się nic porozumienia, zażyłość, chociaż nigdy by się nie zrodziła w normalnych warunkach. Marie oto już nie jest sama, w tamtej rodzinie też się znalazła starsza siostra również skazana na męki „stołu kawalersko - panińskiego”. Raptem wszystko wydaje jej się prostsze. Obrzuca Agnes spojrzeniem pełnym wdzięczności. A ona przygląda się jej z enigmatycznym uśmiechem, mrużąc oczy koloru morskiej toni; jest mocno opalona; na lewym policzku pieprzyki tworzą dziwny wzór, jakby nieregularną gwiazdę.

- Wie pani, Vincent dużo mi o pani opowiadał.
- Naprawdę?
- Tak. Bardzo panią ceni.
- Naprawdę?

Marie nie posiada się ze zdumienia. Nigdy by nie przypuszczała, że Vincent faktycznie zwracał na nią uwagę, a tym bardziej że darzy ją jakąś szczególną sympatią.

- Owszem - ciągnie Agnes. - Powiedział mi, że uchodzi pani za familijną buntowniczkę. Był pewien, że znajdziemy wspólny język... jak buntowniczką z buntowniczką.

- Powiedział to pani?
- A co w tym dziwnego?
- No... nic... to znaczy nie dziwię się, że mnie przedstawia jako „buntowniczkę”. W zasadzie prawie się nie znamy, ale domyślałam się, że tak właśnie mnie zaprezentowano. Jestem po prostu zaskoczona, że powiedział pani o mnie.

- Szczerze mówiąc, to ja go wypytywałam o panią... Takie rozpoznanie przeprowadziłam na własny użytek, żeby w dniu ślubu nie wyjść na kompletną idiotkę.

- No proszę, a ja, jak pani widzi, nie podjęłam żadnych kroków. Wiedziałam tylko, że Vincent ma siostrę i trzech braci. Berengere opowiadała głównie o Benoit i tej historii z Nathalie...

- Bardzo romantyczna, prawda? - wtrąciła Agnes ze szczyptą ironii w głosie. Po kilku chwilach milczenia podjęła:

- Przyznam się, że Vincent mocno mnie zaintrygował. Ciekawa jestem, dlaczego jest pani „familijną buntowniczką”.

- Och, nie ma w tym nic interesującego, zapewniam.

- Zamieniam się w słuch.

- Cóż... po pierwsze, jestem pulchna i nie potrafię się ubrać, a moja mama i siostry są szczupłe i eleganckie. Po drugie, nie chciałam bywać na balach dla panien na wydaniu, na których moje siostry zawsze się czuły jak ryba w wodzie i miały szalone powodzenie. Po trzecie, jestem agnostyczką w rodzinie, w której katolicyzm jest chyba dziedziczny. .. Mam mówić dalej?

- Pewnie, bardzo proszę! - zachęca ją Agnes z uśmiechem.

- No to na koniec śmietanka: wykonuję zawód, którego nikt nie rozumie.

- Jest pani naukowcem, prawda?

- Zajmuję się biologią komórki. Dla mojej rodziny to oznacza, że jestem jak z innej planety. Kiedy ktoś pyta tatę, co robię, odpowiada: „Marie obdziera płazy ze skóry, żeby znaleźć szczepionkę na raka”.

Agnes się uśmiecha, obracając w palcach lampkę z szampanem.

- Ale dosyć już o mnie. Pani też jest „buntowniczką”, jeśli dobrze zrozumiałam... Co panią uprawnia do tego tytułu?

- To proste: nigdy nie chciałam mieć długich włosów; lubuję się w ekscentrycznych ubiorach, tylko dzisiaj wyjątkowo wróciłam do klasycznego stroju z wiadomo jakim efektem; a dodatkowo porzuciłam advokaturę i związałam się z organizacją humanitarną... Inaczej mówiąc, doprowadziłam rodzinę do rozpacz i jedną nieodpowiedzialną decyzją zniszczyłam sobie życie.

- Poważnie?

- Nie. To znaczy tak: faktycznie doprowadziłam rodzinę do rozpaczki! I myślę, że dotąd mi tego nie wybaczyli...

Rozmowę przerywa im powrót Berengere, która koniecznie chce im przedstawić Damiena, młodego błyskotliwego prawnika, kawalera. Berengere zaraz się ulatnia, oni zaś dość zażenowani zostają we trójkę. Agnes i Marie okazują obojętność wystarczającą, aby w niecałe dwie minuty, aczkolwiek uprzejmie, pozbyć się potencjalnego narzeczonego.

Nieszczęścia chodzą zawsze parami - do Agnes przyczepia się zażywna kuzynka, zwracająca się do niej „moja droga”, i nie zważając na Marie, uprowadza ją ze sobą. Agnes na odchodnym rzuca przepaszające spojrzenie, Marie daje znak, że nic nie szkodzi. Chętnie by z nią jeszcze pogadała, wie jednak, że spotkają się przy kolacji.

Tymczasem rozmawia z krewnymi, których dawno nie widziała, i znów musi ścierpieć parę uwag typu:

- Powiedz no, czyś ty czasem jeszcze nie przytyła?

- Ten kapelusz... bardzo, naprawdę bardzo wyjątkowy... Ty dodałaś pióra?

- To jak, Marie? Następne wesele twoje?

Komuś innemu nie ośmieliliby się czegoś takiego powiedzieć. A jej mówią. Nigdy nie mogła pojąć dlaczego. Nie zdają sobie sprawy. Nie czują, jak łatwo ją zranić. Ewentualnie przeciwnie, doskonale to czują... Jednakże tego popołudnia, w miejscu ocienionym pięknymi drzewami, przybranym bukietami i różowymi balonikami, Marie postanawia, że nie pozwoli, aby cokolwiek ją uraziło. Wszelkich uwag wysłuchuje obojętnie, wręcz z niejaką wyższością, tak bardzo jest szczęśliwa, że spotkała tutaj osobę, która pod pewnym względem jest do niej podobna.

Spotykają się ponownie podczas zasiadania do kolacji - Agnes bez ceregieli zajmuje miejsce obok Marie, wyjaśniając pozostałym, że dawno się nie widziały i mają sobie dużo do powiedzenia. Jej kuzyn Philippe patrzy na nią krzywo; pozostali czterej chłopcy, zaskoczeni władcym tonem, bez słowa siadają przy stole. Jedno krzesło jest wolne. Dopada go w końcu młoda kobieta o niezbyt urodziwej twarzy i dziwnym wzroku. To chyba ta kuzynka histeryczka, o której mówiła Berengere. Agnes nachyla się do Marie i szepcze:

- Miałam ochotę pogadać z panią w czasie kolacji... Nie ma mi pani za złe, mam nadzieję, że nie chciałam ustąpić miejsca któremuś z tych uroczych panów do wzięcia?

- Bez żartów. Przeciwnie, bardzo się cieszę.

- Nie chciałabym oczywiście mieć monopolu na pani towarzystwo.

- Spokojnie, w żadnym razie nie czuję się spętana.

Agnes nachyla się do niej jeszcze bardziej.

- Nie wiem, czy interesuje panią któraś z tych „pięknych partii”, ale uprzedzam: proszę za wszelką cenę unikać mojego kuzyna. To człowiek nerwowo chory.

- Już mnie ostrzeżono - odszeptuje Marie.

Patrzy po twarzach młodych ludzi, których siostra dla niej zgromadziła przy tym stole, i czuje, że nie ma już sił. To takie śmieszne, takie upokarzające. Ma kłopot z zapamiętaniem imion. Philippe, Stephane, Damien, Olivier, Thierry. Wszyscy są do siebie podobni. Wie, że za kilka dni żadnego nie będzie pamiętała.

W jednym kącie namiotu rozciągnięto grube sznury, do których spinaczami do bielizny z lakierowanego drewna panie przyczepiają nakrycia głowy: bardzo ładnie wyglądają kolorowe kapelusze, kapelusiki i toczki mieniące się piórami, wstążkami, koronkami, haftami. Ale Marie się zapiera. Zdecydowała, że do kolacji zasiądzie w kapeluszu na głowie.

Tkwia przy stole sztywno, a wysiłki czynione, by zachowywać się naturalnie i okazywać udawaną radość, są tak wyczuwalne, że każdemu robi się nieswojo. Czasami ktoś rzuca jakiś dowcip, po którym wybucha nienaturalny śmiech. Kuzynka histeryczka nosi imię Benedicte; rozprawia z wymuszoną swobodą, jakby próbowała dowieść, że brzydota wcale jej nie przeszkadza w prowadzeniu rozmowy. Jeden Thierry, siedzący obok niej, zdaje się zafascynowany tym, co opowiada.

Marie z wolna przestaje udawać, że ją to interesuje. Myśli tylko o tym, aby wrócić do rozmowy z Agnes przerwanej przed chwilą przybyciem uciążliwej kuzynki. Gawędzą o wszystkim i o niczym, skacząc z tematu na temat. Agnes za każdym razem formułuje pogląd jasny i precyzyjny, nie pozbawiony humoru. Chwilami zrzuca maskę niedostępności i śmieje się szczerze, odsłaniając olśniewające drapieżne zęby.

Nie są do siebie podobne. Zupełnie inaczej potoczyła się ich droga zawodowa, wiodą inne życie. Niemniej ogarnia je dobroczynne poczucie pełni porozumienia. „Nie widziałyśmy się strasznie dawno i mamy sobie mnóstwo do powiedzenia”. Marie uśmiecha się na wspomnienie tego piramidalnego kłamstwa, które wygłosiła Agnes. I mówi sobie, że w tej chwili zasadniczo to już chyba nie jest kłamstwo.

Między sałatką belle epoque a grzybowym fondant postanawiają przejść na ty. Są uszczęśliwione, że mają siebie nawzajem, choć każda tak długo myślała, że będzie tu sama i jakby zagubiona pośród weselników.

Przy deserze wydaje im się, że znają się od zawsze. Zdaniem Marie tort weselny jest przepyszny; Agnes śmieje się z jej łakomstwa.

Berengere z ojcem otwierają bal, tańcząc w parze miłego dla ucha walca; przy drugim walcu ojciec ustępuje miejsca mężowi i młoda para wiruje przed rozczulonymi gośćmi.

Wszystko to wydaje się idealnie zaaranżowane, choreografia dopracowana co do milimetra. Berengere naprawdę ma dryg do organizowania dużych przyjęć.

- Lubisz tańczyć? - pyta Agnes.

- Zależy z kim - odpowiada Marie. Nachyla się do niej i mówi szeptem: - Widzisz, gdyby na przykład poprosił mnie któryś z tych chłopaków przy stole, raczej nie miałabym ochoty zatańczyć.

- A wpadł ci tu w oko ktoś, z kim byś zatańczyła?

- Prawdę powiedziawszy, niespecjalnie się rozglądałam, ale... nie, raczej nie.

Przytłumiono światła. Stoły oświetlają teraz tylko małe lampki z odbłyśnikiem, rzucające łagodne ciemnożółte światło. Marie przemyka przez głowę, że pewnie za dużo wypila, i przyjmuje papierosa, którym częstuje ją Agnes. Uśmiechają się do siebie w półmroku.

Po kawie Marie zdejmuje kapelusz i kładzie na stole, przy którym zostały same. Thierry porwał Benedicte do szalonego rock and rolla. Wyglądają na ucieszonych, że są razem; niemal dziecięca radość gości na ich mało urodziwych twarzach. Inne osoby „do wzięcia” rozplynęły się gdzieś w naturze.

Nie ruszając się z miejsca, Marie i Agnes nadal rozmawiają. Jednakże od dłuższej już chwili zdecydowanie maleje ożywienie, które je uskrzydlało podczas kolacji. Momentami zapada nawet cisza. Nie odzywają się, lecz siedzą obok siebie. Od czasu do czasu zapalają papierosa, zamieniają kilka zdań, pośmieją się, po czym znowu milkną. Przyglądają się tancerzom na rzęsiście oświetlonym parkiecie. Swego rodzaju dobroczynne odrętwienie było balsamem na urazy, które żywiła Marie. Spędza oto cudowny wieczór. Ma poczucie, że w towarzystwie Agnes nic nie może jej zranić, dotknąć, zepsuć jej radości.

Okolo drugiej w nocy zaczynają się wolniejsze tańce. Część zmęczonych tancerzy opuszcza parkiet. Wtedy właśnie Agnes pyta:

- Mogę cię poprosić do tańca?

Marie patrzy na nią w osłupieniu. Agnes nie odrywa od niej swych podłużnych oczu, których dziki błysk jeszcze podkreśla światło. Spokojna, nieruchoma, z jedną ręką na oparciu krzesła Marie, czeka na jej odpowiedź. Jest miła i niebezpieczna. Ma uśmiech wilczycy.

W piersiach Marie pojawia się skądś znarowiony koń, który skacze na prawo i lewo, obija się i drecze w miejscu. Na szyję wypływa jej rumieniec, rozlewa się na policzki i sięga aż do czoła. Ogarnia ją na moment strach, że źle zrozumiała. Chociaż to jasne jak spojrzenie spoczywające na niej. Nie spodziewała się tego. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że Agnes może być... aczkolwiek od samego początku w ogóle nie kryła swego pociągu. A Marie, choć się do tego przed sobą nie przyznawała, wyczuwała to doskonale; w gruncie rzeczy tylko o tym marzyła, odkąd skrzyżowała z nią wzrok: oczarować ją, dotknąć. Nie dopuściła, aby to pragnienie się uzewnętrzniło, ponieważ jest na weselu młodszej siostry, a na uroczystości rodzinnej nie należy sobie pozwalać na takie numery.

Jest druga w nocy. Wielu gości już się pożegnało. Dzieci poszły spać. Może więc, mówi sobie, to właściwa chwila, żeby skończyć z oszukiwaniem. Może to chwila, aby zatańczyć z tą kobietą, która jej się podoba, tak jak często tańczyła z kobietami w Australii, Ameryce, Paryżu...

To by ich uciszyło wszystkich, co do jednego. Przestaliby ją traktować jak niegramotną dziewczynę, która nie potrafi wpaść w oko żadnemu chłopakowi i gryzie się w skrytości ducha, że nikt jej nie kocha. Przestaliby jej truć o ślubie.

Myśli te przemykają jej piorunem przez głowę, kiedy wpatruje się w zielone oczy, których blask wprawia ją w zmieszanie i zniewala. Już ma powiedzieć „tak”... lecz kieruje wzrok na parkiet: jej rodzice tańczą ostatni kawałek przed powrotem do La Croix Pilate. Jej nieskazitelni w oczach całego świata rodzice, którzy wychowali pięcioro dzieci i po trzydziestu pięciu latach małżeństwa ciągle się kochają. Uświadamia sobie, że wielu gości z podziwem obserwuje tę elegancką parę, mężczyznę i kobietę, których sylwetek upływ czasu nie zmienił ani trochę, którzy manifestują swoje zgranie w ostatnim tańcu, zanim odjadą, aby w pięknym domu rodzinnym położyć się spać obok siebie.

I Marie stwierdza, że nie może zatańczyć z Agnes. Chociaż jest wstawiona, myśli jasno. Wie, że nie ma prawa zrobić tego przy wszystkich tych ludziach. Znarowiony konik rzuca się, szaleje w jej piersiach, kopiąc ją tak, aż chce się jej krzyżeć - ze smutku i z rozczarowania: nie robi tego, ponieważ nie śmie. Nie ma odwagi. Boi się ich reakcji. Wyczuwa, do czego byliby zdolni po czymś tak skandalicznym. Boi się po prostu, że nie zdoła tego znieść. Odmówi, bo nie ma w sobie siły Agnes i jej spokojnej zuchwałości.

Kiedy opiera się o brzeg stołu, aby dodać sobie kontenansu, palcami muska rondo swego kapelusza. Leży tutaj, na stole, pomiędzy bukietami kwiatów, nie dopitymi kieliszkami i resztkami deseru na brudnych talerzykach. Jej wspaniały kapelusz, którego pióra tańczą delikatnie w półmroku.

Opuszkami naciska słomkowe rondo i wszystkie urazy, wszystkie rozczarowania tego dnia wzbierają w niej naraz, podchodzą jej do gardła, do ust, niczym długo wstrzymywane mdłości. Wyniosłe oględziny matki. Poblężliwy śmiech Laurence. Sarkazm Alexandre'a. Jej rozzalenie. Jej samotność.

Pragnienie, aby natychmiast wrócić do Paryża. Drobne łzy ocierane ukradkiem w samochodzie. „Skarbie, bardzo cię kocham, ale można powiedzieć, że im bardziej się starasz, tym gorzej ci wychodzi”. Na samo wspomnienie tego znów staje się małą dziewczynką walczącą ze łzami.

I wtedy naraz podejmuje decyzję. Podnosi kapelusz, wkłada go na głowę; zrywa się z miejsca i mówi „tak”. To „tak” jest stanowcze i zdeterminowane, samo jedno potrafi odegnać wszystkie demony smutku. To „tak” znów pozwala jej szanować siebie.

Agnes także wstaje bez słowa, bierze ją za rękę, prowadzi na parkiet. Obydwie wiedzą, że przez całe życie będą pamiętały to, co właśnie zamierzają zrobić. Za kilka chwil zmieni się spokojna atmosfera tego wieczoru; dla nich może się to okazać przykrym przeżyciem.

Stają naprzeciw siebie, patrząc z powagą we wzroku. Obejmują się i zaczynają tańczyć. Marie zamyka oczy, by zapomnieć o spojrzeniach innych i w pełni oddać się smakowaniu powolnego rytmu muzyki.

Dotyka ustami ciepłych, wibrujących życiem warg Agnes i czuje, że partnerka oddaje pocałunek.

JEAN - PHILIPPE

Nie miał ochoty przyjeżdżać. Gotów był znaleźć jakiś pretekst - na przykład wyjazd za granicę, cokolwiek - byle tego uniknąć. Ona jednak nalegała:

- Przecież to córka twojego brata!

- A co ja mam do niej?

- Jean - Philippe, nie można stale tak się odcinać od nich...

- Dobrze wiesz, że nie będziemy się czuli dobrze.

- Mów za siebie!

- W porządku, umówmy się, że nie jesteś pamiętliwa i nie chowasz urazy po tym wszystkim, co usłyszałaś.

Machnęła ręką ze znużeniem.

- Nie rozumiem, dlaczego w tym wypadku miałyby to mieć znaczenie. Catherine i Pierre zawsze byli dla mnie mili.

Wymamrotał coś niezrozumiale jak zawsze, ilekroć nie znajduje odpowiedzi. Bo i cóż mógłby jej powiedzieć? Przytulił ją i pocałował. Jest lepsza niż on, jego żona o blond włosach i złotym sercu jest lepsza. Uśmiechnęła się do niego i szepnęła:

- Właściwie odkąd twoja matka umarła, z przyjemnością widuję się z twoją rodziną.

Dzisiaj jest nie w sosie. Jej ma za złe, że nalegała, aby przyjechali, a sobie, że ustąpił. Zaczął od wyrzutów, że tyle czasu zmarnowała na przygotowania. Wygłosił nawet przykrą uwagę na temat głębokości jej dekoltu.

- Przestań! Przypominam, że suknię wybieraliśmy oboje. Nie zauważyłam, żeby ci to przeszkadzało, kiedyśmy ją kupowali.

To prawda, nie tylko mu nie przeszkadzało, ale nawet się podobało. Dzisiaj jednak to zupełnie co innego: wkurza go, że włożyła tę suknię, a na dodatek robi sobie taki makijaż, jakby zamierzała uwieść wszystkich mężczyzn obecnych na

przyjęciu. Jest zdenerwowany, bo nic nie może na to poradzić. Patrzy na nią, gdy w skupieniu starannie nakłada szminkę na usta. Siedzi wzrokiem drogę, jaką pałeczka pomadki pokonuje na jej wargach.

Dla kogo robisz się na bóstwo, hę?

Jakby odpowiadała na pytanie, którego nie zadał, mierzy go z lustra spojrzeniem pełnym wyrzutu.

Teraz siedzą przy stole w towarzystwie Isabelle, siostry Catherine, oraz jej męża kardiologa i dwóch innych par, których nie znają. Jean - Philippe przygląda się paniom. Wszystkie są między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Ubrane są w szykowne garsonki, mają do nich kolorystycznie dopasowane buty albo torebkę. Z fryzur nie wymyka się żaden niesforny kosmyk włosów. Są perfekcyjnie eleganckie. Zdążyły się nawet przypudrować, zanim usiadły do stołu. Uśmiechają się życzliwie gotowe prawić uprzejmości, lecz jest w nich coś na kształt oschłości i znużenia. Te kobiety już nie kochają swoich mężów, to oczywiste.

Uderzająco błyszczą wśród nich jego Sylvie. Ta suknia leży na niej bosko. Dekolt podkreśla piersi. Nic a nic się nie zmieniły, odkąd je sobie poprawiła dziesięć lat temu. Nie wygląda na swoje pięćdziesiąt pięć lat. Jest wspaniała. Jean - Philippe czuje się dumny z żony. A równocześnie draży go mglisty niepokój, kiedy spogląda na nią, taką jasnowłosą i promieniejącą pośród tych pań o konwencjonalnej elegancji. Bywa o nią zazdrosny, wręcz niezdolnie zazdrosny. Dzisiaj w ogóle się nie starał być dla niej miły; każe jej płacić za to, że jest taka piękna i że przywlokła go na ten cholerny ślub i wesele.

Miejsce przy tym stole wcale mu nie poprawia humoru. Zgaduje, co ci ludzie myślą o jego żonie: mój Boże, jaka ta kobieta jest wulgarna! I pomyśleć tylko, że trzeba będzie przez całe przyjęcie mieć do czynienia z taką osobą! Isabelle i

ten jej kardiolog pewnie się zastanawiają: dlaczego Catherine posadziła nas z Jeanem - Philippe'em i jego żoną? O czym my możemy z nimi rozmawiać? Tak, Jean - Philippe wie, że tak myślą. Wyczuwa to. Siedząca po drugiej stronie stołu Sylvie wpatruje się w niego z natężeniem niemal groźnym. A o czym myśli, Jean - Philippe także odgaduje: kochanie, zachowaj spokój. Zrób mi tę przyjemność i bądź miły przez całą kolację.

Isabelle cholernie się postarzała, odkąd ją widział ostatnio. Jean - Philippe cieszy się z tego w skrytości ducha. Mówi jej:

- Isabelle, świetnie pani wygląda.

- Tak? - dziwi się Isabelle. - Miło to słyszeć, bo akurat czuję się dosyć zmęczona przygotowaniami do ślubu Thibaulta.

- Tak, Pierre mi wspominał... że Thibault się pięknie wżeniał.

Stara się to powiedzieć bez uśmiechu pod ostrzegawczym spojrzeniem Sylvie rzuconym nad stołem. Isabelle jednak nie wysłyszała ironii. Odpowiada „tak” głosem lekko zduszonym, jakby wyjawiała wstydlivy sekret.

Tu wtrąca się jej mąż.

- Prawda jest taka, że Isabelle jest na drakońskiej diecie, która ją zwała z nóg - obwieszcza.

Isabelle się rumieni. Wzrokiem błaga męża, aby nie mówił nic więcej. Ale on patrząc na nią, ciągnie szyderczo:

- To dieta proteinowa! Dwa kilo mniej w dwa miesiące! Indycze białe mięso na śniadanie. Pozostawiam państwa wyobraźni, jakie to przyjemne, kiedy się siedzi naprzeciwko.

- Powinien pan się cieszyć, że żona stara się ładnie wyglądać, zamiast naśmiewać się z jej diety - wtrąca Sylvie.

Kardiolog unosi jedną brew, obrzuca ją wzrokiem męzczyzny, który nie przywykł, aby mu się sprzeciwiano, po czym rzuca:

- Mnie nic do tego, naprawdę. Isabelle szykuje się do ślubu i wesela za dwa tygodnie.

Wyraźnie nie bez dumy napomknął o tym wydarzeniu: jego syn żeni się z dziewczyną ze świetnym rodowodem, z owocem udanego związku bardzo bogatej wysoko postawionej rodziny paryskiej i starej arystokracji bretońskiej. Coś takiego właśnie nazywa się „pięknym wżenianiem”. Mąż Isabelle dodaje z uśmiechem:

- Przyszła teściowa naszego syna to istna piękność. Prawda, kochanie?

Zesztywniała Isabelle powtarza:

- Tak, to istna piękność.

Jean - Philippe widzi na jej skroniach perlące się drobne kropelki potu. Dostało się jej. Ale trzyma się jako tako i nie poddaje upokorzeniu, które zaserwował jej mąż. Jean - Philippe spogląda na kardiologa.

- Pańska żona też jest pięknocią.

- Ależ oczywiście - zgadza się kardiolog z uśmiechem. - Wszyscy tutaj są co do tego zgodni...

Isabelle obrzuca Jeana - Philippe'a spojrzeniem pełnym wdzięczności. W życiu by nie pomyślał, że powie kiedyś o tej kretynce, że jest pięknocią!

Po tym incydencie całe towarzystwo stara się poruszać w rozmowie tematy w miarę ogólne i niegroźne. Każdy z tych ludzi dużo podróżował, toteż opowieści o rozmaitych wozajach starcza praktycznie na całą kolację. Isabelle odważa się od czasu do czasu przytoczyć jakąś anegdotę. Mąż ustawicznie ją poprawia i nie skąpi kąśliwych uwag, kiedy pominie jakiś szczegół lub zapomni datę. Isabelle ulegle przyjmuje każde pouczenie. Wydaje się, że ożywa, ilekroć mąż raczy jej posłać pobłaźliwy uśmiech albo wstrzymuje się od komentarzy. Jean - Philippe spogląda na zegarek. Przy deserze użyję sobie na tym chacie, postanawia.

Pół godziny później zostaje podany tort weselny. Od początku kolacji Isabelle jeszcze bardziej się postarzała. Siedzi skulona na krześle, jakby chciała się zapaść pod ziemię. Szepcze do Jeana - Philippe'a:

- Zje pan moją porcję tortu?

Jean - Philippe wie, że powinien odmówić. Sylvie dość często mu powtarza, żeby uważał i pilnował się... Wyraża jednak zgodę - po pierwsze, z łakomstwa, po drugie dlatego, że nie chce zostawić Isabelle z kalorycznym tortem, i po trzecie... by dokuczyć żonie, która rzuca mu gniewne spojrzenie. Ale o tak drobny grzeszek nie odważy się zwrócić mu uwagi przy ludziach.

Przy kawie wszyscy się rozluźniają. Już prawie koniec. W ósemkę ze trzy albo i cztery razy objechali świat dookoła; wykorzystując rozmowy z tego wieczoru, można by napisać przewodnik turystyczny naszpikowany pikantnymi anegdotami i celnymi obserwacjami etnologicznymi.

Dobłą już chwilę Jean - Philippe czyha na swoją ofiarę. Czeka na sprzyjający moment. Czuje, że okazja niedługo się nadarzy. Mimowolnie dostarcza jej pani siedząca po prawej kardiologa. W swym zamierzeniu pragnie podtrzymać konwersację podupadającą od kilku minut, porusza więc temat podstawowy, najważniejszy, ten, od którego w ogóle należało zacząć. Pyta mianowicie sąsiada:

- A czym pan się zajmuje?

Kardiolog się nadyma i odpowiada zarozumiale:

- Zarabiam pieniądze, szanowna pani, które moja żona i córki z zapalem wydają.

Towarzystwo wybucha uprzejmym śmiechem. Zadowolony z dowcipnego bon motu mąż Isabelle nachyla się do sąsiadki i konfidencjonalnym tonem dodaje:

- Jestem kardiologiem.

- Och!... - pani na to, patrząc na niego z podziwem szeroko otwartymi oczami. - Jakie to fascynujące!

I właśnie wtedy wtrąca się Jean - Philippe:

- Ma pani słuszność: to fascynujące, a w dodatku trzepie się straszną kasę.

Zakłopotane spojrzenia wszystkich kierują się na niego.

- Proszę?

- Tłumaczę tej pani, że trzepie pan straszną kasę. Bo przecież tak jest, prawda? To właśnie jej pan powiedział, zanim sprecyzował, że jest kardiologiem... Pobudził pan moją ciekawość. Jakiego rzędu kwoty wchodzi w grę?

Towarzystwu dosłownie zapiera dech. Isabelle zastyga jak sparaliżowana z filiżanką kawy uniesioną do ust. Sąsiadce kardiologa krew napływa do twarzy. A sam kardiolog mierzy wzrokiem Jeana - Philippe'a: tak niestosowne pytanie uprawnia go do okazania wzdryki temu, kto je zadał. Waha się, choć naprawdę krótko, zważywszy na to, jak niewielkim szacunkiem w rodzinie Clouetów cieszy się Jean - Philippe i jego żona. Starając się mówić spokojnym głosem, odpowiada:

- Moje dochody są wypadkową moich kwalifikacji, doświadczenia, ogromnych inwestycji w gabinet, aby funkcjonował jak należy, i kolosalnych kosztów ubezpieczenia.

- Dochody są więc „ogromne” i „kolosalne”...

Martwa cisza zalega nad stołem. Wszyscy zamierają niczym w koszmarze. Rozwścieczona Sylvie zwraca się do Isabelle:

- Mam nadzieję, że wybaczy pani mojemu mężowi. Zna pani jego wrodzoną impertynencję...

Oszołomiona Isabelle mamrocze tylko „tak, tak”; kardiolog wzdryga się jakby. Jean - Philippe spogląda na żonę: spryciara, nie próbowała przeproszać tego nadętego

bufona. Zwróciła się do Isabelle. Uśmiecha się do niej z uznaniem, ona jednak piorunuje go spojrzeniem.

Właśnie wtedy zaczyna się bal, szczęśliwie odwracając uwagę gości, którzy ją z ulgą skupiają na parkiecie. Isabelle korzysta z tego i wstaje z miejsca, przepraszając, że musi odejść na chwilę. Idź, idź, kotku. Musisz się pozbierać. Jean - Philippe przestawia swoje krzesło i ostentacyjnie odwraca się tyłem do reszty towarzystwa. Na ten wieczór wyczerpał już cały zapas uprzejmości.

Jego brat walcuje z Berengere. Jest tak smukły, że można by go wziąć za pana młodego. Kiedyś byli sobie bliscy. Dziwne, jaki dystans może życie wytworzyć między ludźmi. Po swoim ślubie Jean - - Philippe pozwolił, aby więzy się z wolna zupełnie rozluźniły. Żałuje tego pod pewnymi względami, nie wydaje mu się jednak, aby miał wybór. Wie, że jego rodzina nigdy nie zaakceptowała Sylvie. Być może z powodu tego, co nazywają jej „wulgarnością”. W mniemaniu Clouetów to niewybaczalna wada. A w rzeczywistości chyba dlatego, że Sylvie jest dla nich za piękna. W każdym razie stało się, jak się stało. W tej chwili już mało ważne, dlaczego sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej.

Mimo wszystko musi przyznać, że Pierre i Catherine zawsze miło się odnosili do Sylvie. Dlatego Sylvie ich lubi. Ale on nie jest głupi. Dobrze zna Catherine: jest elegancka, zawsze elegancka - nawet w pogardzie.

Patrzy, jak brat tańczy ze swoją śliczną córką, i stwierdza, że wiódłby zupełnie inne życie, gdyby tak jak Pierre ożenił się z panną ze swojej sfery. Pamięta dzień, kiedy oznajmił rodzicom, że postanowił poślubić Sylvie, córkę robotnika i sprzątaczkę. Matka podniosła krzyk, że nie ma mowy, aby się ożenił z dziewczyną „wyciągniętą z rynsztoka”. Ojciec, bardziej wstrzemięźliwy w słowach, prosił, by jeszcze raz przemyślał decyzję dotyczącą „tej osoby”. Oboje mówili o

młodej kobiecie, której nie widzieli na oczy... Myśląc o tym, Jean - Philippe nawet dzisiaj nie może powstrzymać gorzkiego uśmiechu.

Wpatruje się w zdobiące stoły bukietki ułożone z róż i liści. Czerwonymi różami ją podbił. W tamtych czasach był w rodzinie enfant terrible i doprowadzał rodziców do rozpacz. Przed maturą przerwał naukę w liceum, mieszkał w kawalerce bez ogrzewania należącej do rodziny i utrzymywał się z dorywczych prac w oczekiwaniu na chwilę, gdy podbije świat. Wstawał o czwartej rano, by u hurtownika kupić naręcze róż, które wieczorem sprzedawał po restauracjach.

Kiedy tamtego dnia pchnął drzwi lokalu, pomyślał w pierwszej chwili, że jest klientką. Miała na sobie czarną sukienkę bez rękawów nie sięgającą kolan i ogromny kok, jakie wtedy były modne. Wielkie niebieskie oczy, olśniewający uśmiech. Przypominała aktorkę. A jego ścisnęło w gardle. Ręce mu zwilgotniały. Poczul się żaloszny z tym naręczem róż owiniętych w celofan. A potem zobaczył, że dziewczyna wchodzi za kontuar i zaczyna przerzucać plik rachunków, i serce mu skoczyło w piersi: nie była klientką; pracowała tutaj. Była hostessą w tej restauracji. Ruszył w jej kierunku, aby się przywitać i poinformować ją, że jest dogadany z szefem w kwestii sprzedaży róż. Odpowiedziała z uśmiechem:

- Tak, tak, wiem.

Z trudem przełknął ślinę, po czym podał jej różę. Uśmiechnęła się znowu.

- O, jak miło. Dziękuję.

- Póki mi pani nie powie, kiedy zgodzi się pójść ze mną na kolację, obiecuję, że co dzień będzie pani taką dostawała.

Spostrzegł, że spochmurniała naraz, uśmiechnęła się blado i niechętnie i wetknęła nos w papiery. Powiedziała, nie patrząc na niego:

- Nie jestem taką dziewczyną, jak pan myśli. Jasno, wyraźnie, kategorycznie. Serce mu się ścisnęło.

- Bardzo przepraszam. Nie chciałem pani dotknąć.

Spuścił oczy i zauważył cztery czy pięć zmiętych wizytówek w koszu ustawionym przy kontuarze. Wszedł, nie zrobiwszy nawet obchodu stolików, by zaproponować gościom róże.

Kiedy nazajutrz stanął w drzwiach restauracji, udawała, że jest bardzo czymś zajęta za kontuarem, aby nie musieć się z nim witać. Kiedy sprzedawał róże, nie patrzyła na niego. Kiedy wychodząc, położył różę na kontuarze, nawet nie podniosła wzroku.

Następnego dnia wszystko przebiegło identycznie, tyle że kiedy kładł różę na kontuarze, powiedziała „dziękuję”, nie patrząc na niego. A kolejnego wieczoru powiedziała „dziękuję”, patrząc na niego.

Usłyszawszy piątego wieczoru „dziękuję”, podał jej swoją wizytówkę, wyjaśniając:

- Tylko po to, żeby się pani dowiedziała, jak się nazywam. Potem może ją pani wyrzucić do kosza.

Uśmiechnęła się.

Później co wieczór zamieniali kilka zdawkowych słów, kiedy wręczał jej różę. Nie miał odwagi spytać, czy ostatecznie wyrzuciła jego wizytówkę.

Po trzech tygodniach zaryzykował i z obojętną miną, choć obawa go dusiła, rzekł, że zaproszenie na kolację jest aktualne. Uśmiechnęła się, lecz nie odpowiedziała.

Nie wiadomo, jak długo trwałaby ta gra, gdyby los się do niej nie wmieszał. Los, który solidnie go popchnął naprzód, a raczej rąbnął w plecy pewnego zimowego poranka, gdy Jean - Philippe szedł po oblodzonym chodniku z naręczem róż. Nigdy nie zrozumiał, jak się znalazł na ziemi, jak to się stało,

że leżał pośród rozsypanych róż i zwijał się z bólu: zwichnięta noga w kostce, gips przez miesiąc i powrót na łono rodziny syna marnotrawnego na czas rekonwalescencji. Wystarczająco długi, by utwierdził się w tym, co już dobrze wiedział: że nie znosi swojej rodziny; i że jest zakochany do szaleństwa w dziewczynie z restauracji. Kiedy po miesiącu wreszcie mógł się swobodnie poruszać, myślał tylko o jednym: jak ją przekonać, by z nim chodziła.

Następnego wieczoru zjawił się w restauracji, w głowie mając przygotowane zdania, które długo układał i wiele razy powtarzał. Kiedy go zobaczyła, zbladła i znieruchomiała za kontuarem. Obszedł stoliki, nie spiesząc się, ze strachu odwołując chwilę, kiedy będzie musiał się odezwać do niej. Po czym gdy już stanął przed nią, spanikował. Poczuł, że nie da rady. Nie położył nawet róży na kontuarze, tylko ledwie słyszalnie wymamrotał „dobranoc” i wyszedł szybko.

Na chodniku, gdy owiało go powietrze, stał przez chwilę bez ruchu wściekły na siebie, że nie znalazł w sobie odwagi, aby się odezwać. Usłyszał, że drzwi się za nim otwierają. To była ona - w tej swojej sukience bez rękawów wyszła w zimną noc.

- Co się stało? Gdzie się pan podziewał?

- A czy to ma dla pani jakieś znaczenie? - odparł, po czym dodał: - Miałem wypadek.

- Wypadek... - powtórzyła cichutko. - To był wypadek.

- Tak... dlatego ostatnio tu nie przychodziłem.

- Ach, to dlatego.

Uśmiechnęła się z przymusem, nie śmiąc zapytać o nic więcej. Drżała z zimna. Dość szorstko powiedział:

- Nie powinna pani tu stać tak ubrana.

Spojrzała nań i lekko speszona rzekła dość smutno:

- Tak, ma pan rację.

I kiedy już się odwracała, by wrócić do środka, w niego coś wstąpiło: cisnął róże na chodnik, złapał ją za rękę i przyciągnął. Nie stawiała oporu. Wzięła jego twarz w lodowate ręce i pocałowała go. A on pomyślał, że na taki pocałunek warto było czekać tak długo.

Wiele nocy później wyznała mu, że spodobał się jej od pierwszego wejrzenia, a widząc go co wieczór, zakochała się w nim na zabój.

- W takim razie dlaczego kazałaś mi czekać dwa miesiące?

- Ten miesiąc, kiedy nie przychodziłeś, nie liczy się!

- Dobra, dobra... Mówmy więc tylko o tych trzech tygodniach przed moim wypadkiem. Czemu przez tyle czasu, przez całą wieczność, ani słówkiem mnie nie zachęciłaś?

Roześmiała się.

- Wieczność, też coś! - prychnęła. - Raptem trzy tygodnie!

- Skoro mówisz, że od razu ci wpadłem w oko, trzy tygodnie to zdecydowanie za długo... Ale poważnie, czemu byłaś taka oziębła, jeśli ci się podobałem?

- Nie chciałam, żebyś myślał, że jestem łatwa. .. Co tam zresztą te trzy tygodnie! Czekalbyś dużo dłużej, ale jak przestałeś przychodzić, pomyślałam, że już ci się znudziło, że się zniechęciłeś.. . A ja, idiotka, wyrzuciłam twoją wizytówkę... Nie masz pojęcia, jaka byłam na siebie zła! Przez miesiąc klęłam na czym świat stoi, sądząc, że więcej cię nie zobaczę. A jak się w końcu zjawiłeś, myślałam, że zemdleję. Potem wyszedłeś tak bez słowa, nie dałeś mi róży... no i wtedy zrozumiałam, że koniecznie muszę z tobą pomówić. Nie chciałam ryzykować, że znowu mi znikniesz.

Powiedziała mu to wszystko z wielką powagą. Powiedziała to naga, piękna, z długimi jasnymi włosami rozsypanymi na piersiach. Kiedy mówiła, patrzył jej w oczy,

w te jej piękne niebieskie oczy, i gładził ją. I właśnie wtedy, spoglądając na nią, zrozumiał, że jest kobietą jego życia.

Niewiele wie o jej przeszłości ani o rodzinie. Sylvie nigdy nie lubiła na ten temat mówić. Najpierw sądził, że wstydzi się rodziców, skromnego pochodzenia. Ale nie, nie o to chodziło. Wydaje mu się, że przeszłość kojarzy jej się z cierpieniem, o którym próbuje zapomnieć.

Gdy Sylvie powiedziała o nim rodzicom, ojciec uderzył ją w twarz i wyrzucił z domu, wymyślając jej od „burżujskich dziwek”. Kiedy zbiegała po schodach, wrzeszczał wychylony przez poręcz:

- Tyś widziała ręce swojej matki? Jak miała czternaście lat, robiła za popychadło u takich ludzi! Odtąd nie mam córki, słyszysz? Żeby twoja noga więcej tu nie stała!

Biegła ile sił w nogach ze zwieszoną głową, a na górze głos jej ojca załamał się w szlochu:

- Tyś widziała ręce swojej matki?...

Jean - Philippe wieczorem o wszystkim się od niej dowiedział. A potem, jakby tłumacząc ojca, mówiła o rękach swojej matki tak szorstkich i spękanych, że nie nadawały się do żadnej pieszczoty. Płakała i płakała, nie mogąc przestać. Wtedy ją zapytał, jakby to była jedyna rzecz zdolna naprawdę ją pocieszyć, czy zechce zostać jego żoną.

Wyznała mu później, że jej ojciec ma problem z alkoholem. Życie mocno dało mu w kość, mówiła, trzeba mu okazać zrozumienie; nie wolno go potępiać. Kiedy wypił, stawał się gwałtowny. Wtedy bił, chociaż normalnie nie był zły. Znosiła to przez całe dzieciństwo i później, dopóki się nie wyprowadziła. Właśnie dlatego musiała przerwać naukę i tak młodo iść do pracy. Patrząc na jej urodę, trudno było sobie wyobrazić, co wycierpiała. Jean - Philippe poprzysiągł sobie, że uczyni ją szczęśliwą.

Sylvie chciała wziąć ślub kościelny. Jest katoliczką. Matka ją tak wychowała wbrew ojcu, który psioczył na księży równie zawzięcie jak na tych, których nazywał burzujami. Odmówił przyjęcia na ślub córki. Ze względu na różnice społeczne i niechęć rodziców obu stron uroczystość była cicha i skromna. Tego dnia ze strony Sylvie była tylko jej matka, chuda i lękliwa, skrywająca ślady po razach pod obszernym szarym płaszczem, i ciotka staruszka, wdowa wojenna ubrana na czarno. Na zdjęciach z wyjścia z kościoła trzymają się tak blisko siebie, jakby ogrzewały się nawzajem.

Nikt nie raczył do nich zagadać. Bo też nikt nie miał pojęcia, co by im można powiedzieć. Nie zostały na przyjęciu. Wróciły do ojca Sylvie. Wcale ich zresztą nie zatrzymywano. Przecież całość zorganizowała i opłaciła rodzina Jeana - Philippe'a. Po wyjściu z kościoła pani Clouet, z domu Hennebont de Kistinic, zdobyła się na wyjątkowy gest: podeszła do matki Sylvie, wyciągnęła do niej dłoń obleczoną w rękawiczkę z jasnej kozłej skórki i uśmiechając się dobrotliwie, powiedziała:

- Wszystko nas dzieli, ale modlitwa nas połączyła.

Biedna kobieta zdołała tylko wymamrotać zamierającym głosem „dziękuję” i krótko uścisnęła dłoń wielkiej pani, która już się od niej odwracała i wyniośle kroczyła w kierunku swojej rodziny. Jean - Philippe poczuł, jak stojąca u jego boku Sylvie zadrżała, i do szpiku kości przejęła go fala smutku pomieszana z zimną złością. „Wszystko nas dzieli”... Tego właśnie dnia zerwał z rodziną.

Kiedy w latach siedemdziesiątych postanowił otworzyć lokal, nawet przez myśl mu nie przeszło prosić rodziców o pomoc. Po niezbędne fundusze udał się do banku. Miał bowiem ambicję, aby coś udowodnić: chciał starym pokazać, że może coś osiągnąć w życiu, on, wałkoń, zakała rodziny.

Bardzo, ale to bardzo pragnął, by mu się powiodło i by jego żona mogła żyć jak królowa.

Warto było zaryzykować i tak się zadłużyć. Lokal od pierwszej chwili świetnie prosperował, tak że w ciągu dwóch lat udało się pospłacać kredyty. A nieco spokoju Jean - Philippe zaznał, dopiero kiedy zaczął naprawdę dużo zarabiać. Właściwie kiedy się dorobił majątku.

Boże Narodzenie siedemdziesiątego siódmego roku. Pamięta, jak zajechał do posiadłości Clouetów wielkim mercedesem pachnącym nowością. Zrobił sobie tę przyjemność, że zajechał z fasonem i ostro zahamował przed wejściem frontowym, aż spod opon trysnął żwir, którym wysypany był podjazd. Sylvie miała na sobie wspaniałe futro z norek, a na palcu pierścionek z trzykaratowym brylantem. Rano jej powiedział:

- Kochanie, strój się i maluj, masz być odstawiona jak jacht pod pełnymi żaglami. Pokażemy tym bufonom, że mamy szmal!

Po walcach zaczynają się kawałki rockowe. Sylvie podchodzi i nachyla się do niego, mówiąc cicho:

- Aleś mnie zrobił na szaro! Żeby odwrócić krzesło tyłem i zostawić mnie niemal twarzą w twarz z moim przyjacielem kardiologiem! - I dodaje głosem niemal groźnym: - Masz ze mną zatańczyć, inaczej zapomnij o przebaczeniu!

Jean - Philippe burczy niechętnie. W tańcu wygląda zupełnie idiotycznie. Im bardziej się stara, tym gorzej mu wychodzi. Nie ma za grosz poczucia rytmu, podczas gdy ona rusza się bosko. Na samą myśl, że robi z siebie widowisko, czuje się jak wzięty na tortury.

A Sylvie powtarza:

- Poprosisz mnie do tańca?

Sylvie wie doskonale, że to dla niego mordęga, więc dlaczego tak się upiera? Zresztą Jean - Philippe nie ma ochoty

ruszać się z miejsca. Łatwo dostaje zadyszki, a ostatnimi czasy wcale mu się nie polepszyło. Spogląda na nią bez słowa. Nie zamierza ustąpić: to ją nauczy, żeby nie wkładała sukni z dekoltem po pępek! Zapala papierosa.

- Jean - Philippe, to już dzisiaj druga paczka...

Ledwie dostrzegalnie wzrusza ramionami, zaciągając się głęboko. Sylvie się nachyla, wyrywa mu papierosa z ust i rzuca na podłogę.

- Masz w tej chwili przestać się truć tym świństwem!

Coś takiego robi tylko wtedy, kiedy jest na niego wściekła. Patrzą na siebie, przez moment mierzą się wzrokiem wyzywająco. Po czym głosem drżącym z gniewu Sylvie mówi:

- Naprawdę zachowujesz się dzisiaj jak ostatni debil! Miałam ochotę spędzić miły wieczór, a ty z całych sił starałeś się zrazić do siebie każdego. Jesteś chamski, arogancki i masz gdzieś moje uczucia!

Jeszcze chwila, a z oczu trysną jej łzy. Kiedy się gniewa, jest jeszcze ładniejsza. Jean - Philippe wzdycha, patrząc na ledwie zapalonego papierosa rozdeptanego na podłodze. Już ma się podnieść i poprowadzić ją do tańca, lecz Sylvie obraca się na pięcie i odchodzi. Kusi go, aby ją zawołać, opamiętuje się jednak. A niech tańczy sama, skoro tak jej zależy. On przynajmniej chociaż to będzie miał z głowy.

- Baw się dobrze i bądź grzeczna - rzuca za nią.

Widzi, jak wzrusza ramionami.

Bądź grzeczna. Mówi jej tak od czasu do czasu niby żartem. Mówi tak, starając się zachować spokój, odsunąć od siebie wątpliwości i złe wspomnienia, które skrywa od dwudziestu lat.

Zapala nowego papierosa i długą chwilę siedzi, patrząc, jak Sylvie tańczy sama. Mówi sobie, że szczęściarz z niego - ma taką piękną żonę. Wystarczy, że patrzy na nią, jak się

porusza w obcisłej czarnej sukience, a wzbiera w nim pożądanie.

Isabelle wraca do stołu i siada obok Jeana - Philippe'a, przez długą chwilę nie odzywa się ani słowem, po czym naraz nachyla się do niego i pyta półgłosem:

- Mógłby mnie pan poprosić do tańca?

No nie, Jean - Philippe nie posiada się ze zdumienia: ta nadziana kołtunka, pogardliwa, wyniosła, arogancka, krótko mówiąc, „ta kretynka Isabelle” prosi go, żeby z nią zatańczył! Na dodatek niemal błagalnie!

Mógłby się wyzłośliwić: zapytać, czemuż to zawdzięcza taki zaszczyt, upokorzyć ją jakimś sarkazmem i posłać na drzewo. Ale nie ma ochoty być złośliwy. Po tej kolacji nie postrzega jej już tak samo. W gruncie rzeczy żal mu kobiety. Toteż mimo że nie ma wcale ochoty i mimo że żona może być na niego wściekła, prosi Isabelle do tańca. Zwłaszcza że w grę wchodzi coś jeszcze: Jean - Philippe doskonale zdaje sobie sprawę, że to świetny sposób, by wkurzyć tego pajaca kardiologa. Isabelle na pewno również jest tego świadoma.

Podczas tańca - rockowy kawałek, Jean - Philippe marnie prowadzi, nie popisuje się, powtarzając w kółko dwie figury, które udało mu się opanować - Isabelle się wypogadza. Nie trwa to jednak długo, nagle bowiem wyrywa jej się okrzyk bólu.

- Cholera! Nadepnałem pani na nogę.

- Zauważyłam - odpowiada, krzywiąc się.

- Boli?

- Trochę, ale zostało mi dość zdrowych palców, żeby się dowlec do stołu, jeśli poda mi pan ramię.

- Kurczę! Naprawdę mi przykro.

- Nic się nie stało, zapewniam. Nie zapomniałam pańskiego niezwykłego popisu na weselu Laurence. Dobrze wiedziałam, na co się narażam, tańcząc z panem.

Jean - Philippe śmieje się pod nosem. Nie sądził, że Isabelle może mieć poczucie humoru.

- Słowo daję, przykro mi bardzo. Faktycznie kiepski ze mnie tancerz.

- Proszę się nie tłumaczyć. Mimo podeptanej stopy to i tak pierwsza miła chwila tego wieczoru. Dziękuję, Jean - Philippe.

- Dziękuję, że mi to pani mówi - mamrocze w odpowiedzi.

Czuje się stropiony. Zawsze ją uważał za osobę nie do zniesienia, lecz dzisiaj skrywana zgryzota sprawia, że Isabelle wydaje mu się prawie sympatyczna. Odchrząkuje i odwracając się do niej, mówi:

- Wie pani co? Nie powinna pani pozwolić, żeby poza parkietem też pani deptano po palcach.

Widzi po oczach, że zrozumiała, o co mu chodzi. Isabelle odpowiada ze smutkiem, za którym czai się coś na kształt buntu:

- Myśli pan, że człowiek zawsze ma wybór?

W tej chwili w niczym nie przypomina „tej kretynki Isabelle” - jest kobietą, którą przez całe przyjęcie upokarzano, która w ciągu dwóch miesięcy schudła dwa kilo, stosując drakońską dietę, i ze strachem czeka na ślub syna mający się odbyć za dwa tygodnie.

Jakiś złośliwy głosik cicho mu podszeptuje, że dostała po prostu za swoje. W pewnym sensie upokorzenie Isabelle sprawia mu satysfakcję, jest rewanżem za wiele wcześniejszych zniewag, których on doświadczył. Mimo to nie może się pohamować - żal mu jej. W gruncie rzeczy Jean - Philippe jest jak jego żona: nie potrafi chować urazy.

Stoją chwilę na skraju parkietu, nie odzywając się, obserwują tylko bawiących się gości. W końcu Jean - Philippe pyta:

- Niech mi pani powie, ale tak szczerze: dlaczego chciała pani ze mną zatańczyć? Bo miała pani rzeczywiście ochotę czy żeby wkurwić męża?

Specjalnie powiedział „wkurwić”, aby jej przypomnieć - na wypadek gdyby nie pamiętała - że wciąż jest chamem, jakiego zna.

Isabelle wzdycha głęboko i po kilku sekundach odpowiada:

- Jean - Philippe, muszę to panu powiedzieć: tworzycie z Sylvie piękną parę. Szczęściarze z was... - Przygląda mu się z napięciem i powtarza:

- Wielcy szczęściarze.

Po czym dość gwałtownie odwraca się do niego tyłem. Dumnie wyprostowana, lekko utykając, idzie dołączyć do męża.

Ha! o czymś takim w życiu by nie pomyślała! „Szczęściarze z was”. To naprawdę ostatnia osoba, od której spodziewałby się usłyszeć takie słowa. Kiedy powie o tym Sylvie, na pewno uśmieje się po pachy, no i sprawi jej to przyjemność, bez dwóch zdań...

Z uśmiechem na ustach rozgląda się za żoną wśród tancerzy. Nigdzie jej jednak nie widzi. Idzie wzdłuż parkietu, wyciągając szyję i wytyczając wzrok. Nie ma jej. Może poszła gdzieś usiąść... Bez wątpienia nie na miejsce, które zajmowała podczas kolacji. Jean - Philippe zaczyna przepatrywać inne stoły. Nie ma jej. Nie ma jej w sali.

I zaraz czuje, jak zaczyna w nim kiełkować niepokój. Tylko bez nerwów: poszła do toalety czy coś w tym rodzaju. Przyspiesza kroku i kieruje się ku głównemu budynkowi. Najlepiej będzie sprawdzić. Tak czy owak musi ją znaleźć. Czekanie jak ten ciul nic przecież nie da.

Raptem zaczyna się denerwować, ogarnia go obawa. Mija podest i ustawia się przed damską toaletą, paląc papierosa, z

którego popiół strzepuje na posadzkę. Po kwadransie wchodzi do męskiej.

Jak zwykle pod wpływem strachu wysycha mu w gardle i skręca się żołądek. Załatwia się mocno ześlony.

Szybko przebiega wzrokiem hol, obchodzi wszystkie saloniki na parterze. Sylvie zniknęła. Wraca pod namiot, aby jeszcze raz jej tam poszukać. Może niedokładnie się rozejrzał. Jeśli tak, to miał ją przed nosem, tylko jej nie zauważył... Kiedy ze spuszczoną głową wraca tam, gdzie trwa zabawa, opadają go złe wspomnienia. Trucizna w sercu, gorycz w ustach. „Twoja żona obciąża facetom w Sportingu”.

Nie wie dokładnie, kiedy to się zaczęło. W każdym razie nie w czasie, gdy jeszcze miała nadzieję na dziecko, tego jest pewien. Dopiero później, kiedy zrozumiała, że dziecka nie urodzi. Co się działo wtedy w jej głowie? Czy chciała go ukarać za to, że nie mogą mieć dzieci? A może pragnęła udowodnić sobie, że chociaż nie jest matką, pozostała kobietą? On w zasadzie woli tego nie wiedzieć, a zwłaszcza nie myśleć, że mogli przecież jakoś temu zaradzić i wszystko potoczyłoby się inaczej.

Przeszuka tutaj każdy kąt. Może zajmie mu to parę godzin, ale znajdzie ją.

Leczyła się co prawda, lecz bez efektu. Dla niego to nie był dramat. Nie czuł potrzeby posiadania dziecka. Chciał je mieć tylko dlatego, że ona tak gorąco go pragnęła.

Kiedy w pełni sobie uświadomiła, że nigdy nie zajdzie w ciążę, zaczęła mówić o adopcji, Jean - Philippe jednak stanowczo się sprzeciwił: nie ma mowy, to niemożliwe. Był pewien, że nigdy nie zdoła traktować jak swoje dziecka, w którego żyłach nie będzie płynęła jego krew. Sylvie kilkakrotnie próbowała do tego wracać, ale on zawsze reagował dość gwałtownie. W ogóle nie chciał o tym słyszeć. Więc przestała mówić na ten temat. Jakby w ogóle wyrzuciła

go z myśli. Wszystkie te głupoty, które popełniła później, z tego się właśnie wzięły. Przez niego.

Jean - Philippe idzie do części gospodarczej budynku i zagląda do kuchni. Na długich stołach piętrzą się pozostałości po kolacji: sterty brudnych talerzy, dziesiątki sztućców... Z kubłów wysypują się obierki i wszelkie odpadki. Gruba dziewczyna ze zmęczeniem na twarzy opróżnia zmywarę przemysłową. Sylvie ani śladu.

Rusza w kierunku parkingu. „Twoja żona obciąża facetom w Sportingu”. Ty ośle, mówi sobie. Jak mogłeś nie pozwolić jej mieć dziecka, które nie byłoby z twojej krwi! Myśli o swojej rodzinie, o matce. „Wszystko nas dzieli, ale modlitwa nas połączyła”. Więzy krwi. O to ci chodziło, ty kretynie, dlatego powiedziałeś żonie „nie”. Gdybyś nie powiedział „nie” swojej bezpłodnej żonie, nie, bo nie będzie z mojej krwi, nie ma mowy, nie próbuj więcej do tego wracać... gdybyś nie powiedział „nie”, miałbyś dziś syna. Dwudziestoletniego, może troszkę starszego. Teraz, kiedy jest za późno, chciałbyś mieć syna. I twoja żona byłaby szczęśliwa. I twoja żona nie starałaby się zabić w sobie pragnienia macierzyństwa, przechodząc przez łóżka połowy miasta.

Kiedyś przyszedł do niego do biura anonimowy list w pięknej, doskonałej jakości wyściełanej kopercie. Zawierał jedno jedyne zdanie, którego Jean - Philippe nigdy nie zapomni: „Twoja żona obciąża facetom w Sportingu”. Starannie wypisane drukowanymi literami na białej kartce.

Pamięta swoją reakcję. Najpierw wzdargliwy śmiech na takie oszczerstwo jakiegoś tchórza. A potem przyszły wątpliwości. Powrót do domu wczesnym popołudniem. Jechał, znacznie przekraczając dozwoloną prędkość. Spieszył się, jak najszybciej chciał ją zobaczyć. Chciał, żeby się wytłumaczyła.

Nie było jej w domu. Od miesięcy każde popołudnie spędzała w Sporting Clubie, jakby w wysiłku fizycznym szukała zapomnienia. Jeśli jednak wierzyć anonimowi, uprawiała tam także sport innego rodzaju.

Pod jej nieobecność przetrząsnął wszystko, szukając dowodów: jej notes, korespondencję, zdjęcia, wszystko. Niczego nie znalazł, natrafił za to na coś innego: na flakoniki z lekarstwami starannie ukryte w kosmetyczce i receptę ważną kilka miesięcy. Szukając tamtego popołudnia dowodu, że żona go zdradza, odkrył, że leczy się na depresję, i to już od trzech miesięcy, a on niczego nie zauważył.

Kiedy wróciła późnym popołudniem, wyglądała normalnie. Zdziwiła się, że Jean - Philippe już jest w domu, lecz nic ponadto. Pocałowała go na powitanie i poszła wziąć prysznic. A jemu przeszła ochota na informowanie jej o anonimie i żądanie wyjaśnień. Naraz to akurat wydało mu się sprawą drugorzędną. Sylvie była chora. Nie mógł się pogodzić z tą myślą. Nie mógł się pogodzić z faktem, że niczego nie spostrzegł. Nie rozumiał, jak mogła tak długo ukrywać przed nim te pigułki i recepty.

Wieczorem się przyznał, że natrafił przypadkiem na lekarstwa, i nakłonił ją, aby mu o wszystkim opowiedziała. I opowiedziała: o tym, jak całe dni przepłakiwała w łóżku, nigdzie nie wychodziła, a ubierała się dopiero pod wieczór, kiedy on miał wrócić; o poczuciu, że jest nic niewarta, pusta, nieciekawa; i że czasami chciała umrzeć. Słuchał tego oszołomiony. Owszem, ostatnimi czasy zauważył, że chodzi jakaś smutna i wyraźnie nie w formie. Wiedział, że trudno jej się pogodzić z myślą, że nie będzie miała dziecka. Wiedział, że źle sypia nocami, toteż późno wstaje, aby odespać. Nie podejrzewał jednak... W gruncie rzeczy niczego nie zauważył i to go wprawiało w popłoch, dręczyło wraz z niepokojem o stan zdrowia żony.

Siedząc na brzegu łóżka, patrząc nieobecny spojrzeniem, Sylvie prostymi słowami mówiła o swoich cierpieniach, które chciała utrzymać w tajemnicy. Powiedziała też: „Kocham cię i chcę, żeby wszystko było jak dotąd”.

Przytulił ją, a ona obojętnie pozwoliła na to. Kochanie moje, czemuś mi nic nie powiedziała? Czemu nie poprosiłaś o pomoc? Bo nie chciała robić wokół tego zamieszania. Chciała, by życie biegło dalej swoim trybem jakby nigdy nic, dopóki ona z czasem, wspomagając się lekami, nie dojdzie do siebie. Chciała, aby miał do niej zaufanie. To przejściowy stan, wszystko się niebawem unormuje i znów będzie jak przedtem.

Wtedy właśnie powinien był z własnej inicjatywy wrócić do tematu adopcji. Nie zrobił tego. Przyszło mu to oczywiście na myśl, lecz na takie poświęcenie nie było go wtedy stać. Po prostu coś takiego nie mieściło mu się w głowie. Chociaż miał świadomość, jak bardzo Sylvie pragnęła dziecka. I że właśnie to, że go nie miała, doprowadziło ją do choroby.

Ponieważ czuł się zagubiony, ponieważ kochał ją nad życie, ponieważ tak bardzo chciał, aby się uśmiechała, zabrał ją w trzytygodniową podróż - Sycylia, Sardynia, Baleary. Sylvie za punkt honoru postawiła sobie, że będzie się zachowywać jak kobieta w pełni szczęśliwa. Wytrzymała te trzy tygodnie dzięki słońcu i lekom.

Po powrocie postanowiła, że zmieni wystrój domu. Jean - Philippe przyklasnął temu. Dał jej wolną rękę i nieograniczony budżet. Sylvie nadal chodziła do Sportingu i nadal mu mówiła, że go kocha. I tak mijały lata.

Teraz jest lepiej, mimo że wciąż jest słaba psychicznie. Od czasu do czasu zaczyna popłakiwać. Mawia: „Wolałabym, żeby inaczej się to potoczyło”. Jean - Philippe bierze ją wtedy za ramiona, błaga, aby przestała, przypomina jej wszystko, czego razem dokonali. Pociesza ją, powtarza jej, jak bardzo ją

kocha. A ona odpowiada: „To nic. Przepraszam. Zaraz przejdzie”.

To prawda, przechodzi. Przez większość czasu Sylvie wydaje się szczęśliwa. I ludzie stale im mówią, że tworzą piękną parę.

„Twoja żona obciąża facetom w Sportingu”. Szuka jej wszędzie. Szuka jak wariat ogarnięty wściekłością. Wyobraża ją sobie, jak kuca przed jakimś facetem albo leży rozciągnięta na masce samochodu. Wyobraża ją sobie uległą i skrupulatną i chce mu się wyć. Kurwa mać, gdzież ona się podziała? Biegnie pod drzewa, gdzie stoją samochody, na każdym kroku się spodziewając, że ujrzy ją pojękującą z rozłożonymi nogami. Nie powinien tak szybko biegać. Mocniej czuje wtedy klucie w piersiach, które pojawiło się parę miesięcy temu, a to pobudza go do kaszlu. Po zbadaniu wszystkich alejek parkingu zaczyna przepatrywać okoliczne kępy krzewów. Rozgląda się w ciemnościach za jasną nagą postacią. Nie udaje mu się jej znaleźć. „Twoja żona obciąża facetom w Sportingu”.

Ty zdiro, myśli, niech no tylko cię znajdę, a już ja ci pokażę. Za długo wodzisz mnie za nos. Tym razem nie popuszczę, zobaczysz. Odechce ci się takich numerów. Zaciska pięści. Wchodzi na ścieżkę prowadzącą między drzewa.

Wydaje mu się naraz, że znalazł się bardzo daleko od przyjęcia. Jakby muzyka urywała się na granicy lasu, jakby drzewa przepuszczały tylko przytłumione fragmenty melodii. Jest sam. Kłuje go w piersiach. Spływający po plecach pot przykleił mu koszulę do skóry. Wstrząsa nim napad kaszlu. Musi na długą chwilę przystanąć, póki kaszel się nie uspokoi i ból nie ustanie. Czuje, że to nie jest normalne, lecz nie chce wiedzieć, co mu dolega. Boi się wiedzieć. Tutaj, sam z dala od wesela i od niej, jest jak dziecko zagubione w lesie.

Gniew przeszedł mu niespodzianie, kiedy starał się stłumić kaszel, kiedy czekał, aż ból minie i zostanie po nim jedynie leciutkie, ledwie wyczuwalne klucie gdzieś w piersiach. Nie ma już ochoty uderzyć jej albo żądać wyjaśnień. Nie chce wiedzieć, do czego i jak daleko się posunęła. Potrzebuje jej, to wszystko. Chciałby tylko, aby z nim była i aby mógł jej powiedzieć: „Boję się, że jestem chory”. I zapytać: „Czy pięćdziesiąt siedem lat to za dużo, żeby adoptować dziecko?”

Wyciąga papierosa. Płomień zapalniczki oświetla mu w ciemności rękę i twarz. Lubi palić po ciemku, być tylko stopioną z mrokiem tajemniczą sylwetką, którą zdradza wyłącznie żarzenie się końca papierosa mocniejsze za każdym pociągnięciem. Pali niespiesznie. Potrzebuje czasu na zastanowienie. Mgliście widzi w wyobraźni dziecko bez konkretnej twarzy, zupełnie obce, i myśli o nim jak o swoim synu.

Skończywszy palić, rzuca papierosa i długo rozgniatą go obcasem, aby wdeptać w ziemię. Czuje się spokojny i smutny. Zrezygnował z dalszego szukania żony. Nie wie, gdzie się podziała. Niewykluczone, że jest w którymś z pokojów tego ogromnego budynku. A cóż on może zrobić? Ma chodzić po piętrach i otwierać po kolei drzwi? Zaglądać do każdego pomieszczenia? Nie, wróci na przyjęcie i poczeka. Wie, że cokolwiek się stanie, Sylvie niedługo się zjawi i usiądzie obok niego.

I tylko to się liczy.

Rusza z powrotem. Między drzewami widzi światła namiotu weselnego. Za kilka chwil do nich dotrze. Wędruje powoli alejką. Czuje się straszliwie osamotniony. Zna ją i kocha. Nie chce jej do niczego zmuszać. Wróci, kiedy będzie chciała.

Wtem pojawia się przed nim zupełnie niespodziewanie. Idzie mu naprzeciw. Wyraz jej twarzy wprawia go w głębokie poruszenie: wydaje się znużona i szczęśliwa zarazem. Kiedy się spotykają, Jean - Philippe mówi tylko:

- Szukałem cię wszędzie.

- Poszłam na spacer,

- Na długi spacer...

Sylvie bez słowa uśmiecha się blado. Jean - Philippe widzi na jej twarzy oznaki czegoś, na co nigdy nie zwrócił uwagi.

- Dobrze się czujesz?

- Taka jestem zmęczona dzisiaj - odpowiada Sylvie - taka zmęczona...

- Ja też jestem zmęczony.

Sylvie mówi głosem, który lekko drży:

- Kochanie, chciałabym już stąd iść. Nie czuję się tu dobrze. Chciałabym, żebyśmy razem wrócili.

Jean - Philippe przyciąga ją i przytula. Przez chwilę kołysze żonę w ramionach, jakby ją pocieszał i uspokajał. Mruczy:

- Wybacz... Zachowałem się dzisiaj naprawdę jak ostatni kretyn.

Sylvie nie odpowiada. Odwzajemnia jego uścisk i uśmiecha się przytulona do niego, a on widzi, jak w kącikach jej zamkniętych oczu tworzą się drobniutkie zmarszczki, które tak bardzo go wzruszają.

Najdroższa, masz słuszość. Zabierzemy się stąd, zostawimy tych ludzi, którzy nas nie lubią. Kochanie, nie przestawaj się uśmiechać. Uśmiechaj się bez przerwy, bo ja cię kocham. Nie obchodzi mnie, co dzisiaj zrobiłaś. To się nie liczy, bylebyś tylko zawsze do mnie wracała. Bylebyśmy zawsze byli razem.

VINCENT

Kiedy wychodzi na dziedziniec i staje w pełnym słońcu, czuje ulgę, że wreszcie mógł opuścić ten kościół. Chociaż faktycznie trudno nie zauważyć piękna jego architektury, jemu się wydał ponury, aczkolwiek nie potrafiłby powiedzieć, skąd takie wrażenie. Od samego rana był niczym we śnie, który właściwie jakby nie należał do niego: to nie on pojął za żonę Berengere w obliczu tego dziwaczego, na poły szalonego księdza. Przed ołtarzem stał mężczyzna bardzo do niego podobny.

Uśmiecha się do fotografów, całuje żonę, ze śmiechem uchyla się przed deszczem ryżu... W głowie mu się lekko kręci, jakby całe jego jestestwo rozpaczliwie pragnęło uwolnić się z ciała i uciec gdzie pieprz rośnie. Otacza ich tłum ludzi o znajomych twarzach, lecz jemu w tej chwili wydają się kompletnie obce. Widzi ich, jak klaszczą i krzyczą: „Sto lat młodej parze!” Uśmiecha się, jednakże ta fala radości przeraża go i napawa czymś na kształt niesmaku. W brzuchu czuje bolesne skurcze.

Od tygodni dopadają go w regularnych odstępach czasu. Naiwnie spodziewał się, że po ceremonii wszystko przejdzie jak ręką odjął w wyniku tajemniczej interwencji boskiej: sakramentalne błogosławieństwo plus cudowne uzdrowienie z bólów brzucha. Tyle że ból pozostał, uparcie szarpie jego wnętrzności. Czy on także pozostanie z nim aż do śmierci?

Dla młodej pary ojciec Berengere wynajął bugatti T46 petite royale, który niczym klejnot lśni w słońcu. Szofer w liberii otwiera im drzwi. Machają gościom rękami na do widzenia. Vincent byłby najszczęśliwszy, gdyby już teraz uroczystość na tym się skończyła. Gdyby mogli pojechać w podróż poślubną w nieznanym kierunku, uciec od tego, co jeszcze nastąpi. Mówi się „do widzenia”, ale dzisiaj to znaczy „na razie”.

Ledwie znaleźli się sami - szofer się nie liczy - Berengere syczy przez zęby:

- Widziałeś tego księdza? W głowie się nie mieści takie zachowanie!

Ma rację. On też był zaszokowany postawą księdza. Nie rozumie, co się stało. Odpowiada ostrożnie:

- Zdaje mi się, że jakiś był rozkojarzony...

- Rozkojarzony! To za słabo powiedziane! Kompletnie stuknięty!

- Słuchaj, i tak już za późno. Nie wrócimy przecież, żeby dać mu po pysku i kazać zacząć od nowa. Będziemy mówili, że ślubu nam udzielił stuknięty ksiądz, i już...

- Gdybym wiedziała! Gdybym wiedziała!... Pozwala jej biadolić. Zna ją. Nie jest z tych, których można pokonać, zwłaszcza w taki dzień jak ten. Niedługo się uspokoi. To nie najlepszy moment, aby sugerować, że być może ksiądz był wzburzony, ponieważ w ostatniej chwili odwołali spotkanie z nim...

Berengere tonem nieznoszącym sprzeciwu oświadcza:

- Tak czy owak będziemy mieli pełno fajnych zdjęć z kościoła.

Vincent bierze ją za rękę, jakby się z nią zgadzał. Berengere mówi dalej, on jednak nie słucha. Masuje sobie bolący brzuch. Musi się pozbierać po tylu emocjach. Kości zostały rzucone. Jeszcze trochę drży po tym wszystkim, ale jest dumny i szczęśliwy.

Gdybyż ona przestała mówić, oparła mi głowę na ramieniu, niechbyśmy chwilę sobie posiedzieli, nie odzywając się słowem, zanim cały ten cyrk zacznie się na nowo.

Samochód jedzie między gęsto rosnącymi drzewami. Jego chromowania rzucają od czasu do czasu oślepiające błyski. Tablica informuje, że zostały trzy kilometry do młyna w

Ganieres. I w tej właśnie chwili Berengere milknie. Przywiera do niego i Vincent czuje na szyi dziesiątki drobnych pocałunków. Uśmiecha się.

Kiedy Vincent poznaje Berengere, ma się niebawem żenić z inną. To znaczy terminu jeszcze nie ustalono, ale po ośmiu latach z Nathalie wszyscy - łącznie z nim - uważają za oczywiste, że skończy się to ślubem. Znają się od liceum. Razem zaczynali studia prawnicze, lecz ona poprzestała na licencjacie. Została urzędniczką w biurze notarialnym. Bardzo dobrze się rozumieją, znają się jak łyse konie i praktycznie żyją razem, chociaż każde ma własne mieszkanie.

Jeden dzień zmiata wszystko. Vincent spotyka Berengere na lunchu u wspólnych znajomych i zakochuje się w niej od pierwszego wejrzenia. Ciepłe fluidy oblewają mu serce. Rozkoszne drżenie przebiega wzdłuż kręgosłupa, szczypie w podbrzusze, aż jądra mu twardnieją. Nigdy jeszcze żadna kobieta nie wywarła na nim takiego wrażenia - tak wielkiego i głębokiego. Nie sądził nawet, że coś takiego jest możliwe. Aż sam siebie nie poznaje. Późnym popołudniem dzwoni do niej, aby jeszcze tego wieczoru zaprosić ją na kolację. Wie, że narusza zasady: zasadniczo powinno się poczekać co najmniej dzień, dwa, zanim się zatelefonuje. Tyle że jest mu to kompletnie obojętne. Nie chce czekać. Berengere śmieje się, ponieważ jej zdaniem dziwnie mu się spieszy, chociaż dobrze się składa: ona także myśli tylko o tym, żeby znów go zobaczyć. Ale tego mu oczywiście nie mówi. Przyjmuje jedynie zaproszenie bez chwili wahania.

Wieczorem Vincent czeka na nią w dobrej restauracji, gdzie zarezerwował stolik dla dwóch osób w spokojnym miejscu, na uboczu. Berengere się spóźnia, a on wpada w popłoch. Uznaje, że ją wystraszył, tak bardzo się spiesząc. I oczywiście nie przyjdzie. Gorzej: zadrwiła sobie z niego i wystawiła go do wiatru, to kara za taką zuchwałość.

Przez kwadrans Vincent przeżywa katusze, gardło ma ściśnięte, dłonie mokre od potu, wymyśla sobie od najgorszych. Przez kwadrans nie pamięta, że kobieta zaproszona do restauracji zawsze lubi, aby troszeczkę - naprawdę tylko odrobinę - na nią poczekano. Berengere zjawia się spóźniona dokładnie o kwadrans. W tych swoich spóźnieniach zawsze jest bardzo punktualna. Vincent widzi ją już w drzwiach i czuje taką ulgę, że musi się hamować, chciałby bowiem wybiec jej naprzeciw i uścisnąć ją mocno. Chwycić w ramiona i trzymać unieruchomioną. Berengere z daleka wita go gestem, gdy kelner pomaga jej zdjąć płaszcz. Idzie potem między stolikami uśmiechnięta, spokojna. Na twarzy ma wypisaną pewność siebie i nikt nie widzi, że ręce drżą jej lekko. Zanim Vincent zdąży cokolwiek powiedzieć, Berengere nie witając się nawet, całuje go. I po tym, jak Vincent odwzajemnia pocałunek, już wie, że słusznie zrobiła, przejmując inicjatywę. Ręce, które zarzuciła mu na szyję, przestają drżeć.

Nie jest wcale przejęty, gdy powiadamia Nathalie, że między nimi wszystko skończone. Ma świadomość, że zadaje jej ból i że sprawy toczą się nadzwyczaj szybko, woli jednak być szczery. Bo i co innego miałyby w tej sytuacji zrobić? Nathalie jest wstrząśnięta, zaskoczona.

- Dlaczego? - dziwi się. - Co ja takiego zrobiłam?
- Nic. Ty nic nie zrobiłaś.
- Jak długo to trwa? - dopytuje.
- Niedługo, raptem dwa dni. Poznałem ją dwa dni temu.
- Jaja sobie robisz? - krzyczy Nathalie. - Masz mnie za idiotkę?

Vincent kręci głową, podnosi rękę w przyjaznym geście, aby ją uspokoić. Nathalie wymierza mu siarczysty policzek i z płaczem pada na kanapę. To przykra scena. Rozpacz zakochanej kobiety, prawie żony, delikatnej ładniutkiej

Nathalie. Vincent patrzy na nią i myśli: łajdak ze mnie. Ale w głębi ducha w ogóle nie czuje żalu. Nie potrafi współodczuwać smutku, który wywołał. Jest obojętny, jakby od niej oddalony. I w ogóle przekonany, że oddał jej przysługę, wyjawiając prawdę - nie będzie przecież dłużej zdradzana.

Po tej historii przychodzi mu znosić dezaprobatę całego otoczenia. Nathalie jest uważana za członka rodziny, toteż wina Vincenta jest nie mniejsza, niż gdyby porzucił legalną żonę. Nikt nie pojmuje, jak mógł narazić na takie męki swą uroczą narzeczoną, która potrafiła podbić serca wszystkich. Jego matka, nie znając jeszcze Berengere, mówi:

- Czy ta osoba zdaje sobie sprawę, ile zła wyrządziła?

Vincentowi naprawdę jest przykro, lecz nie ma czasu się nad tym rozwodzić. Siła uczucia, które owładnęło nim od pierwszego wejrzenia, łatwość, z jaką się rozstał z poprzednią dziewczyną, utwierdziły go w przekonaniu, że spotkał kobietę swojego życia. Czegoś takiego się nie spodziewał; mimo szczerego przywiązania nigdy nic podobnego nie czuł do Nathalie. Wprawia go to w wielkie oszołomienie. I ma wrażenie po raz pierwszy w życiu, że jest naprawdę szczęśliwy.

Poza tym jest coś jeszcze: jako kochanek Berengere odkrywa nowe horyzonty, rozkoszne doznania dotąd nie do pomyslenia - jakby poznawał zupełnie obce kraje. Kiedy trzyma ją w ramionach, czuje się żywy jak nigdy. Czuje się innym mężczyzną.

Otwierając oczy pewnego lipcowego ranka, widzi ją przebudzoną u swego boku. Berengere uśmiecha się do niego i mruczy „dzień dobry”.

- Dawno nie śpisz?

- Jakąś chwilę.

- I przez cały czas patrzyłaś, jak śpię?

- Patrzyłam, jaki jesteś piękny.

- Lizuska!

- Miałam na myśli, że jesteś piękny, kiedy śpisz. Tylko wtedy.

- Ty zołzo!

Rzuca się na nią i chwyta ją w objęcia, obsypując pocałunkami. Baraszkują jak dzieci, a kiedy zaczyna ich ogarniać pożądanie, ich twarze niemal poważnieją. Długą chwilę patrzą na siebie w bezruchu, po czym Berengere szepcze:

- Jeśli jedno z nas oświadczy się drugiemu, powiesz: tak?

Vincent się uśmiecha. Mówi „tak”.

- O czym myślisz? - pyta Berengere, kiedy samochód wjeżdża w główną aleję posiadłości.

- O tym, jak pierwszy raz mnie pocałowałaś.

- Ależ to ty mnie pocałowałaś, przypomnij sobie.

- Nie, Berengere, ty. Nie mów, że zapomniałaś.

- Też coś! Dobrze wychowana panienska nigdy nie całuje pierwsza - odpowiada Berengere z szerokim uśmiechem.

Vincent nachyla się do jej ucha i szepcze:

- Dobrze wiesz, że jesteś strasznie źle wychowana.

Pierwsze miesiące to idylla. Każdy dzień, każda chwila odsłania przed Vincentem jakiś szczegół, który go oczarowuje albo bawi. Berengere jest inteligentna, ma dar ciętej riposty. Spędzają dużo czasu na naprawianiu świata. Czasem podnoszą na siebie głos, lecz to zabawa, a dzięki swemu zawodowi obojgu wielką frajdę sprawiają potyczki słowne. Często się również śmieją. Dla Vincenta to coś nowego: Nathalie nigdy nie była w stanie wychwycić podtekstów. Berengere bez trudu nawet w podtekstach wychwytyje podteksty. W żartach wspinają się często na najwyższy poziom abstrakcji.

Dumą napawa Vincenta jej uroda. Piękno Berengere chwyciło go za serce od pierwszego wejrzenia. Ale dopiero

patrzac na nią w życiu, w ruchu, naprawdę ją odkrywa - jeszcze bardziej zachwycającą. Odkrywa ją, kiedy Berengere śpi z jedną ręką pod poduszką, z włosami rozsypanymi wokół głowy jak złociste promienie słoneczne. Odkrywa ją, kiedy jęczy z rozkoszy w półmroku sypialni, gdy przy zaciągniętych zasłonach nie wychodzą z łóżka przez całe popołudnie. Jest taka piękna, że Vincent nie wyobraża sobie, by kiedykolwiek mógł mieć dość patrzenia na nią i dotykania jej.

Ma oczywiście także wady: jest uparta, czasami kapryśna, no i ma w sobie snobizm. To się jednak nie liczy; a nawet dodaje Berengere niejakiemu uroku. Zresztą wcale nie jest uparta, tylko stanowcza; nie jest kapryśna, tylko ekscentryczna; właściwie nie jest snobką, tylko osobą trzeźwą, świadomą swojej wartości, wymagającą wobec siebie i innych.

Miesiącami Berengere jest persona non grata w rodzinie Le Clairów. Dla matki Vincenta to Jezebel, Messalina, która sprowadziła jej syna na złą drogę. Każdemu, kto tylko zechce słuchać, powtarza, że Vincent „jest pod wpływem” i obwinia Berengere o rzucanie złych czarów. Z napięciem na twarzy mawia: „Nietrudno sobie wyobrazić, na co go złapała i za co trzyma”.

Pewnej niedzieli, gdy Vincent jest u rodziców na obiedzie, matka zmieniając temat rozmowy, rzuca:

- Nie chciałbyś wiedzieć, co słyszeć u Nathalie?

- Jasne, że chciałbym. Powiedziała, że nigdy więcej nie chce mieć ze mną do czynienia, więc nie dzwoniłem... Tak, chciałbym wiedzieć, co u niej.

- Cóż, jest w głębokiej depresji. Możesz powiedzieć swojej przyjaciółce...

- Dość tego, mam! Nathalie i ja nie byliśmy małżeństwem. I czy ci się to podoba, czy nie, musisz się pogodzić z myślą, że kocham inną, i zaakceptować Berengere.

Słyszając znienawidzone imię, jego matka urażona zaciska usta. Obok niej Benoit, brat Vincenta, wierci się niespokojnie.

- Przesadzasz z tą depresją, mamó - mówi. - Co prawda spadło to na nią nagle, ale teraz jest już dużo lepiej...

Matka kręci głową. O niczym nie chce wiedzieć: Nathalie jest „w głębokiej depresji” przez jakąś latawicę, która zwabiła Vincenta w swoje sieci. Ta historia pozwala jej przez całe miesiące zasypywać syna wyrzutami, nienawidzić kobiety, której nie zna, i prześladować Nathalie nadmiarem współczucia. Trafiła jej się smakowita kość, toteż nie wypuści jej z zębów.

Vincent spogląda na brata lekko zaskoczony.

- Często widzisz Nathalie?

- Dość często - powściągliwie odpowiada Benoit i wstaje, by zrobić kawę.

Vincent siedzi przez chwilę zakłopotany, ostatecznie zaczyna myśleć o czym innym.

W listopadzie Berengere i Vincent wprowadzają się do dużego trzypokojowego mieszkania w centrum miasta i informują rodzinę, że zamierzają się pobrać. Vincent chce się ożenić, ponieważ takie zaangażowanie uważa za współmierne do swojego uczucia, ponieważ pragnie mieć oficjalny dokument z ich nazwiskami, ponieważ to pierwsza kobieta, którą uważa za bezdyskusyjną kandydatkę na swoją żonę. Aczkolwiek nie bardzo potrafi sobie wyobrazić własny ślub. Jakież mu się to wydaje mgliste i abstrakcyjne.

Jemu odpowiadałaby zwyczajna ceremonia w merostwie, potem przyjęcie gdzieś na wsi w gronie przyjaciół. Berengere tymczasem ma zupełnie inne oczekiwania. Ona chce mieć ślub w kościele; chce, by udzielono go podczas mszy.

- Ale ani ty nie jesteś wierząca, ani ja, więc czemu chcesz kościelny?

- Kto ci powiedział, że nie jestem wierząca? Zadaję sobie pytania jak każdy, kto ma odrobinę głębi. Wierzę, że jest coś...

- Ja tam nie mam pretensji do takiej głębi jak twoja - odpowiada Vincent ostro - ale przyjmij do wiadomości, że również zadaję sobie pytania. Może i jest coś, jak mówisz, nie wydaje mi się jednak, żeby dało się to znaleźć w kościele.

Berengere zbywa jego uwagę machnięciem ręki.

- Obojętne, i tak nie ma o czym mówić: rodzina nie dałaby mi żyć. Zwyczajnie nie mogę im tego zrobić.

Vincent doskonale wie, że życzenia rodziny to tylko pretekst. Gdyby Berengere nie miała ochoty stawać przed księdzem, na pewno nie zmusiłoby jej do tego niczyje zgrzytanie zębami. Nie, ona po prostu pragnie mieć huczny ślub i wesele, i piękne zdjęcia młodej pary rozmodlonej przed ołtarzem w oczekiwaniu na sakrament małżeństwa. Ba, mało tego: pragnie mieć bogatą suknię ślubną i orszak druhen i družbów; pragnie mieć wytworną kolację w wyrafinowanym otoczeniu, przepiękną pogodę, bajeczne wesele.

- Vincent, to mu - si być naj - pię - kniej - szy dzień w naszym ży - ciu - oznajmia dobitnie, dzieląc słowa na sylaby, by nabrały właściwego ciężaru. - Ślub to taki spektakl, rozumiesz? Przedstawienie. My jesteśmy głównymi bohaterami, a goście są równocześnie statystami i widzami. Żeby się udało, wszystko musi być ustalone do najdrobniejszego szczegółu.

Vincent patrzy na nią z niedowierzaniem. Nigdy nie rozważał tego pod takim kątem. Zastanawia się przez chwilę, czy Berengere przypadkiem nie żartuje. Ale nie, jest absolutnie poważna. Oto bowiem stanęła przed wielkim wyzwaniem: całość tak urządzić, aby ich ślub stał się wyjątkowym wydarzeniem, rodzajem niezapomnianego performance. Kiedy Berengere wyklada swoją zasadę trzech jedności w doskonale zorganizowanym wydarzeniu

towarzyskim, Vincent jej nie poznaje, nie rozumie, o czym ona mówi, a własny ślub od tej pory jawi mu się jako spektakl, na który nie został zaproszony.

W pewną jesienną sobotę pani Le Clair, przymuszona rozwojem wydarzeń, przyjmuje u siebie po raz pierwszy swą przyszłą synową. Bardzo szybko musi przyznać, że dziewczyna ma doskonałe maniery i dużą klasę: nie razi w jej salonie urządzone w stylu Ludwika XVI. Chociaż nie czuje się zawojowana, stwierdza, że Berengere nie jest niegodna jej syna. Rozmowa w większości obraca się wokół organizacji ślubu. Berengere zwierza się pani Le Clair, że pragnie, aby wszystkie dzieci jej rodzeństwa szły w orszaku jako drużny i družbowie. Z tego, co mówił Vincent, w rodzinie państwa Le Clair jest pięcioro dzieci.

- Zgadza się! - potwierdza matka Vincenta z szerokim uśmiechem.

Zachęcona tym uśmiechem Berengere ciągnie:

- Z mojej strony jest troje dzieci mojego brata Alexandre'a, troje Etienne'a i siostrzenica, córka Laurence. Będzie piękny orszak dwanaściorga dzieci.

- Już sobie wyobrażam, jaki uroczy! - podchwytuje pani Le Clair.

Berengere nabiera otuchy. Ma świadomość, że odkąd ta kobieta dowiedziała się o jej istnieniu, ani razu dobrze o niej nie pomyślała. A teraz, widząc jej aprobatę, czuje się uspokojona. Dodaje:

- Bardzo mi zależy na tym, żeby wszyscy wzięli udział w uroczystości. Dziecięcy orszak, w którym idą kuzynowie z obu rodzin, to taki śliczny symbol na ślubie.

- Ma pani absolutną słuszość - przytakuje matka Vincenta. - Świetny pomysł, jestem pewna, że rodzice będą się cieszyli na równi z dziećmi.

W tej chwili Vincent dostrzega w oczach matki błysk złośliwej radości, który zna doskonale, lecz nie potrafi go sobie teraz wytłumaczyć.

Aby sprawy się wyjaśniły, trzeba czekać aż do śniadania bożonarodzeniowego, kiedy Berengere ma być przedstawiona całej rodzinie. Pada zimny rześisty deszcz. Pogoda ani trochę nie przypomina spowitej śniegową pierzynką świątecznej aury. Doskonale pasuje do tego, co się wydarzy.

Matka Vincenta wita ich z otwartymi ramionami. Wygląda na to, że postanowiła życzliwie traktować Berengere. Mówi do niej „moja droga”, chwalać jej elegancki kostium.

- Chodźmy do salonu, moje dzieci. Wszyscy na was czekają.

Vincent z dumą przedstawia rodzeństwu swoją śliczną narzeczoną. Berengere jak zwykle prezentuje się idealnie. Ma obycie w podobnych sytuacjach.

W domu rozbrzmiewają pokrzykiwania dzieci. Matka Vincenta jeszcze z korytarza je woła, by przyszły się przywitać z wujkiem i jego narzeczoną. Podany zostaje szampan. Chłopcy pędem wpadają do salonu i rzucają się do Vincenta, który ze śmiechem odpiera ich atak. A ich babcia przykazuje:

- Przywitajcie się z narzeczoną wujka.

Posłusznie wykonują polecenie. Berengere każdego całuje. Kiedy malcy dobierają się do słonych ciasteczek, mówi, patrząc na nich z czułością:

- Jacy oni uroczy!

Vincent pyta Nicolasa, czterolatka w ślicznych spodenkach przyprószonych okruszkami ciastek:

- Gdzie twoja siostra?

- Pošla dzieś.

- No proszę, widzę, że wizyty u logopedy przynoszą owoce!

Wszyscy się śmieją z wyjątkiem matki Nicolasa, której wcale nie jest do śmiechu, zważywszy, że każda wizyta kosztuje ją pięćdziesiąt euro. Nicolas nie rozumie, czemu dorośli tak reagują, wyczuwa jednak, że on jest powodem, i wcale mu się to nie podoba. Toteż jest nadzwyczaj zadowolony, kiedy w drzwiach staje jego siostra, może bowiem skierować ich uwagę na co innego.

- O, psysła właśnie - oznajmia.

Śmiech cichnie i całe towarzystwo obraca się do Lucie. Vincent rozkłada ramiona.

- A cóż to za ślicznotka chce ucałować swojego wujka?

Dziewczynka biegnie do niego, wołając:

- To ja!

Vincent głaszcząc ją po włosach, głośno cmoka w oba policzki. A ona zarzuca mu rączki na szyję i mocno go ściska. Lucie zawsze go darzyła wyjątkowym uczuciem. Nikt nie wie, dlaczego tak bardzo go pokochała, lecz tak już jest. Vincenta jak zwykle zaskakuje taka siła u siedmioletniej dziewczynki. Lucie obejmuje wujka rączkami za szyję i ściska, że aż boli, powtarzając jego imię gardłowym głosem. Trisomici często tacy właśnie są: demonstracyjnie i czasem gwałtownie okazują przywiązanie.

Dopiero po dość długiej chwili Lucie godzi się wypuścić wujka z objęć.

- Skarbuniu, przywitaj się z panią Berengere - prosi ją babcia.

Lucie jednak nie chce. Siedzi u Vincenta na kolanach, przyglądając się Berengere ukradkiem z mało przyjemną miną. Matka próbuje przywołać małą do porządku:

- Lucie, słyszałaś, co powiedziała babcia? Proszę się przywitać z panią Berengere.

Ale Lucie mówi „nie” i jeszcze raz, i jeszcze, a w końcu krzyczy głośno: „Nie, nie, nie”, tuląc się do Vincenta. Dla

niego sytuacja jest co najmniej kłopotliwa. Próbuje uspokoić dziewczynkę, która z niepojętych przyczyn wpadła w gniew.

- No, Lucie - mówi - uspokój się. Nic się przecież nie stało. Później dasz buziaka cioci Berengere. Prawda, Berengere?

Ogląda się na narzeczoną. Siedzi blada i jak sparaliżowana. Dłoń, którą zaciska na lampce z szampanem, lekko drży. Mimo wszystko udaje się jej wykrztusić:

- Oczywiście, później też może być...

Sophie, matka dziewczynki, jest bardzo niezadowolona.

- Lucie, naprawdę bardzo mnie zawiodłaś - oświadcza. - Wiesz, że nie lubię, kiedy tak się zachowujesz.

Lucie siedzi teraz przytulona do Vincenta, który głaszcze ją i lekko poklepuje, by zupełnie się uspokoiła. Pani Le Clair próbuje rozładować atmosferę:

- Moi drodzy, nie ma co się przejmować... Zwłaszcza że - dodaje żartobliwym tonem, zwracając się do Berengere - trzeba zrozumieć moją wnuczkę: pani przecież kradnie jej Vincenta!

- I zmieniając naraz temat, oznajmia wszem wobec: - A wiecie, na jaki uroczy pomysł wpadli nasi przyszli nowożeńcy? Otóż życzą sobie, żeby wszyscy ich siostrzeńcy i siostrzenice, bratankowie i bratanice znaleźli się w orszaku dziecięcych drużbów!

Takiej wieści w tej chwili nikt się nie spodziewał. Zaskoczenie jest pełne, ale też każdy z aprobatą kiwa głową: tak, tak, znakomity pomysł, to będzie naprawdę urocze. Sophie z wdzięcznością spogląda na Berengere:

- Jakie to miłe!... Lucie i Nicolas będą zachwyceni. Zwłaszcza Lucie.

Berengere nadal siedzi sztywno. Tak mocno ściska lampkę z szampanem, aż jej palce pobieleły. Bez wątpienia jeden Vincent zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest wzburzona i jak

się stara w tej chwili nad sobą zapanować. Szybko udaje jej się wziąć w garść, uśmiechnąć. Powtarza zdania, które Vincent już ze sto razy słyszał z jej ust: tak, uznali, że to świetny pomysł. Dzieci są takie milutkie. Orszak będzie trochę liczniejszy, niż jest powszechnie przyjęte, lecz do diabła z konwenansami.. . Nie, jeszcze nie wybrała strojów. Ale bez obawy: bierze to na siebie. Trzeba jej tylko będzie podać rozmiary półtora miesiąca przed ślubem (wcześniej nie ma sensu, dzieci tak szybko rosną w tym wieku!).

Matka Vincenta oświadcza:

- Widzę, że Berengere bardzo poważnie podchodzi do organizacji swojego ślubu!

Pobrzmiwa w jej głosie cień drwiny, która nie uchodzi uwagi Vincenta. Jego matka zwraca się do Lucie:

- Chodź posiedzieć troszkę u babci na kolanach, skarbenku.

Tym razem Lucie nie każe się prosić. Pani Le Clair głaszcze ją po włosach i mówi dalej, patrząc przyszłej synowej w oczy:

- Zgaduję, że z wielkim zaangażowaniem wszystkim się pani zajmuje. Sypie pani pomysłami, Berengere! To będzie niewątpliwie wyjątkowa uroczystość.

Berengere uśmiecha się do niej z przymusem. Jest blada. Wydaje się wstrząśnięta. I naraz do Vincenta dociera, dlaczego tak to przeżywa: Berengere jest zbulwersowana nie dlatego, że Lucie nie chciała jej dać buzi - ją zaszokowała sama Lucie! Ależ tak, oczywiście! Lucie, o której istnieniu wiedziała, nie miała natomiast pojęcia, jaka dziewczynka jest. Lucie, która znajdzie się w orszaku dziecięcych drużbów, pośród dorodnych, zdrowych dzieci. Lucie nieprzewidywalna, Lucie uparta, Lucie, która w każdej chwili może zakłócić ustalony przebieg pięknej ceremonii. I tym właśnie przejmuję

się Berengere - dla niej to katastrofa. To nią wstrząsnęło tak mocno, aż palce jej pobielały.

Po czym Vincent spogląda na swoją matkę, która kołysze na kolanach przytuloną Lucie, obsypując Berengere perfidnymi komplementami, i docierają do niego jeszcze inne rzeczy: że jego matka nienawidzi przyszłej synowej i kiedy się dowiedziała o jej planach, by w orszaku znalazły się wszystkie dzieci, natychmiast pomyślała o Lucie, po czym tak pokierowała przebiegiem rozmowy, żeby Berengere nie mogła się już wycofać.

Patrzy na te dwie kobiety, które siedzą naprzeciwko siebie w fotelach obitych jedwabnym adamaszkiem. I czuje się, jakby śnił koszmar. Chciałby, aby go obudzono i pozwolono mu odejść.

Przez resztę dnia Berengere wykazuje nadzwyczajne opanowanie, a matka Vincenta nadzwyczajnie dobry humor.

Wieczorem przy pożegnaniu w dużym przedpokoju Lucie w końcu zgadza się dać buziaka Berengere. Na jej policzkach lądują dwa żywiołowe serdeczne pocałunki. Sophie odciąga Berengere na bok i szepcze mocno wzruszona:

- Nie chciałam mówić tego przy wszystkich, ale uważam za bardzo szlachetne, że zgodziła się pani, aby Lucie była druhną. Wie pani, to będzie pierwszy raz. Nawet pani sobie nie wyobraża, jaki to dla niej wielki dar... i równocześnie dla mnie. Proszę pozwolić, że panią uściskam.

I Berengere musi przyjąć ten dowód wdzięczności, na który nie zasługuje.

Przychodzi w końcu chwila, na którą Vincent przez cały dzień czekał z niejaką obawą: wreszcie zostają sami. Berengere milczy, póki samochód nie wyjedzie za bramę posiadłości, po czym odzywa się spokojnym zimnym głosem:

- Powinieneś był mnie uprzedzić, że twój brat ma mongołkę.

Vincent czuje się wstrząśnięty obelżywością tego słowa, które Berengere wypowiedziała jakby z odrazą. Nie tracąc panowania nad sobą, odpowiada:

- Nie mówi się mongołka, tylko trisomiczka.

- Och, Vincent! To nie pora na przerzucanie się słowami i pouczanie mnie! Jakby problem sprowadzał się do terminologii! - Rzuca się w fotelu, zaciskając zęby. - Jak mogłeś mi to zrobić? Wiedziałeś, że chcę, aby wszystkie dzieci z rodziny były družbami. Czemu mnie nie uprzedziłeś, kiedy ci o tym mówiłam? Czemu nic nie powiedziałeś?

Vincent bezradnie wzrusza ramionami.

- No... - jąka się. - No... nie wiem... nie zwróciłem uwagi...

- Właśnie! Nie zwróciłeś uwagi! Otóż to! W ogóle cię nie obchodzą przygotowania do ślubu.

Vincent obrusza się zdecydowanie: przeciwnie, bardzo go obchodzą. Przecież jego też to dotyczy.

Berengere kręci głową.

- Przestań mi tu opowiadać głodne kawałki! Masz gdzieś przygotowania, o czym świadczy to, że cokolwiek mówię, wlatuje ci jednym uchem i wylatuje drugim. Pozwoliłeś, żebym ogłaszała każdemu, kto chciał słuchać, że wszystkie dzieci będą družbami, i proszę: mamy teraz na karku mongołkę!

Krew uderza mu do głowy.

- Nie mów tak o Lucie! Może nie wszystko przebiega dokładnie tak, jak ty byś chciała, ale to nie powód, żeby w ten sposób mówić o córce mojego brata.

Berengere przygląda mu się chwilę, po czym odwraca głowę w drugą stronę i opiera czoło o szybę. Vincent widzi spoczywające na kolanach jej piękne dłonie obleczone w rękawiczki. Nic nie zdradza wściekłości i burzy uczuć, które

się kłębią w Berengere. Mimo woli imponuje mu, że tak potrafi nad sobą panować.

Przez resztę drogi Berengere milczy jak zakłeta. Vincent jedzie niezbyt szybko, ponieważ się obawia, że ciut za dużo wypił. Słysząc jedynie regularne szuranie wycieraczek, irytujące popiskiwanie kauczukowych piór na przedniej szybie.

Tylko spokojnie, powtarza sobie, to raptem kwadrans, który jakoś trzeba przetrwać... Bębni nerwowo palcami w kierownicę, próbując wymyślić jakieś usprawiedliwienie na to, co w oczach narzeczonej jest z jego strony potwornym zaniedbaniem.

Myśli o bratanicy, o tym, jak rzuca mu się w ramiona, ilekroć się spotykają, o ślicznej sukience, którą dzisiaj miała na sobie, o szczerbatym uśmiechu, którym wszystkich obdarzała. W odstępie kilku dni wypadły jej u góry obydwie siekacze; Lucie bez przerwy powtarzała, jak to zębowa wróżka przyniosła jej dwa razy po dwa euro. A on odpowiadał, że taki śliczny uśmiech na pewno wart jest cztery euro.

Zerka na narzeczoną. Nie widzi jej twarzy odwróconej do okna. Zgaduje, że jest obrażona. Jak ma jej powiedzieć, że właściwie nawet przez myśl mu nie przeszło, że Lucie mogłaby stanowić problem? Spotyka ją na każdej rodzinnej uroczystości z innymi dziećmi, toteż przywykł do niej, zupełnie nie zauważa, że jest inna. Inna rzecz, że może powinien był się postawić na miejscu Berengere. Powinien był przewidzieć jej reakcję. A tu proszę, nie popisał się - nie przyszło mu do głowy, by ją uprzedzić, że w jego rodzinie jest trisomiczka. Kiedy Berengere podzieliła się z nim swoim pomysłem, stwierdził, że taki orszak dziecięcych družbów będzie sympatyczny. Wyobrażał sobie zdjęcia młodej pary

otoczonej dziećmi. I Lucie na nich naturalnie była. Tyle że dla Berengere to całkiem inna historia.

Wieczorem ani jedno, ani drugie nie ma ochoty na kolację. Postanawiają tylko wypić herbatkę ziołową - ona siedzi na kanapie, on naprzeciwko w fotelu. Siedzą i krzywo na siebie patrzą. Po długim milczeniu Berengere, mieszając łyżeczką w kubku, pyta, jakby się zastanawiała na głos:

- Co możemy w tej sytuacji zrobić?... Nie mógłbyś pogadać z bratem?...

- No chyba żartujesz!...

Co ona by chciała? Żeby poszedł do brata i bratowej i powiedział, że najlepiej by było, gdyby ich córka nie była druhną? Nic prostszego! „Wiesz, Jean - Yves, Berengere uważa, że Lucie raczej nie nadaje się na ozdobę... Ma za bardzo widoczne cechy trisomiczne, rozumiesz. Smutne to, ale wiesz, jak to jest: o gustach i kolorach...”.

Berengere nerwowo kartkuje czasopismo. Lucie wprawia ją w irytację i w pewnym sensie czuje się przez nią zagrożona. To ziarenko piasku w trybach maszyny. W tej chwili jedno pytanie zaprzęta jej umysł: jak się pozbyć tej małej? To, że Lucie jest bratanicą jej narzeczonego, w dodatku jego ulubienicą, nie stanowi w mniemaniu Berengere istotnej przeszkody. A tym bardziej nie liczy się zawód, jakiego by doznała dziewczynka i jej rodzice.

Vincenta ogarnia złość i niesmak. To w ogóle nie do pomyślenia. Niemniej Berengere wciąż o tym myśli. Dłuższy czas milczy zadumana, po czym znów zaczyna swoje:

- Naprawdę tak trudno byłoby ci pogadać z bratem i Sophie?

Tego Vincentowi już za wiele.

- Dość! - krzyczy. - Przesadziłaś, Berengere! Lucie będzie druhną. Może ci to nie w smak, ale tak powiedziałaś przy całej rodzinie, a mnie to sprawi przyjemność. Koniec dyskusji!

Berengere wie, że posunęła się za daleko. Nerwowo przebiera palcami po naszyjniku z kryształów Baccarat, który podarował jej na Gwiazdkę, patrząc na Vincenta z cierpieniem w pięknych oczach.

- Przepraszam cię, kochanie! Nie chciałam ci sprawić przykrości. Po prostu... byłam zaskoczona, to wszystko. Nie powinnam była tak zareagować. Wybacz. Masz słuszość: Lucie będzie druzną razem z innymi dziećmi. Bardzo dobrze to wypadnie. .. - Podnosi się z westchnieniem. - Mam nadzieję, że nie masz do mnie żalu. Jestem już trochę zmęczona... A poza tym - dodaje i głos jej się naraz załamuje - twoja matka wyglądała na bardzo ucieszoną, że jestem niezbyt zadowolona.

Vincent wspomina twarz matki czyhającej na reakcję Berengere, ledwie dostrzegalne zaciśnięcie ust z satysfakcją, kiedy Lucie nie chciała się przywitać, spojrzenie, jakim obrzucała przyszłą synową, kołysząc dziecko na kolanach...

Podnosi się z miejsca, obejmuje Berengere. Czuje, że jest bliska łez.

- Przepraszam, Vincent! Tak chciałam, żeby wszystko wypadło doskonale... Dlatego ta mała wśród dziecięcych družbów... rozumiesz, trudno mi się z tym pogodzić... Wiem, że nie należy tak mówić, że to mało miłosierne. Pewnie ci się bardzo nie spodobało. Ale proszę, spróbuj się postawić na moim miejscu. To miał być najpiękniejszy dzień w naszym życiu.

- Ależ kochanie, to będzie najpiękniejszy dzień w naszym życiu. Nie martw się, nic się nie stało.

Głaszczę ją po plecach, po włosach. Berengere wtula się w niego. Nie rusza się, nic nie mówi. Potrzebuje pocieszenia. Aby ją zupełnie uspokoić, Vincent tchórzliwie szepcze:

- Jeśli będziesz chciała, później się wykadruje parę zdjęć.

Nie wracają potem do tej sprawy. I jedno, i drugie pragnie zapomnieć tamten przykry dzień. Wydaje się, że Berengere ochłonęła. Ale w następnych tygodniach Vincentowi wpadają w ucho jakieś fragmenty rozmów telefonicznych, z których się domyśla, że trwają przygotowania mające zapobiec zakłóceniu wizerunku uroczystości. Ustala się starannie, gdzie należy posadzić Lucie, by jak najrzadziej trafiała w kadr obiektywu aparatu fotograficznego. Vincenta ogarnia niejaki wstręt. W życiu by nie pomyślał, że aż do tego można się posunąć... Jakby zimna stal przeszływała mu serce. Udaje jednak, że o niczym nie wie. Nie chce się do tego mieszać. Najważniejsze, żeby Lucie też miała sukienkę druhny. Reszta go nie obchodzi, Berengere może sobie do woli spiskować ze swoją siostrą Laurence. On umywa ręce.

Pod koniec stycznia obydwie rodziny spotykają się na obiedzie zaręczynowym, który wydają rodzice Berengere. Pani Le Clair upewnia się ostatecznie: u Clouetów także są oryginalne fotele z epoki Ludwika XVI.

W lutym Benoit powiadamia rodzinę, że związał się z Nathalie. Vincent nigdy by nie przypuszczał, że ta wieść aż tak nim wstrząśnie. Nie jest w stanie wyobrazić sobie Nathalie w jego ramionach. Czuje egoistyczną urazę, że tak szybko o nim zapomniała. Wpadła w depresję, mówi sobie, i zaraz szukała pocieszenia u swojego brata. Ma jej to za złe, jakby nie miała do tego prawa, jakby go w pewnym sensie zdradziła.

Chciałby wiedzieć, jak to wszystko się zaczęło, nie śmie jednak otwarcie spytać brata. Ilekroć próbuje go zagadnąć ogródkami, Benoit zrećcznie uchyla się od odpowiedzi. Nie chce o tym mówić, to oczywiste. Nikt się nie dowie, jak się ich związek zaczął. Czy kochał Nathalie już wtedy, kiedy była z Vincentem? Czy Nathalie znalazła się w ramionach Benoit dlatego, że szukała pocieszenia po zawodzie miłosnym, czy też naprawdę się w nim zakochała? Ludzie z lubością kraszą

to komentarzami, w których Benoit gra mało zaszczytną rolę faceta „drugiego sortu”. Ale jemu wyraźnie to nie przeszkadza. W ciągu kilku miesięcy bardzo się zmienił. Nabrał śmiałości, a czasami nawet wygląda na szczęśliwego.

W pierwszych dniach wiosny Berengere i Vincent są gotowi z listą prezentów ślubnych. Vincent jest zdania, że już mają wszystko, co potrzebne do wygodnego życia. Chciałby odbyć ciekawe podróże. Chciałby zobaczyć miasta, których sama nazwa już działa na wyobraźnię i sprawia, że człowiek się czuje jak w innym świecie. Palmyra, Dżakarta, Szanghaj, Los Angeles... Chciałby się znaleźć z żoną w tych wymarzonych miejscach. Od dawna chodzi mu to po głowie. Albo teraz, albo nigdy, utrzymuje.

Berengere jest innego zdania: Vincent nie wie, co mówi. Przede wszystkim to jedyna okazja, żeby dostać w prezencie srebra, piękną porcelanę i bieliznę pościelową. Mają poza tym straszne luki w wyposażeniu domu. Potrzebna im zmywarka, kuchenka indukcyjna, robot marki Kenwood i maszynka do zaparzania espresso. Najwyższa też pora wymienić te ohydne lampy w salonie. Mówi o nich, ponieważ Vincent kupował je z Nathalie... W każdym razie bardzo by się wygłupili, gdyby nie przedłożyli zaproszonym listy prezentów: jej brak to najlepszy sposób, żeby się obudzić ze stosem kryształowych popielniczek i wazonów, paskudnych tac i poczerniałych cynkowanych garnków. Vincent musi ustąpić: trzeba zostawić listę prezentów w jakimś dużym sklepie.

Berengere się wścieka, ponieważ „na prowincji nic nie ma”. Serwisu, który będzie im służył przez całe życie, nie wybiera się pochopnie. Tak samo sreber. To coś, co zostawia się dzieciom. Należy wszystko dokładnie przemyśleć, zanim się podejmie decyzję. „Coś, co zostawia się dzieciom”. Vincent z trudem potrafi sobie wyobrazić, jak zapisują srebrne łyżeczki dzieciom, których jeszcze nawet nie spłodzili.

Berengere poprosiła swoją szwagierkę Helene, żeby jej przysłała wszelkie katalogi i prospekty, jakie zdoła znaleźć w dużych paryskich sklepach. Poniewierają się teraz po całym mieszkaniu. A ona od tygodni praktycznie o niczym innym nie mówi. Vincent wie już wszystko o sztuce wyposażenia domu, żadne z wielkich nazwisk nie jest mu obce: Christofle, Bernardaud, Baccarat, Puiforcat, Hermes, Saint - Louis, Saint - Hilaire... To litania świętych, którym Berengere oddaje teraz cześć. Zamiast toczyć gorące dysputy, jak było w ubiegłych miesiącach, rozprawiają na tematy budzące wręcz grozę: mają wybrać model „Amazone” czy „Topaze”, „Cornouailles” czy „Marbella”? Póki takie decyzje nie zapadną, Vincent nie zazna chwili wytchnienia.

Jak jej powiedzieć, że on kicha, gwizdże na to, że ma w głębokim poważaniu te jej durne łyżeczki i talerzyki do sera?

- Nudzę cię?

- Ależ skąd!

- No przecież widzę! Nie słuchasz, co mówię.

- Ależ słucham.

- Więc dlaczego powtarzasz tylko „tak, tak” bez przerwy, a minę masz nieobecną?

Czy to jego wina, że ani trochę go nie obchodzą te stosy garów, szmat i dekoracyjnych gadżetów? Ani mu to na nic potrzebne, ani w tym nie gustuje. Ma już tak dosyć gadania na ten temat, w gruncie rzeczy jest mu to tak obojętne, że jej zostawia wybór. Zgadza się na wszystko, mówiąc sobie, że tak jest najlepiej. Do końca swoich dni będzie jadał na modelu „Versailles” zamiast na „Chenonceaux”, który bardziej mu się podobał, lecz smaku potraw w niczym to nie zmieni.

I pomyśleć, że za kilka miesięcy trzeba to będzie upchnąć u nich w szafach! Matka Berengere doradziła, żeby uwzględniali wszystkiego po dwadzieścia cztery sztuki: dwadzieścia cztery głębokie talerze, dwadzieścia cztery

płytkie, dwadzieścia cztery deserowe... Vincent woli o tym nie myśleć. Czy kiedykolwiek będą mieli okazję gościć tyle osób przy jednym stole? Kiedy dzieli się tą refleksją z narzeczoną, Berengere spogląda nań rozbawiona:

- Och, Vincent, nie trzeba dwudziestu czterech osób, żeby używać dwudziestu czterech talerzy! Nigdy nie zauważyłeś, że u ludzi na poziomie do każdego dania zmienia się talerze? Mając dwadzieścia cztery sztuki, nie trzeba zmywać talerzy między przystawką a daniem głównym.

Do licha, święta racja! Że też o tym nie pomyślał! Mimo to zadaje sobie pytanie, kiedy będą mieli dość miejsca, by przyjąć dwanaścioro gości, bo przecież nie przy tym małym stole jadalnym... Tym razem jednak nie ma odwagi zapytać głośno.

Myślał, że będzie po wszystkim, kiedy wybiorą modele i prześlą listę do sklepu. Ale nie. Teraz co wieczór Berengere sprawdza w Internecie, jak się przedstawia kwestia prezentów. Z lubością wpisuje kod dostępu i w skupieniu, ze wzrokiem wlepionym w ekran monitora przegląda listę. Jej usta wykrzywia grymas zawodu lub zadowolenia w zależności od wpłaconych kwot. Dokładnie zapamiętuje, ile kto dał. Vincent jest przekonany, że nie zapomni tego do końca swoich dni.

Prawie codziennie Berengere telefonuje do swojej matki, aby zdać jej sprawozdanie. Jakby ogłaszała werdykt, oznajmia, kto się wykazał szczególną hojnością:

- Carrierowie podarowali nam wazę na zupe. Czteryście sześćdziesiąt euro. To dużo jak na dalekich znajomych. Koniecznie musisz ich zaprosić na ślub.

Przez większość czasu pomstuje jednak na sknerstwo krewnych. Ale cóż, nie powinno to już nikogo dziwić po tym, co zaszło... I Vincent podsłuchuje fragmenty rozmowy, z których wyłaniają się zadawnione urazy, jakaś historia ze

spadkiem sprzed blisko dwudziestu lat, która, jak się zdaje, poczyniła spustoszenia dorównujące klątwie Atrydów.

Na temat sukni panny młodej nie będzie miał bladego pojęcia aż do dnia ślubu. Wie tylko, że Berengere sama ją zaprojektowała i że do uszycia zaangażowano krawcową o „rękach czarodziejki”, tę samą, która szyła suknię Laurence pięć lat temu.

Szukając pewnego dnia koperty w sekretarzyku, Vincent znajduje dwa wycinki z czasopism wsunięte w blok listowy. Na jednym rozpoznaje Grace Kelly w dniu swojego ślubu z księciem Monako. Fotograf uwiecznił ją w koronkowym gorsecie, ze wzrokiem spuszczonego na bukiet konwalii. Podpis pod zdjęciem obwieszcza, że aktorka „gra tu swoją najlepszą rolę”. Też coś, prycha Vincent. Wspomina Grace Kelly w „Oknie na podwórze”, Grace Kelly w „Złodzieju w hotelu”. A pomyśleć, że o mało nie zagrała w „Marnie”.

Drugiej pary nie zna. W drzwiach kościółka iskrzącego się świecami bardzo przystojny młody mężczyzna podnosi do ust rękę pięknej kobiety w miękko układającej się sukience i lekkich sandałkach: „W skromnym kościółku z białego drewna na dzikiej wysepce Cumberland u wybrzeży Georgii Carolyn Bessette łączy swój los z losem syna zamordowanego prezydenta. W bardzo skromnym otoczeniu i nadzwyczaj wąskim gronie najbliższych członkowie klanu powitali pannę młodą”.

Długą chwilę Vincent wpatruje się w te dwa skrawki papieru, które Berengere kiedyś wycięła i gdzieś przechowywała, aby od czasu do czasu oglądać je sobie. Zdjęcie gwiazdy filmowej w książęcej sukni i miliardarki niemal bosej. Do której z tych kobiet, od dawna już nieżyjących, Berengere pragnie się upodobnić w dniu swojego ślubu? Czy wymarzyła sobie siebie w katedrze z długim koronkowym trenem ułożonym u stóp? A może śni niekiedy o

dzikiej wysepce i małym kościółku, w którym wezmą ślub z dala od ludzi? Trzymając zdjęcia w ręce, Vincent rozmyśla przez kilka chwil o tych ślubach z czasopisma - egzotycznych, wystawnych, niedostępnych dla zwykłych zjadaczy chleba. Raz jeszcze zerka na Grace Kelly i równiutko wsuwa na powrót wycinki w blok listowy. Zamykając sekretarzyk, mówi sobie, że być może Berengere chciała tylko zachować modele sukien ślubnych.

Dziś Berengere ma jechać z matką do krawcowej na ostatnią przymiarę. Czekając, aż nadejdzie ta pora, nerwowo przerzuca jakieś katalogi. Chciałaby, żeby drogę przez park do samego namiotu oświetlały pochodnie ogrodowe. Vincent lekko zirytowany pyta, czemu tak się miota. A ona, nie przestając przerzucać kartek, odpowiada spokojnie:

- Miotam się, ponieważ mam dokładnie dziesięć minut na znalezienie tego, czego szukam. Są tu lampiony, popielniczki z sercami, atlasowe poduszki dla nowożeńców... a pochodni nie ma. Patrzę na zegarek i widzę, że teraz mi zostało już tylko osiem minut, zanim będę musiała wyjść, toteż się miotam, jak mówisz.

- Kotku, nie miej mi za złe. Mówię tak, bo wolałbym, żebyś nie marnowała czasu na takie rzeczy. Nie powinnaś tak bardzo się przejmować tego typu drobiazgami...

- Vincent, nie przeszkadza mi, że „się przejmuję tego typu drobiazgami”, jeżeli służą przygotowaniu oprawy uroczystości.

- Tylko że nie potrafię pojąć, jak możesz tracić tyle energii na rzeczy w sumie drugorzędne. Naprawdę, Berengere, to się w ogóle nie liczy. Przecież ważne jest co innego, nie? Ważne jest to, że się kochamy, ważne są uczucia, które mamy w sobie...

Berengere z trzaskiem zamyka katalog i odwraca do Vincenta wzburzoną twarz.

- Wiesz co? Potrafisz być bardzo wzruszający, kiedy chcesz! Cudownie mówisz o uczuciach wewnętrznych... Jasne, że uczucia zewnętrzne mają dużo mniejsze znaczenie - oznajmia drwiąco.

Vincent jest zły na siebie, że dał się przyłapać na pleonazmie. Dla adwokata to żaden powód do chwały.

- No właśnie, nabijaj się ze mnie! - burczy niezadowolony.

Berengere wzdycha.

- Słuchaj, Vincent, rozumiem twój punkt widzenia, ale pozwól, że coś ci wytłumaczę: wczoraj spędziłam popołudnie z klientem, którego broni nasza kancelaria. Facet przypalał swoją ośmiomiesięczną córeczkę żelazkiem, bo za głośno płakała. Jeśli chcesz poznać szczegóły, akta są w teczce... Cały czas mnie błagał, żebym nie pozwoliła odebrać mu córki. Zalewał się łzami. Powtarzał: „Kocham moją malutką. Bardzo proszę, musi ich pani przekonać, że ją kocham”. Wczoraj przez cały wieczór nie mogłam wyrzucić tego z głowy, w nocy nawet mi się śniło. I widzisz, dzisiaj mam wielką ochotę jechać na przymiarke mojej pięknej sukni i znaleźć pochodnie ogrodowe na wesele w tym cholernym katalogu pełnym paskudnych gadżetów... swoją drogą zerknij na podwiązki, są naprawdę cudne! Zrozum, nikomu to nie szkodzi, a mnie robi dobrze. .. - Urywa, spogląda mu w oczy i uśmiecha się lekko. - A poza wszystkim bardzo dobre było to, coś powiedział na temat głębi uczuć i marności pozorów. Wzruszyłam się do łez!

Vincent przysuwa się i obejmuje ją.

- Jesteś najbardziej nieznośną przyszłą panną młodą, jaką znam.

- A kiedy już się pobierzemy - szepcze Berengere w odpowiedzi - wcale nie będzie lepiej ... No, lecę na przymiarke. Jak będziesz grzeczny, dostaniesz niespodziankę.

Wieczorem Vincent znajduje na swojej poduszce paczuszkę. Zawiera perłowoszarą jedwabną bokserki opatrzone logo Diora i liścik: „Żebyś w ten wielki dzień był równie elegancki na wierzchu jak pod spodem. Możesz być pewien, kochany, że nie poprzestaję na pozorach: potrafię sobie przypomnieć, że to, co najważniejsze, jest w środku. Twoja kochająca (prawie) żona”.

O ile na temat sukni panny młodej nie pada ani jedno słowo, o tyle strój dziecięcych drużbów stanowi przedmiot długich dyskusji. Vincent nie może już słuchać, jak Berengere rozprawia o szmatach z matką, siostrami, przyjaciółkami... Nie ma mowy, żeby to było coś „zwyczajnego”. I znów, tak jak w przypadku porcelany i sreber, w mieszkaniu piętrzą się stosy katalogów. Pod koniec maja Laurence sugeruje siostrze butik o ślicznej nazwie „Drzewko różane”, gdzie sprzedają urocze ubranka dla chłopców i sukienki dla dziewczynek z marszczeniami robionymi ręcznie. Na folderze widnieje fotografia dwojga dzieci: dziewczynka ma różową sukienkę, a chłopczyk bermudy w tym samym kolorze co sukienka, białą koszulę i muszkę. Każde trzyma w ręce koszyczek przewiązany wstążką. Zdaniem Vincenta wyglądają idiotycznie.

W sobotnie przedpołudnie Berengere decyduje, że pojedą we dwoje do butiku, by razem wybrać model. Vincent nie protestuje. Postanowił, że nie będzie się jej sprzeciwiał, aby załatwić to jak najszybciej. Uruchamiając samochód, pyta:

- Gdzie jest ten twój butik... ?

I w tej chwili uświadamia sobie, że wyleciała mu z głowy nazwa, którą Berengere bombarduje mu uszy od kilku dni. Ma ją na końcu języka, lecz nie może sobie przypomnieć. A oniemiała Berengere patrzy na niego, jakby był niespełna rozumu. Vincent bezmyślnie powtarza: „Ten twój butik...” i zawiesza głos, wciąż nie mogąc odgrzebać nazwy w pamięci.

Berengere przygląda mu się z ironicznym uśmiechem. Nietrudno zgadnąć, co myśli: „No i widzisz? W ogóle się tym nie interesujesz. Zapomniałeś nawet nazwę sklepu, o którym ci mówię od tygodnia”.

Naraz... jest! Przypomniał sobie! Triumfalnie wykrzykuje:
- „Liść Różany”!

I natychmiast zdaje sobie sprawę, że powiedział horrendalną bzdurę. Uśmiech znika z twarzy Berengere, która sztywnieje i mówi:

- Ty naprawdę sobie ze mnie kpisz!

Vincent zaczyna nieskładnie przeproszać, że oczywiście znowu coś pokręcił. A Berengere wysiada z samochodu, zatrzaskuje głośno drzwi, obchodzi auto i otwiera drzwi po stronie kierowcy.

- Wsiadaj - rozkazuje. - Pojadę sama.

- Ależ nie, zawiozę cię. Berengere traci cierpliwość.

- Mam tego dość! Wsiadaj i pozwól, że pojadę sama.

Wszyscy na tym tylko skorzystają.

Vincent wysiada, tłumacząc się z żalosną miną. Berengere mierzy go wzrokiem, zajmuje miejsce za kierownicą i mocnym szarpnięciem z hukiem zamyka drzwi. Najwyraźniej żałując, że przy tej okazji nie przytrzasnęła mu palca albo i dwóch. Odjeżdża, nie obdarzywszy go ani jednym spojrzeniem. W chwili, gdy samochód znika, Vincent przypomina sobie nazwę: „Drzewko Różane”.

Mimo wszystko mogła przyznać, że z tym „Liściem Różanym” był już całkiem blisko, chociaż to zdecydowanie brzmi gorzej. Ogarnia go niepohamowany śmiech na wspomnienie, jak to z zadowoleniem wygłosił nazwę. „Liść Różany”! Ależ z niego kretyn! Ale przynajmniej to przejęzyczenie oszczędzi mu korowodów w butik. Berengere naturalnie jest wściekła. Ostatnimi czasy wybucha z byle powodu, lecz Vincent zaczyna się przyzwyczajać. Teraz robi

to na nim znacznie mniejsze wrażenie niż na początku. Skorzysta z okazji i popracuje nad trudnymi aktami, spokojnie czekając, aż Berengere wróci, ochłonie i wybaczy mu.

Berengere boczy się na niego do samego wieczora. Przy stole nie odzywa się ani słowem. W końcu on musi przełamać lody.

- Znalazłaś jakieś ładne modele w tym „Drzewku Różanym”? - zagaduje, nazwę wyraźnie wymawiając, aby zobaczyła, że sobie ją jednak przypomniał.

- Tak.

- Wybrałaś coś?

- Tak.

- Jaki?

- Bardzo ładny.

- Jakie kolory wybrałaś?

- Jasnozielony dla dziewczynek i pomarańczowy dla chłopców - odpowiada Berengere obojętnie, po czym dodaje: - Miałam ochotę na coś wesołego i oryginalnego... Mam nadzieję, że ci pasują.

Vincent z trudem przełyka ślinę, usiłując wyobrazić sobie pomarańczowo - zielony orszak dziecięcych drużbów, wesoły i oryginalny... Berengere bez wątpienia żartuje. Minę jednak ma tak poważną, że wcale nie jest tego pewny na sto procent. Tak czy owak lepiej wyjść na kompletnego durnia, niż ryzykować nowy punkt zapalny. Vincent odpowiada zatem, starając się mówić z przekonaniem w głosie:

- Jasne! Będzie świetny widok. Świetny! Wtedy Berengere wybucha śmiechem.

- No co ty, głuptasie, nabieram cię! Będzie najzwyklejszy w świecie poczciwy bladoróżowy. Ale powiedz, naprawdę byś nas widział w otoczeniu jasnozielonego i pomarańczowego? Chciałam tylko sprawdzić, jak zareagujesz.

Domyślał się tego oczywiście, lecz w tym wypadku lepiej było się wykazać daleko posuniętą ostrożnością.

Vincenta ogarnia ulga - nie tyle dlatego, że nie grożą im na ślubie kolory psychodeliczne, ile dlatego, że jego narzeczona odzyskała dobry humor. Berengere podnosi się z krzesła i siada Vincentowi na kolanach. Zarzuca mu ręce na szyję i całuje go.

- Mam rozumieć, że uzyskałem wybaczenie? - pyta Vincent.

- Skądże znowu! Dalej jestem na ciebie zła, ale postanowiłam udawać, że jest inaczej.

Vincent się uśmiecha, przysuwa usta do jej ucha i szepcze jej zdania, które mówią o różach i wywołują na jej policzkach rumieniec.

Tej soboty, kiedy ma jechać z matką po garnitur na uroczystość, niespodziewanie wysoka gorączka przykuwa go do łóżka. Przez trzy dni gardło pali go żywym ogniem, a temperatura nie spada poniżej trzydziestu dziewięciu. Berengere szydzi: on, który się szczycił, że w życiu nie chorował - tylko na wiatrówkę w wieku sześciu lat - zdołał się nabawić anginy w połowie czerwca! Vincent nie ma siły odpowiedzieć, tak bardzo boli go gardło.

Od tego dnia poczynając, jego ciało jakby zaczyna podupadać - pomalutku, niepostrzeżenie, za to stale. Życie bez przerwy zatruwają mu kolejne drobne dolegliwości. Najpierw poranne bóle brzucha, potem ból głowy wieczorem, po pracy. Ból staje się jego nieodłącznym towarzyszem, jakby się rozgościł w nim na wakacje: ostra migrena od rana do nocy, skurcze żołądka, paląca zgaga... W szufladzie jego biurka w postępie geometrycznym przybywa lekarstw na poratowanie w różnych przypadłościach. Berengere nie okazuje mu ani cienia współczucia, przeciwnie - ilekroć zauważy, że łyka jakąś tabletkę, wyzywa go od „staruszków”.

Prawdziwy strach ogarnia Vincenta w dniu, kiedy doświadcza po raz pierwszy w życiu „niemocy”. Siedzi na skraju łóżka zmieniony na twarzy i patrzy na swoje zwiędnięte przyrodzenie, które odmówiło posłuszeństwa. Berengere pieści go, pocieszając, że to nic takiego, każdemu może się zdarzyć, a on ma teraz tyle pracy, w dodatku przygotowania do ślubu, w tej sytuacji to normalne. Bardzo go złości, że jest dla niego teraz szczególnie miła i nawet stara się przez cały weekend nie mówić o ślubie.

Następny raz w łóżku Vincent odsuwa, jak długo może... lecz w najbliższy piątek powtórka z rozrywki: między udami ma takie smętne miękkie coś nie nadające się do niczego. Berengere znów stara się podejść do tego rozsądnie, ale tylko podkręca obawy Vincenta. Zachowuje się bowiem dokładnie tak, jakby nie miało dla niej żadnego znaczenia, czy jest zdolny do miłości fizycznej, czy nie. Wygląda na to, że w ogóle jej tego nie brakuje. I Vincentowi zaczynają się kłębić w głowie najróżniejsze przypuszczenia: z nim nie odczuwa przyjemności; symuluje od początku i ma w nosie jego obecną impotencję... Zasypia zresztą u jego boku, zostawiając go sam na sam z lękami.

W końcu o pierwszej w nocy, nie mogąc zasnąć, Vincent wstaje. Od dłuższej chwili powtarza sobie: „Rak jąder” i nie może tego wyrzucić z głowy. Szuka w encyklopedii planszy przedstawiającej w przekroju męskie narządy rozrodcze.

Wyobraża sobie wirusy, które atakują jego ciała jamiste i z wolna tak je przeżerają, że wyglądają jak obrzydliwie zielonkawe gąbki, a szkodliwe wydzieliny zatruwają kanaliki nasienne. Z przerażeniem obmacuje sobie mosznę w poszukiwaniu bolesnych węzłów chłonnych czy podejrzanego zaczerwienienia. O drugiej nie może dłużej wytrzymać - dzwoni do przyjaciela lekarza.

Doktor Thomas Lepron nie jest zadowolony, że budzi się go w środku nocy z żądaniem porady. Słuchając jednak Vincenta, który głosem zdradzającym przerażenie wyjaśnia mu, w czym rzecz, wybucha śmiechem. Teraz doktor Thomas Lepron jest w pełni przebudzony i w doskonałym humorze.

- Tu nie ma co szukać przyczyn, stary! Dopadł cię po prostu stres przedślubny.

Vincent nie bardzo rozumie.

- Stres przedślubny... - powtarza.

- Klasyczny przypadek, stary! Żenisz się, ogarnął cię strach i nastąpiła jego somatyzacja. Klasyczne. Jeśli cię to uspokoi, nie u ciebie jednego. Przez mój gabinet przewijają się tabuny facetów, którzy narzekają na bóle brzucha, głowy albo nawracające anginy na kilka tygodni przed swoim ślubem. Każdemu powtarzam to samo: porządna noc poślubna i wszystko przejdzie jak ręką odjął.

Vincent słucha żartobliwego głosu przyjaciela na drugim końcu linii. Szepcze z niedowierzaniem:

- Ach... i myślisz, że właśnie o to chodzi?

- Jasne! Jestem pewien jak tego, że mam w łóżku najpiękniejszą na świecie dziewczynę, którą obudził ze smacznego snu twój telefon... No dobra, nie gniewaj się, chłopie, ale muszę kończyć, bo mam tu coś do zrobienia. I nie gryź się o swojego fiuta. Na sto procent działa jak należy, gwarantuję. I na dowód mogę dać własnego pod nóż. Trzymaj się. Widzimy się za trzy tygodnie na ślubie.

Vincent niewyraźnie mamrocze podziękowania i oszołomiony odkłada słuchawkę.

Stoi golusieńki w salonie z fujarą wiszącą między nogami - i nagle doznaje olśnienia: w przyszłym tygodniu się żeni i przez to umiera ze strachu. W tym właśnie rzecz. Ożenek wywołuje ból. Ból brzucha, głowy, gardła. Ożenek uniemożliwia mu erekcję.

Zachodzi w głowę, jak to się stało, że tak długo nie docierało do niego, co się dzieje. W gruncie rzeczy odnosi wrażenie, że wszystko potoczyło się trochę za szybko. W ciągu ostatnich piętnastu miesięcy kolejno jedno wynikało z drugiego, zdawało się układać w logiczny ciąg. Porwał go zapał i energia Berengere, własne szczęście jakby znieczuliło. Dał się oczarować. A teraz się boi. Chciałby się wycofać. Tymczasem wie, że to już niemożliwe. Próbuje sobie przemówić do rozsądku. Kochasz tę dziewczynę, pragniesz jej, nie mogłeś lepiej trafić. Wylicza powody, dla których powinien się z nią ożenić. Jest ich dużo. Może za dużo.

Bywają dni, że myśli o Nathalie, o jej matczynej łagodności, o jej czułości. Nie widział się z nią, odkąd zerwali. Nie wie, kto stara się odwlec spotkanie: on, ona czy Benoit. Myśli o niej jak o delikatnym ptaszku, któremu pozwolił odfrunąć.

Odkąd decyzja o ślubie ostatecznie zapadła, Berengere bardzo się zmieniła zdaniem Vincenta. Wypełniła ich życie drobiazgami bez znaczenia. Przeobraziła się w nieznośnie materialistyczną chytrą mieszczkę, organizatorkę wydarzenia towarzyskiego. Nie może jej teraz ścierpieć. Dobija go tymi swoimi sukniami i zastawami. W ogóle Vincent nie uważa, żeby jego dotyczył kolor bukietów na stołach albo wybór menu. Ma dość folderów firm cateringowych z ciągnącymi się w nieskończoność spisami potraw, których pretensjonalne nazwy nie pozwalają się domyślić, z jakich składników zostały przygotowane: języki teściowych i mordka oprószone mąką na podkładzie z mrożonych kasztanów, roladki rogaczy duszone w sosie własnym, potrawka zdziry i bulion na pierdnięciach, pasta wywłoki z sosem jajecznym! Menu na weselny obiad Vincent ma w najgłębszym poważaniu. Niechże Berengere wszystko sama wybierze i skończmy z tym wreszcie!

Co się właściwie zmieniło? Gdzie się podziała dziewczyna, która tamtego pierwszego wieczoru w restauracji tak bezceremonialnie mnie pocałowała? Gdzie jest namiętna kobieta, która mi szeptała pikantne słowa? Dlaczego od tak dawna nie roześmiała się w głos?

W gruncie rzeczy Vincent zdaje sobie sprawę, że nic się nie zmieniło. Po prostu teraz lepiej zna Berengere. Ale też kocha ją w pełni świadomie, wiedząc, że on także z pewnością niekiedy ją rozczarowuje.

O trzeciej Vincent po cichutku kładzie się do łóżka. Słyszy, jak Berengere oddycha. Jest szczęśliwy, że ma ją obok.

Dopiero dzisiaj w kościele po raz pierwszy od zerwania zobaczył Nathalie. Stwierdził, że się zmieniła, jest jakaś dojrzała, piękniejsza w długiej czerwonej sukni. Aż mu żołądek skręciło, kiedy ją ujrzał z rozpuszczonymi włosami i spokojną twarzą kobiety wyciszonej. Zamienili ledwie parę słów. Ilekroć jednak na nią patrzył, niewidzialna ręka boleśnie ścisnęła mu brzuch.

Teraz kolacja dobiega końca. Ten bardzo, bardzo długi dzień bez wątpienia nie należał do niego; Vincent ograniczył się do tego, aby ulegle robić to, czego po nim oczekiwano. Pocałował żonę, uznał, że wygląda pięknie i budzi pożądanie, ale nigdy nie wydawała mu się taka odległa. A teraz już prawie koniec. Zatańczą parę kawałków, po czym wyzna jej prawdę: że jest kompletnie padnięty i chce odpocząć w ich pokoju, w „apartamencie dla nowożeńców” zarezerwowanym na tę okazję.

Dwaj kelnerzy wnoszą na ogromnej tacy tort weselny. Vincent widzi, jak w rytm ich kroków chwieje się ta istna wieża Babel z ptysiów zwieńczona tradycyjnie parą nowożeńców. To ja, myśli. Ten ludzik na samej górze to ja.

Zastanawia się, kto mógł wymyślić tak idiotyczne ciasto. Groteskową piramidę naznaczoną posrebrzonymi kryształkami cukru, listkami z pistacjowozielonego opłatka i marcepanowymi różyczkami, cukierniczego potworka na nugatowym cokole. A ustawiona na szczycie młoda para co właściwie ma symbolizować? Przeszkody pokonywane we dwójkę? Niebezpieczną wspinaczkę do siódmego nieba? Pretensjonalność tych, którzy sobie wyobrażają, że miłość będzie trwać wiecznie?

Wygląda na to, że tort wniesiono za wcześnie: ptysie wilgotnieją i oklapują, karmel się rozpuszcza, wszystko spływa. W zasadzie może to właśnie jest przesłanie: dziś tacy jesteście śliczni i milutcy, ale poczekajcie tylko trochę - dostaniecie za swoje i ubędzie wam tej urody.

Vincent mówi sobie, że to nieodpowiednia chwila, by myśleć o tym, że co trzecie małżeństwo kończy się rozwodem w ciągu pięciu lat. To naprawdę nieodpowiednia chwila.

Berengere zmierza w jego kierunku promieniejąca, uzbrojona w srebrną łopatkę do ciasta. Oczywiście nowożeńcy muszą pokroić tort razem. Dwie osoby muszą się przyłożyć, aby przypuścić atak na koszmarny wytwór cukierniczy. Połóż dłoń na mojej, kochana, i dalejże porcjować ptysie!

Berengere wdzięcznym gestem oddziela od tortu cukrowych nowożeńców, podnosi ich do góry pośród oklasków i kładzie na talerzyku męża. A cóż ja mam z tym zrobić? W dodatku na pewno są słodkie do zrzygania.

Przystępują do dzielenia obscenicznej góry. Karmel stawia opór. Pysie z trudem dają się odrywać, wyłazi z nich śmietana, na talerzyki trafia nieforemna kupka upstrzona ułomkami karmelu.

Paskudztwo. Vincent całe palce ma utyłane. Wie, że po czymś takim już nigdy w życiu ptyś z bitą śmietaną nie

przejdzie mu przez gardło. Berengere śmieje się z jego zniesmaczonej miny. Łakomie oblizuje sobie palce.

- Coś nie tak? Chcesz, żebym ci oblizała palce?

Też sobie wybrała moment na żarty.

- Zaraz przyjdę. Umyję tylko ręce.

- Wracaj do mnie szybko - zachęca Berengere, muskając ustami jego policzek.

- Tak, tak - odpowiada Vincent i wybiega.

W łazience ochlapuje sobie twarz wodą. Patrzy na siebie w lustrze, mówiąc: weź się w garść. Oddychaj. Przecież kochasz tę dziewczynę. Jest wspaniała. Wiedziałeś o tym, jak tylko ją zobaczyłeś, wiedziałeś, że to kobieta twojego życia. Całe życie spędzisz u jej boku, dlatego jesteś szczęśliwy. Powtarza to sobie raz i drugi, jakby sam siebie przekonywał, aż w głowie zaczyna mu się mącić.

Po umyciu rąk zatrzymuje się chwilę w holu. Nie chce wracać na przyjęcie, nie tak od razu. Na drugim końcu widzi otwarte drzwi do bocznego saloniku i naraz ogarnia go chęć, aby pomaszerować w tamtym kierunku, wejść do środka i posiedzieć parę minut na kanapie. Sam nie wie, dlaczego ma pewność, że już samo wejście tam dobrze mu zrobi.

Pokój jest obity czerwonym aksamitem, oświetla go tylko lampka na niskim stoliku. Vincent kieruje się w najciemniejszy kąt i tam odkrywa Nathalie śpiącą w fotelu. Głowę ma przechyloną na jedno ramię. Kosmyk kręconych włosów opada jej na czoło i wzdłuż okrągłego policzka. Wygląda jak dziecko. Vincent siada w fotelu obok, starając się robić jak najmniej hałasu. Ze ściśniętym gardłem patrzy na śpiącą Nathalie i do głowy napływają mu słowa, które jej nigdy nie szeptał: moja słodka, moja piękna, moja myszko.

Nie wie, jak długo siedzi przy niej. Chciałby na zawsze już tak pozostać i żeby Nathalie nigdy się nie przebudziła.

Toteż kiedy naraz otwiera oczy, Vincent podrywa się i mówi głupio:

- Przepraszam. Obudziłem cię.

Z uśmiechem spoglądając na niego, Nathalie odpowiada spokojnie:

- Nie obudziłeś. Nie spałam. Przyszłam tu, żeby tylko chwilkę odpocząć. Ty zdaje się też...

W jej głosie pobrzmiewa cień kpiny. Vincent czuje się zażenowany, że tak długo patrzył na nią, a ona wcale nie spała. Szuka, co by tu powiedzieć, żeby jego zakłopotanie zniknęło. Po czym nagle uznaje, że to dobra chwila, by zrobić to, co już dawno powinien był zrobić, lecz nie mógł się zebrać na odwagę: poprosić ją o wybaczenie, powiedzieć jej, że zachował się jak ostatni drań, że nie zasłużyła na takie traktowanie.

Nathalie kręci głową, jakby nie chciała tego słuchać, jakby wygadywał głupstwa.

- Vincent, wprawdzie w pierwszej chwili psioczyłam na ciebie, ale teraz nie mam pretensji. Mam nadzieję, że mi wierzysz... Cieszę się, że tak wam wyszło z Berengere, naprawdę. Właśnie taka kobieta była ci potrzebna. Życzę wam szczęścia.

- Dziękuję - odpowiada Vincent zdławionym głosem.

Długą chwilę patrzą na siebie, siedząc każde w swoim fotelu. Oboje są zmęczeni tym bardzo długim dniem. Nathalie pięknie wygląda z długimi kręconymi włosami rozsypanymi na welurowym obiciu fotela. Uśmiecha się do niego tak miło jak niegdyś, lecz Vincent w jej oczach dostrzega pewność, której w nich dotąd nie było.

- Wiesz - odzywa się Nathalie - kiedy mnie rzuciłeś, zdałam sobie nagle sprawę, że przez te lata byłam kompletnie przytłoczona twoją osobowością. Zapomniałam przez to o

własnych upodobaniach i pragnieniach. Trzeba było tego zerwania, żebym wreszcie zaczęła samodzielnie oddychać.

Vincent chce coś powiedzieć, Nathalie jednak nie dopuszcza go do głosu.

- Nie, nie, nic nie mów. Nie robię ci wyrzutów. Po prostu wyjaśniam... W zasadzie dziwnie to zabrzmiało, ale koniec końców miałam szczęście, że mnie porzuciłeś. Nie mogło mnie spotkać nic lepszego. Chyba nigdy ci się nie odwdzięczę.

Milknie na chwilę, odchyła lekko głowę i kosmyki włosów ześlizgują się jej na ramiona. Teraz Nathalie jest daleko od Vincenta. Już do niego nie należy.

Zapatrzona w jakiś niewidoczny punkt na ścianie szepcze:

- Odkąd mnie zostawiłeś, mam wrażenie, że nareszcie stałam się kobietą...

Te słowa mrożą Vincenta i boleśnie smagają. Ona także na swój sposób go porzuciła, i to znacznie brutalniej niż on ją. Nie jest już cichym ptaszkiem, o którym często myślał w ostatnich miesiącach. Jest inną osobą - osobą, której nie potrafił w niej dostrzec.

Vincent jakby się budził z długiego snu, jakby wystarczyło jedno zdanie wypowiedziane cichym głosem, aby go przywołać do rzeczywistości. Nie powinno go tu być, w tym fotelu obok niej. Powinien być z żoną, z kobietą, którą kocha i którą sobie wybrał.

W parku rozlegają się pierwsze takty melodii otwierającej bal. Nathalie odwraca się do niego.

- Chyba lepiej, żebyś już poszedł, nie uważasz? - mówi z uśmiechem.

Vincent przygląda się jej przez moment, gdy Nathalie zbiera włosy na karku, odgarnia kosmyki spadające na czoło tak samo, jak robiła niegdyś, siedząc na łóżku. On także się uśmiecha.

- Masz rację, idę.

Po czym wstaje z fotela i rusza do drzwi.

DAMIEN

Zgodnie ze swoim zwyczajem zjawia się w kościele sporo przed czasem, aby się rozpatrzeć. Siada z tyłu i dyskretnie obserwuje gości. Wie, że będzie miał kłopot ze znalezieniem odpowiedniej sikorki, nie tak, jak bywało kiedy indziej. Na takich wytwornych, wypasionych ślubach spotyka się tylko dziewczyny wychowywane od najwcześniejszych lat do roli klaczy wystawowych: włos wyczesany, uzębienie bez skazy, trądzik powstrzymany, noga wydepilowana, jędrny tyłeczek, elegancka garsonka, krok królowej, wyfiokowane, wystrojone, wyedukowane - dostarczane gotowe do użycia.

Wszystko to pięknie ładnie, ale jego to nie urządza. Takich dziewczyn może mieć na pęczki, gdzie tylko się pojawi. Nie żeby się chwalił, po prostu z tą swoją buźką cherubinka nie ma problemów: dość mu się schylić i zbiera je jak dojrzałe jagody. A kiedy któraś okazuje obojętność, wystarczy dodać, że jest adwokatem, i sprawa załatwiona.

Ogląda sobie młode kobiety w jasnych garsonkach albo ciemnych sukniach. Oczywiście trafiają się niezbyt ładne, zauważa nawet zupełnie pozbawione urody, mimo to nie widzi żadnej, która by go satysfakcjonowała: szuka bowiem brzyduli. Nie byle jakiej dziewczyny, nie dziewczyny pozbawionej uroku, tylko brzyduli, takiej prawdziwej.

A brzydula jest mniej, niżby się wydawało. Na dodatek w tym środowisku to praktycznie mission: impossible - albo już zostały poddane poprawkom („Zobaczycie, Anne - Laure jest nie ta sama. Wprost rozkwitła od operacji”), albo zdążyły wstąpić do jakiegoś zakonu („Z początku było nam trudno, ale wybrała swoją drogę... Zawsze biło od niej jakieś wewnętrzne światło”). Na pewno odgrywają tu rolę czynniki fizjologiczne: brzydota sprzyja zapałowi religijnemu. Dostyc to zagadkowe, lecz udowodnione.

Dziś ani śladu brzyduli. W końcu musiało do tego dojść. Tyle czasu przecież to trwa. Pięć lat. Trzydzieści ślubów. Dwadzieścia trzy brzydule i siedem starych babsztyli. Porządnie wyprzedził Yanna. Jasne, że jest zadowolony z wygrania w cuglach zakładu, byłoby mu jednak żal, gdyby zabawa miała tak się skończyć: z braku zdobyczy. Cholera.

Jest tym mocniej zawiedziony, że dotąd zawsze szło jak z płatką: kiedy upatrzył sobie zdobycz, dziecinnie łatwo było ją omotać i zamknąć w sieci. Reguły zakładu mówią jasno: trzeba dziewczynę poderwać, nie ma obowiązku z nią spać, chyba że się chce. No ale bez przesady. Do spania są klaczki wystawowe, które nauczono dobrych manier i rzadko na tym polu się opierają. Przecież on też ma swoją dumę.

Z młodymi brzydulami i nawet ładnymi staruchami poderwanie wystarczy. Damien udowadnia w ten sposób, że mógłby się z taką przespać. Właściwie to zupełnie tak, jakby się faktycznie przespał, tylko nie musi się narażać na niesmak.

Ustalili to z Yannem już na samym początku. Poderwanie dziewczyny oznacza właśnie doprowadzenie do sytuacji, w której wiadomo, że dałaby zrobić ze sobą wszystko, gdyby się posunąć dalej. A skąd wiadomo, że tak jest? Proste: dziewczyna musi się zgodzić iść z tobą w jakieś ustronne miejsce, z dala od przyjęcia, w cichy zakątek jakby specjalnie na taką okoliczność wyszykowany; musi pozwolić na całowanie, macanki po piersiach, tyłku czy nawet między nogami. Niekoniecznie trzeba dotykać gołej skóry. Przez ubranie też się liczy. A dziewczyny napalają się tym łatwiej, że takich macanek normalnie nie zaznają.

Całowanie jest bezwzględnie wymagane. Czasem dziewczyna jest taka szpetna, że naprawdę trudno wytrzymać. Ale Damien musi przez to przejść: takie są zasady. Dura lex, sed lex. Poza tym powtarza sobie zawsze, cytując klasyka:

„Niesłuszna tryumfować, prace nie podjąwszy". Gdyby darował sobie całowanie, zabawie by zabrakło pieprzyka.

Dwadzieścia trzy młode brzydule i siedem starych babsztyli w ciągu pięciu lat tylko na ślubach. Jest świadom, że ten i ów mógłby się pokusić o podanie w wątpliwość realnej wielkości jego dokonań. Znaczyłoby to, że nie bierze pod uwagę Damienowej urodziwej twarzy cherubina i potężnej frustracji, jaką noszą w sobie te biedne kobitki. I tego, że na weselu wszystko - absolutnie wszystko - może się zdarzyć. Na weselu babeczki zachowują się inaczej niż zwykle, to niezbity fakt. Są zdolne do rzeczy, które normalnie nawet by im nie przyszły do głowy. Dlaczego? Właściwie Damien nie ma pojęcia. Wykorzystuje to, nie zastanawiając się dlaczego. Może kiedy taka brzydula patrzy, jak dwoje ludzi wiąże się ze sobą na całe życie, psychicznie staje się gotowa ulec każdemu, kto ją teraz zaraz poderwie? Ślub działa na nią oszałamiająco, pada jej na mózg. Ciągle ma przecież nadzieję, ale od patrzenia w lustro w końcu zaczęła wątpić, że ma prawo do szczęścia jak inni. Toteż gdy przychodzi dzień ślubu - promienne twarze, szerokie uśmiechy, namiętne pocałunki, miłość, radość i marsz weselny - gotowa jest bez gadania rzucić się w objęcia przemiłego chłopaka, który przez cały wieczór sympatycznie z nią gawędził i - nie do wiary! - uważa, że jest uroczą dziewczyną. Po głowie jej pewnie lata, że coś to jest podejrzane, lecz bardzo chce wierzyć w cud. A że wypłała trochę dla kurażu, takie myśli same gdzieś znikają.

Z ładnymi babsztylami jest jeszcze łatwiej. Wiedzą, że nie zostało im wiele czasu, więc nie za bardzo się zastanawiają. I w odróżnieniu od brzydul, które patrzą na ciebie, jakbyś był archaniołem Michałem, ładne babsztyle uważają, że im się to należy. Nie czują nieufności. Przez długi czas miały to na wyciągnięcie ręki. Dlatego jeśli znowu im się zdarza, wyobrażają sobie, że działa ich urok, biedaczki. Zgrywają się

na „zobaczysz, co znaczy robić to z kobietą doświadczoną”. Nie zdają sobie sprawy, że w naszych czasach dwudziestopięcioletnia dziewczyna już jest doświadczona, a skóra na rękach jej nie obwisa.

Damien dobrze wie, że zabawa, którą sobie wymyślili z Yannem, może się wydawać grubiańska, cyniczna i żeby już wszystko powiedzieć, po prostu wstrętne. Osoba postronna mogłaby go wziąć za łajdaka, w rzeczywistości jednak wcale tak nie jest. On zwyczajnie chce tym kobitkom ofiarować miłe wspomnienie.

Od dawna ma dopracowany scenariusz. Podczas przyjęcia udziela się mocno: zajmuje się wyłącznie swoją zdobyczą, rozśmiesza ją, prosi do tańca. Czekając do pierwszej, drugiej po północy i proponuje romantyczny spacer pod drzewami w głębi parku. Wtedy wystarczy parę banalnych zdanków i naukowo wyliczona bliskość. Brzydula często jest jak sparaliżowana, trzeba się do niej przysuwać centymetr po centymetrze, żeby jej nie wystraszyć. Starsze przeciwnie, są bardzo przedsiębiorcze, Damien musi więc bardzo uważać, aby sprawy nie zaszły za daleko...

Potem przychodzi kolej na to, co Damien nazywa inspekcją: namiętnie całuje z zamkniętymi oczami, płomiennie ściska, uważając, by nie zmiażdżyć. To ma być przyjemne dla zdobyczy. Długo gładzi jej pośladki - zsuwając dłonie na uda, jeśli panienka jest szczupła, albo miętosząc tłuszcz, jeśli jest przy kości - następnie posuwa się w górę wzdłuż pleców, ramion i schodzi do piersi. Tam zatrzymuje się dłużej lub krócej, zależnie od rozległości przestrzeni do zbadania. Przesuwa potem wolno rękę na podbrzusze i między nogi, czubkami palców delikatnie przez ubranie pieści krocze. U starych lubi też przetestować jędrność skóry na szyi, obsypując ją drobnymi pocałunkami. Czasami odnosi wrażenie, że pod jego ustami skóra się rozpuszcza.

Każda dosłownie osuwa mu się w ramionach, jęczy, dyszy, rozplywa się. Powtarzają: „O Boże!” To nawet dosyć wzruszające. Parę razy zdarzyło mu się, że omal sam się nie zapomniał. Posmakować piersi, rękami sięgnąć głębiej, delikatnie położyć dziewczynę i szybko wziąć. Jej zrobić dobrze, sobie ulżyć. Zawsze jednak potrafił się pohamować. Złościłby się na siebie, gdyby posunął się dalej. To by było wstrętne. W końcu ma swoją dumę, do cholery.

Po skończeniu inspekcji może powiedzieć, że sprawa załatwiona: trzyma panienkę w garści, i to mocno. Wtedy przychodzi pora na jego tajną broń, genialny numer, z którego naprawdę jest dumny. Dziewczyna stoi rozdygotana, napalona, ledwie przytomna, a on nagle odrywa się od niej. Łapie się rękami za głowę, kręci nią z rozpaczą na twarzy, mówiąc:

- Nie! Nie mogę!... Wybacz, nie mogę! Każda w tej chwili wpada w panikę, bo nic z tego nie rozumie.

- Co się dzieje? - pyta. - Zrobiłam coś nie tak?

- Nie, nie! - on na to. - Nawet tak nie myśl.

- Odczekuje chwilę krótszą albo dłuższą i dodaje:

- Wybacz. Zachowałem się naprawdę jak łajdak.

A dziewczyna na skraju hysterii:

- Ale co się stało? Powiedz!

Wtedy Damien się odwraca. Udaje, że szuka słów jak ktoś, kto przymierza się do wyznań. Mówkę ma doszlifowaną, wykalibrowaną na cycuś: od pewnego czasu ma kogoś. To świeża sprawa. Mało kto jeszcze wie. I dodaje jakby nigdy nic:

- Chyba dlatego ci powiedziano, że jestem kawalerem.

Dziewczynę ma cudowną. To coś na poważnie. Nie rozumie, co mu dzisiaj strzeliło do głowy. Pierwszy raz coś takiego zrobił. Ma poczucie winy.

- Nie mogę się posunąć dalej. Już teraz mnie to dręczy. Bardzo cię przepraszam...

Kobitka patrzy na niego, jakby ją kto obuchem zdzielił. Każda jest za bardzo osłupiała, żeby się rozplakać albo wściec. Czasem się domyślają, że Damien struga wariata, ale gra swoją rolę doskonale, więc wolą we wszystko wierzyć. A jeśli któraś próbuje wykonać jakiś czulszy gest, Damien się odsuwa: źle postąpił, czuje się zbyt winny, nie może pozwolić, żeby go jeszcze na dodatek pocieszała.

Wtedy babeczce naraz robi się zimno, czuje się bardzo zmęczona. A on ze smutkiem mówi:

- Wolałbym zostać teraz sam...

Kiedy dziewczyna już ma odejść, przytrzymuje ją za rękę i szepcze z przejęciem:

- Dziwne, wiem, że źle postąpiłem, mimo to nie żałuję niczego, co między nami zaszło.

Najczęściej nie doczeka się odpowiedzi. Czasami któraś szepnie:

- Ja też.

I wraca na przyjęcie na uginających się lekko nogach.

A on zostaje na trochę, żeby się pozbierać. Zapala papierosa. Z zadowoleniem poklepuje się po kieszeni marynarki, w której ma płasciutką cyfróweczkę. Wszystko udokumentowane: ze dwa, trzy zdjęcia okazji upolowanego tego wieczoru, żeby Yann na własne oczy mógł zobaczyć.

Widząc, jak dziewczyna sztywno się oddala, widząc, jak drżą jej ramiona, co świadczy, że płacze, Damien czasami jest na siebie zły. Zawsze to nieprzyjemnie doprowadzić kobietę do takiego stanu. Mimo to jest pewien, że kiedy jedna czy druga otrząśnie się z rozczarowania, pozostanie jej w pamięci wzruszające wspomnienie tego, do czego mogło między nimi dojść. Jest pewien, że będzie to w jej pamięci chwila zawsze wyjątkowa i bardzo romantyczna. Jest pewien, że będzie

myślała o nim jako o porządnym facecie, którego trochę poniosło, ale w końcu się opanował. I pociechą napawa go wyobrażanie sobie, jaką piękną rolę już zawsze będzie odgrywał w jej wspomnieniach.

Na ogół więcej już dziewczyny nie ogląda. Kiedy on wraca na przyjęcie, jej już nie ma. Biedulka uciekła, żeby ukryć swój zawód albo łzy. A on wygrał zakład. Poderwana, rozgrzana, kasa na stół! Po robocie może sobie wreszcie pofolgować. O trzeciej nad ranem starzy już śpią, a dobrze wychowane panienki są totalnie wyluzowane. Wtedy Damien ma pełne pole do popisu. Na takich weselach bogaczy naprawdę nie brakuje ślicznych młodych i wcale nie świętoszkowatych lasek. I tym razem Damien idzie na całość, do samego końca.

W tej chwili siedzi w kościele w ostatnim rzędzie, zastanawiając się, co tutaj robi. Oprócz panny młodej nie zna nikogo. Nawet ją zna słabo. Raptem ze dwa, trzy razy poszli na drinka. Był naprawdę zdziwiony, że go zaprosiła na swój ślub. Ale odmowa nie wchodziła w grę, przecież właśnie tego szuka: wesel, których uczestnicy w ogóle go nie znają, może zatem swobodnie polować. Oczywiście gdyby wiedział, że ani jedna brzydula nie pojawi się na horyzoncie, znalazłby jakiś pretekst...

Ksiądz jest jakiś posepny, blady, aż strach na niego patrzeć, głos mu się dziwnie załamuje. W powietrzu wisi coś zagadkowego, jakby ponury nieuchwytny pogłos, który się miesza z głosem kapłana.

Nagle Damiena ogarnia przemożne pragnienie, by wyjść z kościoła, stanąć w świetle słońca. Spaceruje w tę i we w tę pod platanami, powtarzając sobie: uspokój się! Jeszcze nie wszystko stracone. Wyrwiesz jakąś starszą laskę... Chociaż wmawia sobie, że tak będzie, wcale nie jest taki przekonany:

na tego rodzaju weselach starszą laskę równie trudno znaleźć jak prawdziwą brzydulę. Są za szykowne. Za konserwatywne.

Damien wzdycha zapatrzony w szczyt dzwonnicy. Jasne, że czuje zawód, ale tak łatwo się nie podda. Widział tu całe stada ślicznych panienek, a wśród nich na pewno znajdzie się i taka, która pozwoli, aby tej nocy wskoczył jej do łóżka na zdrowe dymancko.

I w tym miejscu jego refleksji zdarza się oto cud. Z piskiem opon przed kościół zajezdza austin mini i zatrzymuje się parę metrów od niego. Z auta wyłania się brzydula ekstraklasa, aż Damien ma ochotę rzucić się na kolana i dziękować niebiosom, że odpowiedziały na jego prośbę. Młoda kobieta z trudem gramoli się z samochodu. Jest spocona jak mysz i przewraca przerażonymi małymi oczkami, najwyraźniej spanikowana, że się spóźniła. Ma na sobie wszystko, co powinna mieć dziewczyna z jej sfery: śliwkową garsonkę i słomkowy kapelusz z rondem w tym samym kolorze ozdobiony jasnozieloną tiulową kokardą, eleganckie sandaalki, ładną torebkę... Tyle że dopracowany strój nie umniejsza jej uderzającej brzydoty. Co z jej twarzą jest nie tak? Jakby była asymetryczna. Proporcje są zachwiane. I to tak mocno, że najwyraźniej wszystko jest oryginalne. Nic nie było poprawiane. Zniechęciła nawet chirurga plastycznego. Prawdziwy luksusowy kaszalot.

Dziewczyna biegnie do kościoła, ciężko dysząc. Jest niewysoka, pulchna. Podnosi rękę, by przytrzymać kapelusz na głowie, i wtedy Damien widzi, jak faluje obwisła skóra na ramieniu. Dziewczyna znika w środku. Damien się uśmiecha, wpycha ręce w kieszenie i rusza do kościoła krokiem zdobywcy.

Spodziewał się, że zawstydzona panienska przy siądzie w ostatnim rzędzie. Tymczasem poszła nawą na przód, do bliskiej rodziny. Aj, niedobrze: nie ma mowy o dobieraniu się

do najbliższych nowożeńców. Tak nakazują zasady ostrożności. Dziewczyna jest taka brzydka, że nie mieści mu się w głowie, by była siostrą Berengere... aczkolwiek często można się zdziwić, jak geny się rozkładają w jednej rodzinie. Damien płonie z niecierpliwości, nie odrywając wzroku od dużej zielonej kokardy, która chwieje się w trzecim rzędzie na kapeluszu śliwkowej barwy.

Wychodzi z kościoła po komunii, czując, że nie wytrzyma dłużej w tym miejscu. Od pierwszej chwili ten ksiądz źle na niego działa. Coś z nim jest nie tak, to jasne. Poza tym Damien chce się ustawić na strategicznej pozycji, by obserwować swoją wyśnioną panienkę.

Kiedy młoda para staje w drzwiach kościoła, na dziedzińcu już się roi od fotografów. W ciągu kilku minut gromadzi się tam istna rzesza ludzi.

Kątem oka Damien zauważa Miss Szkaradę, która przeciska się przez tłum, po czym kolebie się elegancko aż do swojego austina mini. Udaje mu się pstryknąć jej zdjęcie akurat w chwili, kiedy dziewczyna wsiada do samochodu. Podziwia rezultat na wyświetlaczu cyfrowki. Zoom pozwala uzyskać doskonałej jakości zdjęcie nawet z oddalenia. Świetnie. Miss Szkarada przypomina wystrojoną tłustą białą gęś. Nie została na sesję fotograficzną z najbliższą rodziną. Ha, sprawy układają się coraz lepiej. Skarbie, szykuj się, niedługo trafisz do garnka.

Aby ochłonać nieco z emocji, Damien potrzebuje chwili wytchnienia. Zanim pójdzie na przyjęcie, uda się do hotelu, gdzie zarezerwował pokój, i weźmie prysznic, włoży świeżą koszulę. Nie jest maniakałnym czyściochem, lubi jednak wyglądać zawsze nienagannie, toteż często przebiera się kilka razy na dzień. W drodze do hotelu kupuje paczkę papierosów w miejscowej trafice.

Kiedy zjawia się w młynie, przyjęcie trwa w najlepsze. Jest wykąpany i przebrany, pewny siebie, gotów przystąpić do ataku.

Berengere wychodzi mu na spotkanie i z promiennym uśmiechem mówi:

- Tak się cieszę, że przyjechałeś!

- Ja też bardzo się cieszę. Pięknie wyglądasz.

- Dziękuję. - Berengere bierze go za rękę. - Chodź, to cię przedstawię. - I podprowadza go do dwóch młodych kobiet, które rozmawiają z ozywieniem. - Damien, poznaj moją siostrę Marie, a to Agnes, siostra Vincenta... Dziewczyny, to Damien, błyskotliwy adwokat.

Zabrzmiało to tak, jakby reklamowała jakiś wyjątkowo apetyczny produkt. Damien czuje się tym bardziej skrepowany, że obydwie kobiety mierzą go wzrokiem, nie okazując specjalnego zainteresowania. Witają się po prostu i miło uśmiechają. Przez chwilę wymieniają jakieś banalne zdania, po czym zdrajczyni Berengere ucieka do innych gości, zostawiając ich we troje. Na moment zapada kłopotliwa cisza. Damien odnosi nieprzyjemne wrażenie, że jest w tym towarzystwie zbędny. Uśmiecha się.

- No tak... - mówi. - Przyniosę sobie kieliszek z bufetu. Może panie czegoś sobie życzą?

- Ja dziękuję - odpowiada Marie, podnosząc wciąż pełny kieliszek szampana.

- Ja też - mówi Agnes, po czym dodaje: - Coś czuję, że tak czy owak będziemy mieli dużo czasu na rozmowę przy stole.

Pobrzmiwa w jej głosie jakaś kpina, która Damiena peszy. Spozstrzega, że Marie leciutko się uśmiecha.

- A... to dobrze, świetnie... cieszę się.

Oddala się, nie bardzo rozumiejąc, o co tu biega.

Kiedy zmierza w kierunku bufetu, gdzieś w głębi umysłu kołacze mu myśl, że dziewczyny chyba go wzięły za półgłówka. Ta Agnes... coś w niej mu nie pasuje. Siostra Berengere wygląda na sympatyczniejszą. Ładna buzia. Oryginalny kapelusz. Pięć kilo mniej i byłaby z niej niezła laska.

W namiocie zerka na plan rozmieszczenia gości przy stołach. Faktycznie, przy kolacji będzie siedział w towarzystwie tych dwóch panienek. Zauważa również nazwiska dwóch kolegów po fachu zaproszonych na ślub. Długą chwilę medytuje nad wykazem wypisanym elegancką kursywą na pięknym kremowym papierze. Jak się domyśliły, że będą siedzieli razem? To pachnie znową...

I naraz spływa na niego olśnienie. No pewnie! Jasne jak słońce! Że też wcześniej na to nie wpadł! Ze zdziwieniem stwierdza, że śmieje się sam do siebie. A tyle się nazastanawiał, dlaczego został zaproszony! Powinien był zgadnąć. Kochana Berengere postanowiła się zabawić w swatkę: próbuje mu naraić swoją siostrę kaszalota. Damien się uśmiecha. W gruncie rzeczy jest mile połączony. Odgarnia kosmyk włosów, który opadł mu na czoło, upija łyżeczkę szampana i z lampką w ręku wyrusza na poszukiwanie swojej brzyduli.

Przystaje na chwilę z kolegami prawnikami, chociaż wcale nie ma na to ochoty. Ponieważ jednak przez całą kolację będzie siedział z nimi przy stole, nie może ich teraz obchodzić z daleka. Ale stara się nie przeciągać rozmowy dłużej niż to konieczne. Nie chce się zwłaszcza wdawać w zbędne uprzejmości. Pragnie zachować pełną swobodę ruchów, kiedy nadarzy się okazja, by przejść do działania. Myśli tylko o swojej zdobyczy.

Dwie godziny później, gdy nadchodzi pora kolacji, Damien jest lekko wkurzony i zawiedziony: mimo wszelkich

wysiłeków nie zdołał do niej podejść. Obserwował ją bez ustanku. Ani przez chwilę nie była sama. Przez cały czas z kimś rozmawiała, a ponieważ on nie zna tu nikogo, nie miał jak przyłączyć się do towarzystwa. Mógłby zapytać Berengere, kim jest ta dziewczyna, i tak to zaaranżować, żeby zostali sobie przedstawieni, lecz woli nie mieszać Berengere do swoich spraw. Na pewno by się zdziwiła, że interesuje go ta brzydula pierwszego sortu.

Tak jak przypuszczał, przy stole siedzą wyłącznie single: siostry nowożeńców, jego koledzy adwokaci, jeszcze jacyś dwaj faceci i... jedno miejsce zostało puste. Tak zatem manewruje, by wolne krzesło znalazło się między nim a mecenasem Thierryem Courteux: nieszczęśliwie mu zależy na spędzeniu całego wieczoru obok niego, poza tym nie chciałby, aby biedak cierpiał z powodu porównania z nim. Mecenas Courteux to adwokat słynący zarówno z błyskotliwych mów obrończych, jak i z niewiarygodnej szpetoty. Elementarne poczucie miłosierdzia nakazuje, aby śliczna buźka Damiena nie znalazła się za blisko facjaty tego quasimoda palestry.

W dość smętnym nastroju Damien szykuje się do długiego wieczoru przy kolacji, kiedy zdarza się drugi tego dnia cud: fenomenalna brzydula, która od paru godzin zajmuje jego myśli, dopada biegiem stołu i siada na wolnym krześle, zadyszana przepraszając za spóźnienie. To znak od losu. Damien postanawia kuć żelazo póki gorące. Nachyla się do niej i mówi cicho:

- Najwyraźniej ma to pani we krwi.

- Co pan ma na myśli? - dziwi się dziewczyna, mierzając go wzrokiem.

- Ha, ha!... Widziałem przedtem, jak przed kościół zajechała pani jak burza austinem mini.

Dziewczyna czerwieni się zmieszana. Są kobiety, którym rumieniec dodaje uroku. Jej nie. Odchrząkuje.

- Chyba się jeszcze nie znamy. Jestem Benedicte, kuzynka Vincenta.

- A ja Damien, kolega z pracy i przyjaciel Berengere - odpowiada, robiąc słodkie oczy i posyłając jej uwodzicielski uśmiech.

Liczył, że ściągnie na siebie jej uwagę, ale Benedicte już wyjaśnia wszystkim przy stole, dlaczego się spóźniła do kościoła: otóż złapała gumę na drodze krajowej trzydzieści kilometrów stąd. Sama oczywiście nie jest w stanie zmienić koła, a już w weselnej kreacji to nie wchodziło w grę. Podjechała więc do najbliższego warsztatu, walącego się budynku przy drodze. Dłuższą chwilę musiała czekać koło dystrybutora z paliwem na mechanika. Bardzo się tam wytwornie prezentowała w kapeluszu, delikatnych sandałkach i z przebitą oponą! A facetowi się nie spieszyło. Ponieważ jednak bezwzględnie potrzebowała pomocy, uzbroiła się w cierpliwość, a po zmianie koła bez mrugnięcia uregulowała należność: sto trzydzieści euro! Rozbój w biały dzień! - zakończyła.

Wszyscy wydają się zaskoczeni jej gadatliwością, choć trzeba przyznać, że kaszalot ma niejaki talent gawędziarski. Damien to właśnie zamierza jej szepnąć na ucho. Wie z doświadczenia: zgrabny komplement cicho wyszeptany pozwala na bliższy kontakt fizyczny i wstęp do pewnej intymności. Ale gdy już ma wykonać swój manewr strategiczny, ubiega go mecenas Courteux.

- Byłaby pani świetnym adwokatem! Jest pani niebywale elokwentna i ma dar skupiania uwagi! - wykrzykuje z zapalem quasimodo, który z podziwu naprawdę doznał przeobrażenia.

Panienka chichocze zadowolona, a Damien już wie, że od tej chwili nie ma u niej żadnych szans. Wystarczająco dobrze zna etapy uwodzenia, by wiedzieć, że między tymi dwojgiem zaczęła się wielka gra. Bez wątpienia jedno w drugim

rozpoznało tragiczne, acz pocieszające wcielenie własnej brzydoty. Są dla siebie stworzeni. To rzuca się w oczy, jeśli można tak powiedzieć...

Dla Damiana łowy się skończyły. Powściąga gniew i hamuje się, by nie zerwać się na nogi i nie odejść od stołu. Przez krótką chwilę widzi swoje odbicie w posrebrzonym ostrzu swojego noża. Co się dzisiaj dzieje? Jakim cudem tak bardzo mógł się odwrócić porządek rzeczy?

Dalej kolacja jest śmiertelnie nudna. Dwie panienki nawet się nie starają włączyć do ogólnej rozmowy. Najwyraźniej mają sobie wiele do powiedzenia i ani myślą się ceregielić z uprzejmością na poziomie choćby elementarnym. Siostra Berengere do kolacji siadła w kapeluszu. Dziwne, przedtem, podczas koktajlu, kapelusz ten był w jego oczach oryginalny i elegancki, teraz, gdy już od przeszło godziny ma go przed oczami, zdecydowanie mniej mu się podoba. Ta gęstwa piór, które się chwieją przy najlżejszym poruszeniu głową, przywodzi mu na myśl pole roślin transgenicznych owiewanych wiatrem. Wygląda to groteskowo, jest irytujące. Usiłuje nie patrzeć na natrętny kapelusz, lecz wzrok bez ustanku umyka mu w tym kierunku. Czy ten koszmar kiedyś się skończy?

Po deserze, kawie i otwarciu balu może się wreszcie zwinąć. Postanawia przejść się po parku dla uspokojenia. W życiu nie spędził tak parszywego wieczoru. Tym trudniej mu zapanować nad wściekłością, że siłą rzeczy i z własnego wyboru oglądał triumf rywala z honorowego niejako miejsca. Mecenas Courteux, jak na adwokata przystało, po mistrzowsku prowadził całą operację. Kurdupłowaty pasztet złapie się bez cienia oporu. Na domiar wszystkiego kobitka wcale nie jest głupia, przeciwnie, wygląda nawet na dość bystrą. Damien na pewno spędziłby z nią fajne chwile. Co jeszcze pogłębia jego rozczarowanie. Oczywiście jest

wkurzony ze względu na zakład. Aczkolwiek w sumie najbardziej ucierpiała jego miłość własna.

W tej chwili marzy o jednym: ewakuować się do hotelu, wziąć prysznic i paść do łóżka. Jakiś czas krąży po parku, w końcu zdecydowanie rusza w kierunku parkingu. Przepelnia go złość, ma ochotę coś rozbić lub skopać: stos talerzy, ohydny kapelusz z piórami, łeb tego obmierzłego Courteux.

Wyłączany alarm w samochodzie odzywa się krótko, przenikliwie pośród nocy, a Damien wzdryga się nerwowo. I na moment zastyga zdumiony: podskoczyłem, słysząc alarm własnej fury! Niedobrze, oj, niedobrze...

Czuje się nagle jak ostatni kretyn, kiedy tak stoi sam na parkingu przy swoim otwartym samochodzie. Nie może przecież odjechać bez słowa. Musi się pożegnać. Na kogo by wyszedł, gdyby teraz się stąd zabrał? Co prawda przeżył trudne chwile, jest też zawiedziony, że sprzątnięto mu sprzed nosa brzydulę, której kapitulacja zapowiadała się tak miło, ale takie rzeczy się zdarzają. A on nie jest z tych, co to pozwalają, by emocje brały górę. Nie jest z tych, którzy wychodzą z przyjęcia i nie mogą powiedzieć, że spędzili wieczór bardzo przyjemnie pod takim czy innym względem. Myśli o wszystkich tych laskach, które po południu defilowały przed nim w kościele. Któraś z nich na pewno pomoże mu zapomnieć o przeżytych rozczarowaniach. A on nie pozwoli, by zawładnął nim defetyzm tylko dlatego, że jakaś szkarada spotkała swoje alter ego w ciepły letni wieczór!

Już mu lepiej. Postanawia zrzucić marynarkę i zdjąć krawat, aby to uczcić. Po czym wciska klawisz na kluczu, by zamknąć samochód, i tym razem przenikliwy dźwięk włączanego alarmu wywołuje w nim tylko uśmiech zadowolenia. Lubi maszyny: bez dyskusji robią, co im się każe; tak są zaprogramowane.

Po powrocie do namiotu obiega wzrokiem parkiet, taksując wszystkie tyłeczki, które rytmicznie się na nim poruszają. Dziś życzy sobie coś ekstra, coś wyjątkowego. Tego mu trzeba, aby się otrząsnął po porażce.

O proszę, ten jest niezły, opięty czarną krótką sukienką kręci się apetycznie! Damiana przebiega dreszcz, w jednej chwili odżywa. Nie odrywa oczu od zgrabnej dupci. W pewnej chwili osóbką się odwraca i po raz trzeci tego dnia zdarza się cud: tancerka o ślicznie wymodelowanym tyłeczku jest kobietą w poważnym już wieku w sukience z przodu mocno wydekoltowanej, urodziwym babsztylem dojrzałym w sam raz. Sprawy ruszają z miejsca. Z uśmiechem Damien idzie na parkiet, by do niej dołączyć.

Laska zaraz go zauważa, czym wcale nie jest zdziwiony: na ogół rzuca się w oczy, gdziekolwiek jest. Tańczą naprzeciw siebie. Obserwują się. Po chwili Damien słyszy:

- Wygląda pan jak Bernard - Henri Levy.

Z trudem powstrzymuje drgnienie. Do różnych sław już go porównywano - do Arthura Rimbauda, Antonina Artauda - lecz do Levy'ego pierwszy raz! Jeśli ona sobie wyobraża, że coś takiego powiedziane nieznanemu może być komplementem, to ciężka z niej kretyńka. Ale co tam: nie przyszedł tu szukać inteligentnej laski; przyszedł, żeby wygrać zakład. Bernard - Henri Levy... hm, ostatecznie to może być dobry sposób na nawiązanie znajomości. Przybiera podejrzliwą minę.

- Proszę uściślić i uspokoić mnie. Wyglądam jak Bernard - Henri Levy dzisiaj czy trzydzieści lat temu?

Kobieta parska śmiechem.

- I dzisiaj, i kiedyś. Chciałam tylko dać panu do zrozumienia, że ma pan rozpięte trzy guziki u koszuli...

Koniec końców może nie jest taka głupia.

Patrzy na niego z miłym, lekko kpiącym uśmiechem, cały czas poruszając się w rytm muzyki. Damien ma ją na wprost, toteż dokonuje szczegółowych oględzin. Nie jest już młoda, świetnie się jednak trzyma, to musi przyznać. Z uwagą wpatruje się w jej włosy u samej nasady. Ani milimetra ciemnych odrostów. Naturalna blondynka. To zjawisko na tyle rzadkie, że warto odnotowania. Jasne brwi zdają się to zresztą potwierdzać. Śliczny tyłeczek, jędrny, i piersi sterczące tak doskonale, aż rodzi się pytanie, czy nie przyłożył do tego ręki chirurg plastyczny.

Damien ocenia ją na czterdziestkę z hakiem, widać jednak, że kobieta robi wszystko, by wyglądać na młodszą i przyciągać spojrzenia. Mimo że w zasadzie nie jest wulgarna, za dużo w niej prowokującego uroku, by miała prawdziwą klasę. Czy może ją uznać za „pięknego babsztyla”? Stwierdza, że tak.

Kiedy zaczyna się kolejny rockowy kawałek, Damien przejmuje inicjatywę - ujmuje „babsztyla” za rękę. Nie wyczuwa wahania, kobieta wydaje się wręcz zadowolona. Taniec z nią to czysta przyjemność: wyczuwa każdy kolejny ruch i lekko wiruje w jego ramionach. Przypomina to idealnie zgrane ewolucje dwóch dopasowanych ciał. Kobitka śmieje się zadowolona, ilekroć dobrze im wychodzi jakaś bardziej skomplikowana figura. Kiedy rockowa melodia cichnie, mówi:

- Wie pan? Już myślałam, że nikt mnie dzisiaj nie poprosi do tańca.

To dobra chwila, by zadać strategiczne pytanie.

- Jak to? Nie ma pani swojego rycerza?

- Och, mam! Tylko że mój rycerz czuje się troszkę zmęczony...

Proszę, proszę. No to teraz kolejne równie strategiczne pytanko:

- A gdzie się podziewa ów mężny rycerz?

Kobieta odwraca głowę i wskazuje stół przy samym parkiecie. I marszczy brwi, co Damien zauważa. Widocznie jej towarzysza nie ma tam, gdzie powinien być. Szukając go, rozgląda się po sali. Naraz nieruchomieje. Niewątpliwie gdzieś go dojrzała. Wpatruje się w parę, która tańczy po drugiej stronie parkietu: elegancki, nieco przy kości mężczyzna oraz kobieta starsza od niej i o wiele mniej pociągająca. Przez kilka chwil Damienowy „babsztyl” stoi bez słowa.

- Czy coś się stało? - pyta w końcu Damien.

- Właściwie nie - odpowiada kobitka przez zęby. Przymrużonymi oczami obserwuje tańczącą parę. - Wygląda na to, że mój rycerz odzyskał wigor... przy damie godnej go w pełni! - rzuca z pogardą.

Damien widzi, że jest wściekła. Że z całych sił stara się nad sobą zapanować. Jeszcze przez parę sekund patrzy na tamtych, po czym odwraca się gwałtownie i staje twarzą do niego.

- Zupełnie nic się nie stało - oświadcza z uśmiechem.

Jest w tym uśmiechu jakaś dzikość. Damien nie bardzo wie, jak się układa między tą kobietą a jej mężem, ale tego wieczoru zdecydowanie nie najlepiej. Czuje, że ma w ręku kartę, którą może zagrać.

- Nie chciałaby pani zrobić sobie przerwy? - pyta. - Napijemy się, przejdziemy i za kwadrans wrócimy tańczyć.

„Kwadrans” ma uspić jej czujność. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, zdoła odciągnąć ją dalej, niżby przypuszczała. Przygląda mu się teraz przez chwilę z zatroskaną miną, po czym jakby się rozluźnia.

- Bardzo dobry pomysł - przytakuje.

W bufecie prosi o lampkę szampana, którą wypija duszkiem, i o drugą, którą zabiera, kiedy idą się przejść po parku.

- Wspaniały wieczór - zagaja Damien.

- Tak pan sądzi?

- Mówię o niebie: jest cudowne.

- A tak, faktycznie. Niebo dzisiaj spisało się na medal.

Chociaż tyle...

- Źle się pani bawi?

- Nie, tego bym nie powiedziała... Właściwie do kolacji wszystko szło dobrze.

- Ach, pani pewnie też miała przy stole towarzystwo... hm... trudne.

Na jej usta wypływa uśmiech.

- Owszem, było dosyć... trudne, jak pan to określił.

Śmieją się, stwierdziwszy, że oboje doświadczyli tego samego. Kobitka ma poczucie humoru. Przez co sprawa staje się jeszcze przyjemniejsza. Nie trać z oczu celu, nakazuje sobie Damien. Oszacuj ryzyko.

- Jest pani z rodziny Berengere? - pyta. I znowu słyszy cichy śmiech.

- Poniekąd...

- Bardzo tajemnicza odpowiedź!

- Powiedzmy, że tak, należę do rodziny. Do dalszej rodziny.

- Aha...

Bardzo dobrze. Nie jest blisko związana z Berengere. Będzie mógł iść na całość.

- A pan jest z rodziny Vincenta?

- Skądże! Jestem kolegą Berengere. Chyba mnie zaprosiła z tą myślą, że da mi szansę na spotkanie bratniej duszy...

- Słuszna kalkulacja. Wesele to świetna okazja, żeby spotkać ciekawych ludzi - przyznaje kobieta i patrzy mu w oczy, czekając na jego odpowiedź.

- A pewnie - przyznaje Damien z szerokim uśmiechem. - Czasem zupełnie nieoczekiwanie poznaje się kogoś ciekawego...

I otrzymuje w nagrodę kolejny uśmiech. Kobieta jest mile połączona. Damien nachyla się do niej i szepcze z szacunkiem:

- Muszę wyznać, że jest pani zachwycająca.

Babeczki lubią, żeby je uważać za „zachwycające”. Z tego komplementu Damien często korzysta: elegancki i pasuje do każdego wieku.

- Widzę, że straszny z pana pochlebca - zauważa „babsztyl” ze śmiechem.

- Jaki pochlebca?... Mówię szczerze: jest pani zachwycająca.

Na to ona wzrusza ramionami, jakby odganiała jakąś przykrą myśl, i stwierdza:

- Nieważne, czy pan tak myśli, czy nie. W każdym razie miło coś takiego usłyszeć. Bardzo by mi odpowiadało, gdyby tak o mnie mówiono.

- Więc powiem: jest pani zachwycająca. I jeszcze raz powtórzę bez żadnych podtekstów: jest pani zachwycająca.

Uśmiecha się w odpowiedzi i upija łyk szampana. Szkoda gadać, wszystkie są takie same. Każdej wystarczy jeden kieliszek za dużo, żeby zaraz przekroczyła granicę, zrobiła skok w bok. Później, kiedy to wspomina, staje się to jej usprawiedliwieniem: wypięłam, nie byłam sobą... Inaczej nigdy by się to nie zdarzyło!

Zagłębili się w park. Są teraz dość daleko od namiotu. Noc jest taka jasna, że Damien wyraźnie widzi kontur jej twarzy. Spogląda na nią i nie potrafi wymyślić, co by mógł jeszcze

powiedzieć. Na parkiecie można ją było z daleka wziąć za osobę w średnim wieku z tych, co to epatują zbyt jasnymi włosami, zbyt dużym dekoltem i pragną zbyt mocno ukryć, że przekroczyły czterdziestkę. Teraz jednak Damien musi przyznać, że to naprawdę pociągająca laska. Ubiera się jak dwudziestolatka, ale też ma ciało, którego dwudziestolatka mogłaby jej pozazdrościć. Damien przypatruje się jej twarzy, drobnym zmarszczkom, oczom, ustom, i stwierdza w duchu, że nieczęsto spotykał tak piękne kobiety. W gruncie rzeczy wcale nie skłamał: ona jest zachwycająca.

Wyczuwa, że nie jest taka jak inne, lecz przede wszystkim musi myśleć o zakładzie: byłby kompletnym idiotą, gdyby odpuścił teraz, kiedy ma ją przy sobie. I prawie trzyma. Wielkiego zła jej nie wyrządzi. Na pewno miała już niejednego.

- Co jest? Patrzy pan na mnie z dziwną miną...

Damien odchrząkuje.

- Zastanawiałem się, czy nie jest pani zimno. Odeszliśmy spory kawałek...

- Chce pan, żebyśmy wrócili?

- Nie, przeciwnie. Bardzo miło mi spacerować z panią.

W odpowiedzi kobieta uśmiecha się bez słowa i dalej idzie u jego boku. Jakby nigdy nic Damien zbacza na ścieżkę prowadzącą w krzaki. Z daleka słychać głuchy łoskot młyna. Damien uświadamia sobie naraz, że bardzo jej pragnie i przez to staje się niezręczny. Szuka, co by powiedzieć. Nie chce zadawać osobistych pytań, które pozwoliłyby mu się dowiedzieć za wiele. Woli, by pozostała obcą kobietą o pociągającym ciele, kobietą, z którą dobrze mu się tańczyło i teraz chętnie posunąłby się dalej, a nawet całkiem daleko.

Dociera do niego, że dzisiaj zakład był tylko pretekstem, aby zawrzeć z nią znajomość. Zwyczajnie ta laska mu się podoba. Nie ma w sobie nic z ładnego babsztyla. To po prostu

piękna kobieta i już. W głowie mu się kręci. Uświadamia sobie, że za dużo wypił, nie zdając sobie z tego sprawy.

Długo idą ścieżką, zagłębiając się coraz bardziej w las. Docierają do nich tylko strzępki muzyki zagłuszanej poskrzypywaniem koła łopatkowego, które obraca się w czarnej wodzie. Damien już nie myśli o zakładzie. Kieruje nim teraz wyłącznie pożądanie.

- Wie pan, że odkąd weszliśmy w tę gęstwinę, przestał pan się odzywać?

- Bo mnie pani onieśmiela - szepcze Damien, starając się, by zabrzmiało to uwodzicielsko.

Wie, że kobitki w tym wieku lubią przedsiębiorczych chłopców. Usiłuje zatem opanować onieśmielenie i zachowywać się jak donżuan, za którego się uważa. A ona niechybnie jest gotowa mu się oddać, w przeciwnym razie nie przyszłaby z nim aż tutaj. Damien naprawdę jej pragnie. Jednakże waha się. Chciałby ją bzyknąć, ale nie tak.

W pewnej chwili ociera się o niego. A może to on otarł się o nią? Ta idąca obok kobieta podsyca jego pożądanie. Damien czuje, że długo już nie wytrzyma. A niby czemu miałby się krępować? Babeczka na dzikuskę nie wygląda, a poza tym on przecież jej nie zmuszał do spacerów nocą po lesie.

Idą dalej ramię w ramię, bez słowa. W końcu ona się odzywa:

- Wypiłam, kieliszek pusty.

- Mój też.

- Czy to znaczy, że powinniśmy wracać? Niewiele tu widać.

Damien wyjmuje jej kieliszek z ręki i razem ze swoim stawia pod drzewem.

- Nie sądzi pani, że milutko wyglądają, gdy tak obok siebie stoją w świetle księżyca?

Kobieta nie odpowiada, tylko się śmieje, lekko drżąc. Damien nachyla się do niej, wskazując ścieżkę, która ginie w ciemności. Dotyka jej ramienia i szepcze:

- Bardzo bym chciał iść tam dalej z panią.

A ona ani drgnie. Damien czuje, że jest spięta. Znowu jej zatem dotyka. Wie z doświadczenia, że wszystkie uwielbiają, kiedy się ich dotyka delikatnie, ledwie wyczuwalnie, koniuszkami palców, uwielbiają, kiedy się rozpala w ich ciele drobne płomyki, nim buchnie ogień wraz z pocałunkiem. Przyciąga ją do siebie powoli, wystudiowanym gestem, czując, że ogarnia go niewiarygodne pożądanie. Pragnie jej, i to natychmiast. Obejmuje ją, przybliża twarz, szuka jej warg. Ona jednak zamiast unieść ku niemu głowę z rozchyłonymi ustami, nagle się odwraca.

- Co jest? - dopytuje Damien. - Coś źle zrobiłem?

Jego zdobycz milczy, wyczuwalnie drży, opiera się, waha na skraju przepaści. A to w nim tylko wzmagają się pożądanie. Obejmuje ją mocniej, sunie ręką po plecach w dół. Spokojnie, ślicznotko. Kobieta raptem odpycha go mocno, sama też się odsuwa, mierzy go wzrokiem. Damienowi serce zaczyna łomotać.

- Co się dzieje? Coś nie tak? I słyszy spokojną odpowiedź:

- Po prostu nie chcę iść dalej.

- Nie chce pani... - powtarza Damien z niedowierzaniem.

- Miałam ochotę tylko pogadać i przejść się kawałek. Ale tego nie chcę... Nie chcę i już.

Cały drżący z pożądania chwyta ją za rękę i krzyczy głosem, którego sam nie poznaje:

- Nie możesz mi tego zrobić!

- Proszę mnie puścić! - mówi kobieta i próbuje się wyswobodzić.

Damien jednak trzyma mocno.

- Zaczekaj, nie rozumiesz... Nie możemy tak się rozstać!
- Proszę mnie puścić! - powtarza kobieta i jej głos brzmi teraz lodowato.

Damien jeszcze mocniej zaciska palce. Pragnie jej. Bezwzględnie. Ale kiedy próbuje znowu ją objąć, obrywa mocny cios kolanem w podbrzusze. Osuwa się na ziemię.

- Oż kurwa!... Pogięło cię? - wrzeszczy, trzymając się oburącz za obolałe genitalia.

Słyszy jej krótki dźwięczny śmiech.

- Na pewno się pan pozbiera.

Przez kilka chwil jeszcze stoi nad nim bez ruchu, patrząc, jak się zwija z bólu. Po czym dodaje głosem dziwnie spokojnym:

- Mimo wszystko dziękuję za spacer. Tylko tego dzisiaj potrzebowałam.

I odwraca się do niego plecami. Odchodzi. Damien wrzeszczy za nią wściekły i zdesperowany:

- Suka! Zdzira!

W odpowiedzi nieznacznym gestem kobieta macha mu ręką na pożegnanie, nie oglądając się.

Szybko znika w ciemnościach. I Damien zostaje sam drżący z bólu i upokorzenia, wpatrzony w miejsce, gdzie jej postać zlała się z mrokiem nocy.

BERENGERE

Koło północy widzi, że babcia wstaje i wsparta na białej lasce zaczyna się przeciskać przez tłum tańczących. Wśród podrygujących postaci wydaje się jeszcze drobniejsza, bardziej niepewna i krucha. Berengere podchodzi i bierze ją pod rękę.

- Chcesz odpocząć, Maddy? Babcia odpowiada z posępną miną:

- Położę się już... Nigdy się tak dobrze nie bawiłam.

- Żartujesz?

- Jasne, że żartuję. - W jej chorych oczach błyska iskierka okrucieństwa. Starsza pani mruczy: - Ktoś wpadł na świetny pomysł, żeby mnie posadzić z jegomościem z tamtej rodziny, który przeszedł właśnie operację prostaty. Jeśli chcesz, mogę ci opisać zabieg ze szczegółami.

- Błagam, nie!... - jęczy Berengere.

- W każdym razie już wiem, czego się spodziewać, jeśli mnie też będą kiedyś operowali prostatę.

- Ale Maddy...

- Co? Ano tak, głuptas jestem! Przecież ja nie mam prostaty. Właściwie szkoda. Bez wątpienia ta rozmowa byłaby bardzo ciekawa, gdyby nas, kobiety, natura wyposażyła w prostatę!

Ostatnie słowa niemal wykrzyczała, na szczęście zagłuszyła je muzyka. Mimo wieku i późnej pory Maddy nie traci swojego zjadliwego czarnego poczucia humoru. Berengere zastanawia się jednak, czy starsza pani nie nadużyła przypadkiem szampana. .. Obejmuje ją i całuje w policzek blisko ucha.

- Naprawdę mi przykro... Z usadzaniem ludzi przy stołach nigdy się nie utrafi w dziesiątkę... Wolałabyś siedzieć z wujkiem Jeanem i ciocią Marie - Claire?

- O nie, na pewno nie!

Odpowiedź brzmi kategorycznie. Berengere powściąga uśmiech: nie spodziewała się innej. Delikatnie kieruje babcią na skraj parkietu.

- Strasznie żałuję, że nie bawiłaś się dobrze - zapewnia.

- Och, nie mów tak, skarbie. Bawiłam się świetnie. To bardzo udane wesele. Tylko ten bęcwał zepsuł mi kolację, gładząc o swojej prostacie. Nie miał litości dla ślepej starej kobiety.

W głowie Berengere natychmiast rodzi się myśl, że w tej chwili babcia, uszczypliwa i lekko wstawiona, naprawdę nie ma w sobie nic ze ślepej starej kobiety. Starsza pani macha białą laską.

- No cóż, sądzę, że jakoś to przeżyję... A teraz idę już spać. - I najwyraźniej zamierza kontynuować wędrówkę do swojego pokoju.

Nadbiega zadyszana ciocia Marie - Claire wbita w zbyt opięty kostium i tym swoim piskliwym, tak denerwującym głosem pyta:

- Dokąd mama się wybiera?

- Idę spać.

- Ale dlaczego mama sama odeszła od stołu?

- A cóż to? Mam jeszcze prosić o pozwolenie, żeby wstać od stołu?

- Och, niechże mama nie udaje, że nie rozumie! Chodzi mi o to, że prościej będzie odprowadzić mamę do pokoju.

Jej głos, drżący z oburzenia, zrobił się jeszcze bardziej piskliwy, aż Berengere z trudem się hamuje, by rękoma nie zasłonić uszu.

- A cóż was wszystkich napadło, że mnie traktujecie jak niedołązną staruszkę? Przecież trochę jeszcze widzę... w każdym razie dosyć, żeby zauważyć pewne rzeczy - dodaje Maddy znacząco.

- I bez problemu sama mogę się położyć spać.

Zerka na Berengere, odwraca się od córki i idzie dalej.

Marie - Claire szturcha siostrzenicę.

- Idź z nią. Ja nawet nie mam co próbować. Dzisiaj postanowiła robić mi na złość.

Im słabsza staje się Maddy i bardziej uzależniona od innych, tym trudniej znosi troskę o siebie. Jej dzieci mówią, że przez całe życie postępowała wedle swego widzimisię, zawsze była kapryśna i nieobliczalna. Upływ czasu niczego nie zmienił. Odkąd zaczęły się jej problemy ze zdrowiem, rodzina odbija sobie wszystkie minione lata. Każdy jej nadskakuje i koniecznie chce ją chronić, czego babcia nie może znieść. I gniewnie odtrąca wszelką pomoc. Często doprowadza do łez ciocię Isabelle i ciocię Marie - Claire.

Ciocia Marie - Claire jest zmęczona wiecznym sztorcowaniem przez matkę. Ciocia Marie - Claire jest załamana, bo kostium kupiony w ubiegłym roku już na niej tak dobrze nie leży... prawdę powiedziawszy, w ogóle na nią nie pasuje. Ciocia Marie - Claire już nie może.

- Nie martw się, ciociu - mówi Berengere.

- Zajmę się nią.

Ciocia uśmiecha się ze znużeniem i odchodzi. Berengere odprowadza ją wzrokiem, z jej piersi wyrywa się westchnienie litości pomieszanej z irytacją: biedna Marie - Claire znowu wyskakuje jak Filip z konopi, nieproszona daje dobre rady, a kiedy zostaje przywołana do porządku, kuli się ze łzami w oczach. Nie musiała jej prosić, Berengere i tak zamierzała odprowadzić babcie do pokoju. Dogania ją i mówi:

- Chodź, Maddy, pójdę z tobą.

Starsza pani jakby na to czekała - nie każąc się prosić, bierze Berengere pod rękę i razem idą do jej pokoju.

Posiadłość jest umeblowana jak dwór szlachecki. Trącący myszka luksusowy wystrój, dość przytłaczający, podrabiane stylowe meble i ciężkie obicia na ścianach. Idą głównymi

schodami. Po kilku stopniach Maddy dostaje zadyszki. Berengere zgaduje, że jest zirytowana, nie mogąc iść szybciej. Aby ją uspokoić, przemawia do niej łagodnie:

- Spokojnie, Maddy. Wesprzyj się na mnie... Cieszę się, że mogę dzisiaj pobyć z tobą.

- Ja też się cieszę, dziecino.

Babcia dyszy coraz głośniej. Z jej płuc dobywa się regularne, niepokojące świszczanie.

- Maddy, dobrze się czujesz? Nie idziemy za szybko?

- Nie, nie, nie martw się. Zawsze tak mi się robi na schodach.

Dochodzą do półpiętra. Berengere podnosi wzrok. Jeszcze piętnaście stopni. Ściany obite brokatem koloru mętnego wina ozdobione są trofeami myśliwskimi, ich widok przyprawia ją o dreszcz. Odwraca wzrok od zwierzęcych łbów, które wyglądają jak żywcem przybite do murów.

Bolesne, głośnie świszczanie w płucach sprawia, że Maddy idzie coraz wolniej. Berengere od miesięcy słyszała o rozedmie i niezycie oskrzeli, lecz do dzisiaj to były tylko słowa. Kwadrans, żeby pokonać trzydzieści stopni. Do oczu napływają jej łzy.

Pokój jest mały, ale wygodny. Na oparciu fotela wisi babcina koszula nocna; na toaletce pyszni się duży bukiet kwiatów.

- Bądź tak dobra i zgaś górne światło, dobrze? Lampka nocna wystarczy.

Berengere posłusznie gasi lampę u sufitu, zastanawiając się, czy Maddy jeszcze widzi światło.

- Pomożesz mi usiąść na łóżku?

Lampka rzuca ciepły różowy blask, w którym starsza pani jakby się skrywa. Kuli się, przyciskając do piersi skrzyżowane ręce, może w nadziei, że to przyspieszy uśmierzenie bólu w płucach. Wolno kołysze się w przód i w tył, szepcząc:

- Ach, dziecino, gdybyś wiedziała, jak mi wstyd, że mnie taką oglądasz... Starość nie jest przyjemna, możesz mi wierzyć.

- Ochłoń, Maddy. Normalne, że człowiek dostaje zadyszki, jak idzie po schodach.

- Wiesz, możesz już iść. Poradzę sobie sama.

- Mam ochotę jeszcze chwilę zostać... Nie będę ci przeszkadzała?

- Nie musisz, kochanie.

- Maddy, to dla mnie przyjemność. Nie było kiedy dzisiaj pogadać. Posiedzę z tobą, póki nie pójdziesz spać.

Starsza pani się uśmiecha. Przez kilka minut siedzą w milczeniu. Obydwie nasłuchują oddechu, który wolno się uspokaja, a świzczenie w piersiach słabnie, aż cichnie zupełnie.

Berengere patrzy na babcię siedzącą na brzegu łóżka w migdałowozielonym kostiumie. Pięć lat temu, na ślubie Laurence, była starszą panią zadającą szyku. Jak zwykle zrobiła, co uważała za stosowne. Miała wtedy na sobie czerwoną garsonkę i buty na szpilkach. Niejednego zaszokowała tym strojem, ten i ów uważał bowiem, że w jej wieku taki strój jest nie na miejscu. Niektórzy twierdzili nawet, że to „w dziwnym świetle stawia rodzinę”. Niemniej wyglądała oszałamiająco w czerwonym kostiumie.

Kiedy dotarły do niej te przykre komentarze, Maddy tylko gwizdnęła przez zęby. „Osły!” - stwierdziła, w głębi ducha zadowolona, że wywołała nieco zamieszania.

To było pięć lat temu. Potem nastąpiło zwyrodnienie plamki żółtej, złamanie biodra i nawracające nieżyty oskrzeli. Maddy musiała odstawić whisky i zrezygnować z palenia cravenów A. W ciągu tych pięciu lat wyraźnie podupadła, jakby drzwi do starości nagle się przed nią otwarły, nadwierając ciało równocześnie ze wzrokiem.

Mimo to wciąż chodzi, tyle że wsparta na białej lasce, którą czasem wymachuje jak mieczem. Czyta gazety przez lupę. Zaczęła się uczyć starożytnej greki. Twierdzi, że to jej pomaga ćwiczyć pamięć. Wybór greki był prowokacją: potrzebowała czegoś spektakularnego, egzotycznego i całkowicie nieprzydatnego...

Bez przerwy się skarży, że otaczają ją same „osły”. Ma gdzieś zachomikowane paczki cravenów A, które popala ukradkiem. Siedzi teraz na brzegu łóżka, drobna i władcza, krucha i uparta, obok swojej wnuczki w sukni ślubnej.

Berengere przez otwarte okno widzi park. Pośród listowia pasiasty namiot przypomina wielkiego robaczka świętojańskiego o rozdętym odwłoku, wielkiego owada brzęczącego w samym środku nocy. Drzewa tylko trochę tłumią dźwięki muzyki.

- Maddy, zamknąć okno?

- Nie, zostaw. Lubię spać przy otwartym.

- Ale przy tej muzyce nie zmrużysz oka. Czemu nie wzięłaś pokoju po drugiej stronie? Miałabyś spokojnie.

- No nie! Ty też zaczynasz? Czemu wy wszyscy uważacie, że potrzebny mi spokój?

- Ale...

- Niedługo będę miała wieczny spokój... I wierz mi, sąsiedzi nie będą bardzo hałaśliwi!

Starsza pani śmieje się niewesoło. Berengere siada obok niej, przytula ją i szepcze:

- Nie opowiadaj takich strasznych rzeczy! Ale cieszę się, że już ci lepiej.

Maddy gładzi ją po policzku.

- Pozwól, niech ci się przyjrzę.

Ujmuje twarz Berengere w dłonie, przyciąga ją bliźutko do swojej i ogląda wolno, metodycznie.

- Jakaś ty piękna, dziecinko.

Berengere się uśmiecha.

- Widzę, że się uśmiechasz. Nie masz pojęcia, jaka jestem dumna z ciebie. Tak się cieszę, że wyszłaś za męża.

Berengere zarzuca jej ręce na szyję, przywiera do babci. Słyszy, jak starsza pani szepcze:

- Jak wiesz, zawsze byłaś moją ulubienicą.

Berengere czuje, jak wzbiera w niej przeogromny, niewytłumaczalny smutek. Wie, że musi przerwać milczenie, aby jej w pełni nie ogarnął.

- Maddy, pomóc ci się przebrać?

- Chciałam cię o to poprosić, jeśli masz jeszcze chwilę. Bywa mi teraz ciężko... zwłaszcza z zamkami błyskawicznymi z tyłu. Radzę sobie jakoś, ale bywa mi ciężko.

- Więc ja to zrobię. Pomaga jej wstać i zdjęć żakiet, który zawiesza na oparciu krzesła. Potem ostrożnie rozsuwa zamek sukienki.

- Możesz podnieść ręce?

Kiedy starsza pani spełnia prośbę, Berengere widzi grymas bólu, który Maddy stara się ukryć.

- Przykro jest być starym schorowanym człowiekiem.

- Przestań, Maddy! Normalne przecież, że w twoim wieku oczekuje się odrobiny pomocy.

Sadza ją na łóżku, zdejmuje jej buty. To buty starszej pani, wygodne, na płaskim obcasie. Babcia zrezygnowała z czółenek. Stopy jej lekko nabrzmiały, tak że w ciele odcisnął się ślad zapinanego paska. Berengere zsuwa jej z nóg pończochy. Skóra jest biała, gładka, niewiarygodnie miękka. Mięśnie zwiotczały. Maddy jest teraz chuda, niemal wysuszona, jakby jej ciało z wolna się gotowało do pożegnania z życiem, pozbywając się najpierw unerwionych tkanek. W głowie Berengere powstaje przelotne straszne wrażenie, że kiedy śmierć nadejdzie, cienka skóra pęknie

naraz i Maddy w jednej chwili przemieni się z żywej istoty w szkielet.

- Taka jesteś milcząca... O czym myślisz? - pyta babcia.

- O twojej ślicznej bieliźnie. Gdzie znalazłaś taką piękną kombinację?

- Ha, moja pani, to model podpisany „La Perla”.

- Coś takiego! Niczego sobie nie odmawiasz! W każdym razie ekstra w tym wyglądasz.

- Dziecko drogie, nie sądz, że z powodu starości przestanę być elegancka. Moja matka mawiała, że kobieta powinna być równie zadbana na wierzchu jak pod spodem. Pod wieloma względami bywałam nieposłuszną córką, ale to przykazanie wzięłam sobie do serca.

- Miło widzieć, że wciąż nosisz ładną bieliznę. To jedno z moich wspomnień z dzieciństwa: w La Croix Pilate ty w ślicznej kombinacji, taka piękna, wychylasz się przez balustradę i krzyczysz na chłopców, żeby tak nie hałasowali.

Maddy śmieje się serdecznie.

- Jak widzisz, dalej noszę kombinacje! Już nie taka piękna, ale ciągle w kombinacji... Na fotelu powinna być koszula nocna. Możesz pomóc mi ją włożyć?

Berengere pomaga jej zdjąć kombinację, potem biustonosz. Narzuca na nią koszulę nocną i jeden po drugim zapina guziczki z przodu. Koszula jest z różowej bawełny w białe kwiatki, bardzo się różni od jedwabnej wyrafinowanej kombinacji z koronki. Jakby czytając jej w myślach, Maddy mówi:

- Widziałaś to paskudztwo? Isabelle mi kupiła. Czy coś takiego pasuje do mnie? Dobrze wie, że nie cierpię takich łańców jak dla starej baby, ale ona twierdzi, że potrzebuję czegoś wygodnego.

- Nie jest taka zła ta koszula. Słodko w niej wyglądasz.

- Po pierwsze, wcale nie mam ochoty słodko wyglądać. A po drugie, to, że jestem teraz prawie ślepą schorowaną kobietą, wcale nie znaczy, że komuś wolno wykorzystywać sytuację.

- Maddy, nie możesz mówić, że ciocia Isabelle wykorzystuje sytuację...

Babcia z irytacją kręci głową. Nachyla się do Berengere i szepcze:

- Usłyszałam kiedyś, jak mówiła do Marie - Claire, że w moim wieku powinnam już skończyć z odgrywaniem wampa. Wyobrażasz to sobie? Wszystko dlatego, że nie mam ochoty nosić tych ohydnych barchanów! Dlatego, że lubię spać w ładnej koszuli nocnej!

Starsza pani jest zbulwersowana. Ginie w obszernej różowej koszuli nocnej, która okrywa jej wysuszone ciało.

- Wiesz, co zrobimy, Maddy? W przyszłym tygodniu zabiorę cię do sklepu z bielizną i kupimy najelegantszą, najwytworniejszą, najbardziej seksowną koszulę nocną. Potem skoczmy na herbatę i ciastko do Poussin Bleu.

Babcia się uśmiecha, w jej spojrzeniu pojawia się złośliwy błysk.

- Twoje ciotki będą szalały z wściekłości!

Maddy jest teraz w łazience. Berengere proponowała, że jej pomoże, lecz odmówiła. Oświadczyła, że jeszcze jest w stanie sama się umyć. Berengere wie, że to nieprawda: od miesięcy co rano przychodzi pielęgniarka, aby jej pomagać. Babcia się broniła, lecz córki w końcu dopięły swego. Aby ją przekonać, ciocia Isabelle musiała wygłosić okropne słowa: „Mamo, są dni, kiedy wygląda mama nieporządnie”.

Dla Maddy to była straszna chwila. Przerażeniem napawa ją myśl, że może nie wyglądać nieskazitelnie; choć niemal równie trudno jej się pogodzić ze świadomością, że nie jest już w stanie zadbać o siebie i codziennie musi się obnażać przed

obcą osobą. Odkąd zmuszono ją do korzystania z usług pielęgniarki, boczy się na córki, szczególnie na Isabelle. To niesprawiedliwe, ale tak już jest. Berengere wie od matki, że Maddy strasznie traktuje pielęgniarkę.

Słyszy, jak woda leje się w łazience. Zgaduje, że starszej pani przydałaby się jej pomoc, lecz nie śmie wejść: babci byłoby przykro, gdyby wnuczka weszła, chociaż zapewniała, że poradzi sobie sama. Berengere patrzy na park, na czarne masy drzew, myślami błędząc gdzie indziej. Nie sądziła, że chwile spędzone z Maddy tak bardzo ją poruszają. Dziwne: wiedziała, że jest słaba i schorowana, dotąd jednak nie zdawała sobie sprawy, jakie naprawdę spustoszenia poczynił w niej czas. Po schodach niemal babcię niosła; czuła jej oddech na swojej twarzy, mogła liczyć uderzenia serca; rozebrała ją; dotykała jej nóg i stóp i raptem w całej bolesnej okazałości objawiła jej się prawda: Maddy jest stara. Maddy niedługo umrze. Maddy w każdej chwili może umrzeć. Odtąd każdą sekundę z nią musi traktować, jakby była ostatnia.

Berengere nie ma ochoty smucić się w taki dzień jak ten, tymczasem smutek ogarnia ją bez reszty i nie daje się odpędzić. Wkrótce doświadczy bólu rozstania. Maddy umrze. Maddy, najniezwyklejsza osoba, jaką zna, osoba, której wpływ najmocniej się odcisnął na jej dzieciństwie, a może i na całym życiu. Ekscentryczna, okrutna, niesprawiedliwa, szczodra i zabawna. Berengere zawsze była jej ulubioną wnuczką: tą, którą zabiera się na zakupy, do muzeów, do kina, tą, której kupuje się bardzo drogą jedwabną sukienkę na szesnaste urodziny, tą, której w tajemnicy daje się złoty medalionik zdobiony perłami i lapis - lazuli...

Berengere się zastanawia, dlaczego właśnie ona spośród rodzeństwa i kuzynów została wybrana. Co jest w niej szczególnego? Nie jest taka ładna jak Laurence. Nie jest tak inteligentna jak Marie... Wie, że prawdopodobnie nie ma

jasnego wytłumaczenia. To dzieło przypadku i dobrej woli jej nieobliczalnej babki.

Dla wnucząt zawsze była olśniewającą gwiazdą. W maju 68 roku, jako czterdziestotrzyletnia wdowa, pojechała do Paryża, by robić rewolucję. Rzucała kamieniami brukowymi i wyrzaskiwała wywrotowe hasła, uczestniczyła w burzliwych zebraniach, paliła zakazane substancje... Po czym w połowie czerwca wróciła do swego wielkiego domu w La Croix Pilate. Należało wydać dyspozycje służbie, żeby wszystko zostało przygotowane na przybycie dzieci, które zjeżdżały z pensji, z uniwersytetu czy - jak Catherine, matka Berengere - z podróży poślubnej. Od tej pory Maddy głosiła wszem wobec, że ma poglądy lewicowe, co ją skutecznie skłóciło z częścią starych przyjaciółek

- „I święty spokój!” skomentowała ów fakt - mocno też rozdrażniła tym własne dzieci.

Kiedy jeszcze mieszkała w La Croix, na każde Boże Narodzenie zamawiała ogromną choinkę, którą ustawiano w holu u stóp głównych schodów. Czubek wznosił się sporo ponad poziom pierwszego piętra, tak że trzeba się było w ramionach taty mocno wychylić nad balustradą, by zawiesić gwiazdę. Maddy dekorowała choinkę prawdziwymi świeczkami, co roku w innych kolorach - czerwonymi i złotymi, niebieskimi i srebrnymi, zielonymi i różowymi. Któregoś razu gałęzie zajęły się ogniem. Wszyscy się bardzo wystraszyli, a kiedy płomień ugaszono, bardzo się śmiali z żalosego wyglądu na poły spalonego wspaniałego drzewka. W następne święta Maddy zrezygnowała ze świeczek, za to balustrada schodów z kutego żelaza została w całości przystrojona kurtyną ze światełek elektrycznych. Sień babcinego domu wyglądała wtedy jak przedsionek do zaczarowanej krainy.

Berengere zamyka oczy: przywołuje obrazy szczęśliwych wspomnień z dzieciństwa. Maddy za kierownicą swojego triumpha ze składanym dachem gna jak szalona bulwarem Haussmanna. Pustoszy domy towarowe, wykupując wszystko dla swoich wnuczek, a potem zabiera je na słodkości do Hediarda. Maddy pozwala, aby Berengere przymierzała suknie balowe, które zachowała z czasów młodości. W ogromnej garderobie panuje mrok. Berengere widzi, jak przez worki na odzież prześwitują mieniające się wspaniałe tkaniny. Maddy grobowym nawiedzonym głosem czyta wnuczętom opowiadania fantastyczne Lovecrafta. Ośmioletnia Berengere czuje, jak po plecach przebiega jej rozkoszny dreszcz strachu. Później przez wiele tygodni śnią jej się koszmary. Rozkładający się trup tajemniczej kobiety co noc śpi z nią w łóżku. Nie ma odwagi przyznać się matce, żeby nie ściągnąć kłopotów na babcię i żeby dalej słuchać opowieści...

Otwierają się drzwi łazienki i Maddy wchodzi drobnym krokiem. Zmyła makijaż. Wygląda na zmęczoną.

- Położę się już.

Berengere uchyla przykrycie, pomaga babci się położyć, otula ją.

- Nie będzie ci zimno? Może na wierzchu położę narzutę?

- Nie, nie, tak jest dobrze. Możesz zgasić światło.

Berengere wciska wyłącznik i twarz Maddy znika w ciemności. Po kilku chwilach znowu ją widać, drobną, jasną twarz na poduszce, której załamania tworzą jakby czarną gwiazdę. Maddy ma otwarte oczy.

- Wygodnie ci? Niczego nie potrzebujesz?

W odpowiedzi starsza pani szepcze:

- Tak mi jest dobrze... Zostaniesz ze mną jeszcze chwilę, kochanie?

Berengere siada na niskim foteliku ustawionym przy samym łóżku. Bierze Maddy za rękę. W ciemności słyszy jej głos bardzo spokojny, bardzo wyraźny:

- Kochanie, nie lubię o tym mówić, ale trzeba to w końcu powiedzieć: myślę, że niewiele mi już zostało czasu.

- Maddy, co ty opowiadasz? Miałaś wprawdzie w ostatnim czasie trochę kłopotów ze zdrowiem, ale spójrz na siebie: kipisz energią! Jesz za czterech. Czytasz gazety. Wszystkim naokoło wymyślasz od osłów!...

Mówiąc to, Berengere czuje, że jej słowa nie przekonują ani jej, ani babci. Służą tylko do tego, by przedłużyć złudzenie, że wszystko jest takie jak wcześniej, podczas gdy wszystko się zmieniło.

- Wiesz, kochanie, przychodzi taka chwila, kiedy trzeba skończyć z kłamstwami, może nawet poddać się, żeby się skoncentrować na tym, co najważniejsze, zrobić niejako bilans. Odejść, dokonawszy przeglądu całości.

- Czemu to mówisz, Maddy? Czemu mówisz to mnie teraz?

- Bo chcę powiedzieć to tobie teraz. Bo może nie będzie już wielu okazji po temu. Widzisz, dzisiaj cię obejmowałam, widziałam twoją buzię, widziałam, jaka jesteś piękna... Zawsze wiedziałam, że wyrośniesz na śliczną kobietę, na kobietę obdarzoną świetnym smakiem...

Milknie na chwilę, jakby pogrążyła się w myślach, po czym parska śmiechem i kontynuuje:

- Kiedy byłaś mała, brałam cię na ręce w mieszkaniu przy ulicy Ampere'a i pokazywałam ci wszystkie obrazy, wszystkie porcelanowe wazy. Mówiłam ci, jak się który kolor nazywa, kazałam ci je dotykać palcem. Najbardziej lubiłaś różowy i niebieski, jak ja.

Berengere się nie odzywa. Pozwala, by Maddy mówiła. Przytula policzek do jej ręki.

- Nie masz pojęcia, kochanie, jaka dzisiaj byłam szczęśliwa, że wychodzisz za tego chłopca. To świetny człowiek, naprawdę świetny.

- Zgadzam się, Maddy. Jest świetny. Doskonały.

- Wiesz, jak odwiedziliście mnie w Boże Narodzenie, od razu pomyślałam, że to odpowiedni człowiek. Bez dwóch zdań... I powiem ci dlaczego, dziecino: nie tylko jest przystojny i inteligentny, ale ma w dodatku poczucie humoru. Pamiętasz, jak mnie rozśmieszył?

- To prawda, że ma wielkie poczucie humoru. Mnie też często rozśmiesza. Przed nim nie znałam nikogo, kto by mnie aż tak potrafił rozbawić.

- Poczucie humoru to rzadki dar, możesz mi wierzyć. I dlatego ten chłopak jest odpowiedni. Bo nawet jeśli wyjdiesz za pana Doskonałego, a pan Doskonały nie umie być zabawny, w końcu zaczniesz się nudzić... śmiertelnie nudzić.

Berengere śmieje się z policzkiem przytulonym do ręki babci.

- Mówisz z własnego doświadczenia, Maddy? - pyta.

Berengere czuje drżenie przebiegające przez babciną rękę i natychmiast żałuje, że to powiedziała. W ich rodzinie nie zadaje się niedyskretnych pytań, nie wyciąga się z nikogo zwierzeń. Dlatego szeptem dodaje:

- Przepraszam, Maddy. Nie chciałam... Naraz czuje się bardzo nieszczęśliwa. Chociaż kocha babcię ponad wszystko, chociaż doświadczyła przy niej cudownych chwil, właściwie nic nie wie o jej życiu. Z jej młodych lat zna tylko fotografie w albumie rodzinnym: Maddy w futrze za kierownicą bugattiego, Maddy w modnym kostiumie z niemowlęciem na rękach, Maddy grająca w tenisa, Maddy z dziadkiem, ich sześciorgiem dzieci i wielkim czarnym psem przed domem w La Croix Pilate, Maddy po śmierci dziadka, w okresie „peruki i whisky”, w trakcie dyskusji o polityce, którą ona i wujek

Jacques namiętnie uprawiali, a ciocia Florence i ciocia Isabelle z niepokojem na twarzy czujnie ich obserwują, gotowe w każdej chwili stłumić wszelkie zarzewie sporu. Berengere wie, że Maddy była piękną, bardzo wytworną, bardzo bogatą kobietą, która miała sześcioro dzieci, męża lekarza i wielki dom. W gruncie rzeczy nic o niej nie wie.

Skoro dzisiaj wyrwało jej się niedyskretne pytanie, znaczy to, że mimo łączących je serdecznych więzów ma świadomość, jak powierzchowne były ich stosunki: chwile szczęścia, doświadczana razem radość i w sumie niewiele rozmów od serca, zwierzeń, wyznań, które nadałyby głębię ich uczuciom. Słyszy spokojny poważny głos Maddy:

- Chcesz wiedzieć, czy byłam szczęśliwa z twoim dziadkiem?

Berengere odpowiada szeptem:

- Chcę, żebyś opowiedziała o sobie i o nim, ale nie chcę być niedyskretna...

- Wiesz, dziecko, są chwile, kiedy człowiek ma prawo być niedyskretny. Trzeba umieć powiedzieć sobie o rzeczach ważnych przed rozstaniem... Co wiesz o swoim dziadku?

Nic o nim nie wie. Ani jej matka, ani wujkowie i ciotki nie mówią o ojcu, chyba że wspominają jego sukcesy zawodowe. Dziadek był lekarzem. W zasadzie to wszystko, co Berengere o nim wie.

- Był wielkim lekarzem... Maddy parska krótkim śmiechem.

- No cóż, kochanie, wiesz to, co najważniejsze. Niewiele można do tego dodać.

Berengere odzywa się cichutko:

- To znaczy, że nie byłaś z nim szczęśliwa...

Maddy milczy. Wydaje się pogrążona w jakichś odległych wspomnieniach, jakby starała się odgrzebać obrazy i słowa od dawna głęboko ukryte.

- Kochanie, powiem ci coś, czego nigdy nikomu nie powiedziałam...

Berengere czuje naraz, że serce zaczyna jej bić szybciej, mocniej, jakby się szykowało do potężnego wzruszenia. Maddy milczy przez chwilę i w tym czasie Berengere odnosi wrażenie, że w pokoju rezonuje bicie serc ich obu. Muzyka, jeszcze przed chwilą tak natarczywa, wydaje się teraz odległa, ledwie słyszalna, jakby pokój został przeniesiony w sekretne jakieś miejsce, daleko od świata i wesela. Słyszy, jak Maddy mówi cicho:

- Żeniąc się ze mną, twój dziadek oddał mi przysługę. W tamtych czasach to była nawet ogromna przysługa, która wybawiła mnie z bardzo kłopotliwej sytuacji... I za to jestem mu dozgonnie wdzięczna.

Głos Maddy drży. Znów milknie na moment. Berengere czuje dreszcz. Nie jest pewna, czy dobrze zrozumiała, niemniej mimo niedopowiedzeń wszystko wydaje się jej jasne.

Maddy podejmuje cicho:

- Oczywiście byłam ładna, poza tym miałam odziedziczyć klinikę, dzięki czemu nieprzyjemną stronę sprawy łatwiej się dawało zaakceptować, ba! w sumie stawało się to wręcz całkiem interesujące...

Berengere pyta cichutko:

- Maddy, czy ja dobrze zrozumiałam? „Kłopotliwa sytuacja” znaczy, że byłaś...

- Tak, kochanie, rozumiałaś jak należy... Byłam młoda. Miałam dwadzieścia lat. To było tuż po wojnie.

Berengere szybko myśli: tuż po wojnie, w roku 1945, w roku narodzin jej matki, najstarszej z sześciorga dzieci babci... Szepcze oszołomiona:

- Mama.

- Tak, twoja matka.

- Ale... co ci się przydarzyło? Zostałaś... porzucona?

- Porzucona... w pewnym sensie tak - przyznaje Maddy ze smutkiem.

Długą chwilę nic nie mówi. Berengere odnosi wrażenie, że płacze. Nie, jednak nie płacze. Wspomina.

- Był czarujący. Błyskotliwy. Dowcipny. Pochodził z bardzo prostej rodziny i nie miał grosza przy duszy. Żeby opłacić studia architektoniczne, pracował w eleganckiej restauracji, do której kilka razy mnie zaproszono. Zwróciliśmy na siebie uwagę... Powoli sprawy się rozkręciły. Byłam bardzo zuchwała jak na dziewczynę w moim wieku i z mojej sfery. Myślę, że przede wszystkim zakochanie dodawało mi odwagi. Miałam romans. Nikt niczego nie podejrzewał.

Śmieje się zadowolona, że tak zdołała zwieść całe swoje otoczenie. Berengere zgaduje jednak, że to, co opowie jej Maddy, wcale nie jest zbyt zabawne...

- W tamtych czasach nie było takich sposobów jak dzisiaj... niełatwo było sobie poradzić. A ja w tych sprawach byłam kompletną ignorantką. W każdym razie zaszłam w ciążę. Kiedy to sobie uświadomiłam, nawet się nie bałam. Byłam zbyt zakochana. A on przeżył wstrząs. Chciał się ze mną ożenić, ale wiedział, że w oczach mojej rodziny daleko mu do idealnej partii. Powiedział: „Musimy pogadać z twoimi rodzicami. Poproszę ich o twoją rękę”. Szalałam z radości. Żadnych problemów nie widziałam. Miałam gdzieś, że rodzice się wściekną. Zawsze spełniali wszelkie moje zachcianki. Wiedziałam, że w końcu się zgodzą na ślub. I tak przecież ze względu na mój stan nie mieli wyboru. Byłam pewna, że wszystko dobrze się ułoży. Wojna się skończyła. Miałam zostać jego żoną. Tego dnia pożegnałam się z nim prawie radosna. Zbiegałam po schodach, myśląc: nie goń tak! Uważaj na dziecko!

- Mieliśmy się spotkać nazajutrz w gospodzie w Archambault, żeby ustalić, co i jak. Pamiętam, to był wtorek.

Nie przyszedł. Przez dwa straszne dni myślałam o czymś, co wydawało mi się nieprawdopodobne: że mnie zostawił. W piątek poszłam do restauracji, w której pracował, żeby zażądać wyjaśnień. Tam się dowiedziałam, że trzy dni wcześniej zabił się na motorze, jadąc w deszczu drogą do Archambault.

Maddy milczy przez kilka chwil. Berengere widzi w ciemnościach jej szeroko otwarte oczy, słyszy głośniejszy oddech. Domyśla się, że starsza pani z wielkim trudem zachowuje spokój.

- Często myślę sobie: gdyby tamtego dnia nie padało, może by nie miał wypadku, może byśmy się pobrali, może... może... Ale stało się inaczej...

Berengere czuje, że jej ręka drży.

- Widzisz, straszne jest to, że kiedy człowiek się zestarzeje, nie ma już łez. Mam oczy suche i chore. Nie potrafię już nawet popłakać sobie tak, jak bym chciała, jak on by zasługiwał jeszcze teraz, po sześćdziesięciu latach...

Berengere nie jest w stanie wykrztusić słowa. Ścisza tylko mocniej dłoń babci.

- To było takie straszne!... Nie próbowałam się nawet z tym kryć... Płakałam za nim, nad sobą, nad nami obojgiem. Zostałam sama w bardzo kompromitującym położeniu: w ciąży, bez męża, miałam się stać, jak to w tamtych czasach mówiono, „panną z dzieckiem”. Mój ojciec udzielał się w polityce, mieliśmy też klinikę... Skandal wybuchłby potężny. Kiedy rodzice się dowiedzieli, natychmiast wzięli sprawy w swoje ręce. Oczywiście nie było mowy o aborcji. Chcieli, żebym porzuciła dziecko. Wtedy często się to zdarzało. Istniały miejsca, gdzie na jakiś czas można się było ukryć z hańbiącą ciążą i tam dyskretnie urodzić. Prowadziły je siostry zakonne. Zorganizowane to było znakomicie. Rodzice już wszystko obmyślili, ale ja nie chciałam się zgodzić. W

pewnym sensie dla mnie najprościej by było porzucić dziecko, tyle że nie czułam się do tego zdolna. Tylko to mi zostało po nim. Nie wiem, czemu byłam przekonana, że to będzie chłopiec, i już umyśliłam sobie, że dam mu imię po ojcu.

- Kiedy rodzice się zorientowali, że nie ustąpię, zaproponowali układ: mogę zatrzymać dziecko, ale muszę „ratować pozory”. Inaczej mówiąc, mam bezzwłocznie wyjść za mąż. Jasno dali mi do zrozumienia, że to ich ostateczna propozycja. Nie miałam wyboru: gdybym odmówiła, odebraliby mi dziecko w taki czy inny sposób. Zgodziłam się bez wahania. Liczyło się tylko jedno: żebym mogła zatrzymać dziecko.

- Patrząc na dzisiejsze kobiety, mówię sobie, że teraz na pewno byłabym zdolna stawić opór, wyjechać i radzić sobie sama. Ale widzisz, w tamtych czasach inaczej wychowywano dziewczęta. Byłam jedynaczką, bardzo ładną, bardzo rozpieszczoną, świetnie grałam w tenisa. Miałam wielkie powodzenie na balach wyższych sfer. Dla panny z mojego środowiska było to odpowiednikiem kariery... Zdałam maturę, ale niespecjalnie namawiano mnie na studia. Nigdy przez myśl mi nawet nie przeszło, że mogłabym pracować, utrzymywać się sama, zarabiać na życie. Wydawało mi się, że nie mam wyjścia, nie mogę odrzucić rozwiązania, które mi zaoferowano. Dlatego się zgodziłam.

- Wszystko potoczyło się szybko: ojciec wybrał najzdolniejszego w klinice młodego lekarza, którego darzył największym szacunkiem, i zaproponował mu, że tak powiem, „dobicie targu”. Nie wiem, jakimi słowami przedstawił mu sytuację, z grubsza jednak musiało to wyglądać tak: pan zgadza się uznać dziecko, a w zamian za poświęcenie poślubia pan dziedziczkę i otwiera się przed panem możliwość zrobienia błyskotliwej kariery. Twój dziadek odpowiedział: „Zrobiłbym wszystko dla pańskiej córki”. Bez wątplenia

należałoby uściślić: „dla pańskiej córki i kliniki”, ale nie bądźmy drobiazgowi. Mój ojciec był usatysfakcjonowany.

- Wzięliśmy ślub. Mimo mojego stanu, a może właśnie z powodu mojego stanu rodzice nie chcieli, żeby się odbył po cichu: miałam przepiękną suknię, dziesiątki metrów koronki i atłasu. Całość ważyła dobre dziesięć kilo. Pamiętam, że pętały mnie te koronki i welony, a ja czułam mdłości i byłam taka zmęczona... Ten dzień był dla mnie jak koszmar na jawie. Nie rozumiałam, co robię przed ołtarzem obok młodego mężczyzny w miarę przystojnego, dość zadowolonego z siebie i ze szczęścia, które się do niego uśmiechnęło. Całą sobą przebywałam gdzie indziej, daleko, z moim nieżyjącym ukochanym. Byłam na balu w czerwcowy wieczór i tańczyłam do upadłego. Tańczyłam z nim w kawiarni, a on rozgrzewał mi palce w dłoniach. Byłam w studenckim pokoiku i oddawałam mu się bez reszty. Siedziałam za nim na motorze, jechaliśmy wiejską drogą. Modliłam się, och, jak ja się modliłam. O to, żeby zmarły powrócił.

- Po ślubie pojechaliśmy w długą, kilkumiesięczną podróż poślubną. W naszych sferach taka panowała wtedy moda. W rzeczywistości większość czasu spędziliśmy najpierw na Wybrzeżu Baskijskim, potem na Lazurowym. Kiedy brzuch zaczął mi się zaokręlać, mąż nawet mnie nie tknął. Potem on wrócił do swoich obowiązków w klinice, a ja zostałam. Oficjalnie ciąża bardzo nadwreżyła moje zdrowie, więc musiałam zostać na Południu, żeby dojść do siebie... Twoja matka urodziła się siedem miesięcy po moim ślubie, rzekomo sporo przed czasem. Moi rodzice znów wszystko ułożyli jak trzeba. Towarzystwo uwierzyło, a w każdym razie udawało, że wierzy. Pięć miesięcy po urodzeniu twojej matki wróciłam do domu i chmary ludzi ciągnęły do nas, by powitać cudem uratowane maleństwo... To tyle. Twój dziadek kochał tę małą jak własne dziecko. Muszę przyznać, że pod tym względem

nic mu nie można zarzucić... Później postarał się spłodzić ze mną pięcioro dzieci, chcąc przysłonić potomstwem z prawego łóża pochodzenie pierworodnej...

Berengere czuje na plecach dreszcz. Nie może uwierzyć, że kilkanaście metrów stąd trwa pośród drzew wesele - jej wesele - tak długo przygotowywane w najdrobniejszych szczegółach. Muzyka, śmiechy, gwar głosów docierają do niej, lecz jest na nie obojętna. Jest oszołomiona, zagubiona. Proponując babci, że odprowadzi ją do pokoju, nie przypuszczała, że zostanie skonfrontowana z taką tajemnicą. Coś jej mówi natomiast, że Maddy wszystko przewidziała. Od początku chciała jej o tym powiedzieć. Chciała jej o tym powiedzieć dzisiaj. Berengere pyta szeptem:

- Czy mama wie?... Domyśla się czegoś?

- Nie, ona nic nie wie. Nikt o tym nie wie. Tylko ty...

- Dlaczego mnie o tym powiedziałaś, Maddy?

- Może po prostu dlatego, że jestem dzisiaj zmęczona i mam ochotę pogadać przed zaśnięciem. Będę nareszcie spała ze spokojnym sumieniem, że ty o wszystkim wiesz.

- Dlaczego ja? - nie ustępuje Berengere. I Maddy szeptem odpowiada:

- Wiesz, chyba masz w sobie coś wyjątkowego. Jesteś jedyną osobą, która powinna wiedzieć... ponieważ ty jedna masz coś z niego... Kiedy to zauważyłam, nie wyobrażasz sobie, co czułam. To było jak cud, jakbym odnalazła jakąś cząstkę jego po czterdziestu latach... Kiedy byłaś mała, w pewnych chwilach stawałaś się łudzaco do niego podobna. Coś się pojawiało w wyrazie twarzy, w spojrzeniu... Trudno to nazwać. Pamiętam, że kiedy to się zdarzało, wpatrywałam się w ciebie przez kilka minut, obserwowałam cię, czekałam, aż znowu dostrzegę jego twarz w twojej. Ale powtórki nie było. Tak się działo tylko przypadkiem, kiedy nie myśląc o tym, odwracałam nagle głowę do ciebie i raptem twój wzrok trafiał

mnie prosto w serce. Później z wiekiem nabrałaś nawyku, nad którym twoja matka bardzo ubolewała: w szczególny sposób gładziłaś się po brwiach, kiedy się nad czymś zastanawiałaś.

Berengere szepcze, śmiejąc się przez łzy:

- To prawda, bywa, że tak pocieram brwi, aż niemal zupełnie je wytrę. W szkolnych czasach po klasówce brwi miałam zupełnie zmasakrowane, niemal łyse. Mama wpadała w szal, a ja z uporem zawsze twierdziłam, że to mi pomaga się skupić.

- Nie uwierzysz, ale twój dziadek... to znaczy prawdziwy dziadek... dokładnie tak samo robił, kiedy coś rozważał. Odziedziczyłaś to po nim nie wiadomo jak, dla mnie jednak to jak cud. Dziecino, nie wierzę w reinkarnację ani w inne takie głupstwa. Nie mam nawet pewności, czy po śmierci coś jest...

- Ochchch... - wzdycha Berengere zawiedziona.

- Przykro mi, że cię rozczarowuję, skarbie, ale sama widzisz, niewiele zostało we mnie wiary. Myślę jednak, że pewne rzeczy w jakiś zagadkowy sposób przechodzą z człowieka na człowieka. Jakby życiodajna jakaś siła, jakieś tchnienie sprawiało, że osoby zmarłe odżywają w żyjących. W tobie jest jego tchnienie, bezsprzecznie... I tylko w tobie je dostrzegłam...

Berengere płacze w ciemności. Maddy to wyczuwa.

- Nie trzeba płakać, kochanie. Nie powiedziałam ci o tym, żeby cię zasmucić. Proszę, Berengere, nie płacz.

Berengere przełyka łzy. Siedzi wyprostowana w fotelu pośród fałd jedwabnej sukni.

- Nie byłaś szczęśliwa... - stwierdza. Maddy odpowiada spokojnie:

- Nie, nie byłam szczęśliwa w małżeństwie... Chociaż się starałam. Byłam wzorową przedstawicielką swojej sfery, bo tego po mnie oczekiwano: dochowywałam wierności mężowi; troszczyłam się o dzieci; organizowałam przyjęcia; udzielałam

się charytatywnie. Pogodziłam się z tym, że muszę stłumić swoją fantazję, żywotność... Ale to nie wystarczyło. Nasze małżeństwo nie było szczęśliwe. Nie zdołałam go pokochać. Jemu też się to nie udało. Był obojętny. Pod koniec życia, kiedy już chorował, bywał nawet brutalny. Nigdy mi nie wybaczył, że nie był moim pierwszym mężczyzną. - Uśmiecha się ze smutkiem. - Bo widzisz, w tamtych czasach bardzo się liczyło, żeby być tym pierwszym. Nie to, co dzisiaj, kiedy pierwsze koty za płoty uważa się niemal za pańszczyznę.

Berengere jest lekko zgorszona, nic jednak nie mówi. Przywykła do ekscentryczności i prowokacyjnego zachowania babci.

- Śmierć twojego dziadka przyjął z ulgą. Wiem, że nie wypada mówić takich rzeczy. Straszne to, ale tak było. Postanowiłam wtedy porzucić swoje dawne życie. Nie mogłam już znieść żadnego przymusu, miałam wrażenie, że cały mój świat rozsypuje się na kawałki. Mogłam szukać pociechy u dzieci, ale... sama nie wiem, z nimi zawsze było trudno. Poza tym tacy są podobni do ojca... nawet twoja matka, wyobraź sobie! Nie mogłam tak dłużej. Starsi już wyszli z domu, studiowali. Młodsze dzieci posłałam do szkół z internatem i postanowiłam odtąd żyć po swojemu. Różne rzeczy robiłam. .. na pewno ci o tym mówiono...

- Och, nie udawaj! Na pewno naopowiadano ci o mnie różnych potworności.

- Nie wiem o niczym, co by podważało moje przekonanie, że mam najwspanialszą, najcudowniejszą babcię.

- Miła jesteś... W każdym razie stało się, co się stało. Próbowałam się bawić. Ale szybko zrozumiałam, że nigdy nie nadrobię straconego czasu. I tak zresztą na tym świecie już nie było jedynej osoby, której szukałam... Potem zaczęły się rodzić wnuki. O ile macierzyństwo niezbyt przeżywałam, o

tylę babciowanie bardzo mi się podobało. Byłam taka szczęśliwa, kiedy was widziałam, kiedy się wami zajmowałam. W końcu na świat przyszedł także ty, jego wnuczka bez dwóch zdań, co było dla mnie takie widoczne, że miałam ochotę mówić do ludzi: „Nie do wiary, jaka ona do niego podobna, prawda?” Naturalnie czegoś takiego nie mogłam powiedzieć, przez co twoje podobieństwo do niego było tym cenniejsze. Byłaś moją uwielbianą najdroższą wnusią.

Milknę na długą chwilę, a Berengere siedzi bez słowa, trzymając ją za rękę. Stara się w uścisk przelać całe swoje uczucie do Maddy, całą serdeczność, na jaką ją stać.

- Chciałabym ci powiedzieć... jeżeli coś mi się stanie, są dwie czy trzy rzeczy... nikt inny nie może ich znaleźć... w stoliku nocnym w mojej sypialni. Zobaczysz, to proste: trzeba podnieść marmurowy blat i przesunąć płytę pod spodem. Jeżeli coś mi się stanie, chciałabym, żebyś zabrała to, co tam jest. Dwa listy i zdjęcie. Zrób to dla mnie. Wymyśl coś, bo chcę zostać pochowana z tymi listami i zdjęciem. Obiecasz mi, że to zrobisz?

Berengere zamyka oczy i wyraźnie widzi nieduży rokokowy stolik z blatem z różowego marmuru i rzeźbionymi w drewnie girlandami. Ze ściśniętym gardłem szepcze:

- Tak.

- Przysięgnij.

- Przysięgam.

Już nie może się dłużej powstrzymać: wybucha płaczem, szlochając, tuląc policzki do dłoni Maddy.

- Berengere, naprawdę nie chcę, żebyś się smuciła. Przestań, inaczej będę żałować, że ci to dzisiaj powiedziałam.

- Nie martw się. Przejdzie mi. Zaraz będzie dobrze.

- Bardzo mi ulżyło. Ogromnie się cieszę, że mogłyśmy dzisiaj porozmawiać. Kochanie, powiedz, że dobrze zrobiłam.

Berengere się prostuje, próbuje zapanować nad emocjami.

Babcia sięga po omacku pod poduszkę i wyjmuje chusteczkę do nosa. Berengere wyciąga rękę po bielejącą w ciemności plamkę.

- Nie bój się, jest czysta - zapewnia babcia.

- W takim jestem stanie, że na pewno nie będę wybrzydzać.

Berengere czyści nos długo, hałaśliwie, zabawne trąbienie sprawia, że obydwie wybuchają śmiechem.

- A niech to! Pięknie muszę wyglądać taka usmarkana.

- Zawsze jesteś piękna, nawet kiedy jesteś rozczochrana, nawet kiedy płaczesz.

Berengere jeszcze raz wydmuchuje nos, zaciska w dłoni wilgotną chusteczkę.

- Dobrze zrobiłaś, że mi o wszystkim opowiedziałaś, Maddy. Po prostu... tyle emocji... tak nagle... Nie wiem, co powiedzieć. Jeszcze nie mogę sobie tego poukładać.

Wstaje z fotela i nachyla się, by uścisnąć babcię. Na bladziutkiej twarzy widnieje spokój, starsza pani wydaje się gotowa, by ogarnął ją mrok.

- Pozwól, kochanie, że ostatni raz ci się przyjrzę.

Berengere zadaje sobie pytanie, co Maddy rozumie przez „ostatni raz”. I woli nie wiedzieć. Starsza pani wpatruje się w nią w ciemnościach. Co widzi? Bez wątpienia najwyżej sylwetkę w jasnej sukni. Szepcze:

- Masz taką piękną suknię ślubną, Berengere... i wielkie szczęście. W ogóle dzisiejsze młode kobiety mają wielkie szczęście. Trzeba to wykorzystać, kochanie.

- Tak, wiem, że mam duże szczęście. I mocno przytula babcię.

- Chyba możesz mnie już zostawić, kochanie. Spróbuję zasnąć. A ty wracaj do gości i baw się dobrze.

Berengere mówi „tak”, mówi „kocham cię”. Chętnie by jeszcze trochę została, nie chce się jednak sprzeciwić babci. Całuje ją, wstaje i wychodząc z pokoju, zamyka za sobą drzwi jak najciszej.

Puszczając klamkę, myśli: ostatni raz ją widziałam. Umrze w nocy. Ta oczywista pewność wręcz się narzuca, prowokując świeże łzy. Berengere próbuje sobie przemówić do rozsądku. Miała dzisiaj mnóstwo silnych emocji. A to niewątpliwie sprzyja melodramatycznym uniesieniom.

W korytarzu przystaje na moment przed wielkim lustrem zawieszonym nad podrabianą komodą w stylu Ludwika XV. Oczy ma czerwone, makijaż rozmazany. Uspokój się. Daj sobie chwilę i poukładaj myśli. Stojąc przed lustrem, wolno wyciera ciemne zacieki pod oczami chusteczką, którą ścisnęła w dłoni. Nie może się pokazać ludziom w takim stanie. Zawraca i przysiada na niskim stołku w pobliżu pokoju Maddy. Kiedy światło w korytarzu się wyłącza, nie zapala go na nowo. W ciemności czuje się bezpieczna.

Długo tak siedzi bez ruchu. Kiedy w końcu się podnosi, nie ma pojęcia, na jak długo zostawiła gości, wie jednak, że musi już wracać. Zapala światło i rusza w kierunku schodów. Znowu przystaje przed lustrem: teraz już może pokazać twarz. Przeciąga palcem po łuku brwi, poprawia kosmyk włosów na czole i długą chwilę wpatruje się w swoje odbicie. Uśmiecha się. Jest piękna. Uroczystość się udała, wszystko się odbyło zgodnie z jej planami. Całość była wyważona, elegancka. I jeszcze wspaniałe bezchmurne niebo, słońce... Ludzie będą wspominali ten dzień jako szczęśliwy. Dlaczego więc przepełnia ją dojmujący smutek i nieprzeparte poczucie zagrożonego szczęścia? Może dlatego, że sześćdziesiąt lat temu pewien motocykl w deszczu wypadł z drogi.

Wolno rusza w dół po schodach, unikając szklanego spojrzenia wypchanych zwierząt. Kiedy dociera do półpiętra, widzi Vincenta idącego jej naprzeciw.

- A cóż wyście z babcią wykombinowały? Poszłyście ponad godzinę temu! Zaczynałem się już zastanawiać...

Berengere nie odpowiada. Stoi bez ruchu.

- Wiesz, jaka jesteś piękna, kiedy stoisz w tej sukni na głównych schodach? Jak królowa z music - hallu!

Przez moment Berengere się zastanawia, czy on sobie z niej drwi. Ale nie. Vincent się uśmiecha, rozkłada ramiona. Nie drwi z niej. Kocha ją.

Berengere nie ma ochoty wracać do gości. Ma już dość wesela, chciałaby zostać sama z mężem. Naraz odwraca się i biegiem rusza z powrotem po schodach.

- Berengere! Co cię napadło?

Kiedy Vincent dociera na piętro, Berengere czeka na niego, siedząc po ciemku na podłodze.

- Co się dzieje, kochanie? - Siada obok niej. - Jesteś smutna?

- Nie.

- Kochasz mnie?

- Tak.

Ich czoła prawie się stykają. Vincent bierze ją za rękę i czuje obrączkę na jej palcu. Widzi jej spuszczone powieki, kontur ust poważnych i upartych. Wie, że płakała. W tej chwili serce mu się ściska i zaraz szeroko otwiera. Już nie ma cienia wątpliwości.

Berengere podnosi głowę, przez chwilę patrzy na niego bez słowa, po czym szepcze:

- Vincent, obiecaj mi...

- Co ci obiecać, kochanie?

- Obiecaj, że uda nam się razem.

I w ciemności Vincent widzi, jak błyszczą jej oczy, choć nie wie, czy jest w nich błaganie, czy wyzwanie.